

MILIARDERZY z PRZYPADKU

POCZĄTKI

FACEBOOKA

OPowieść o SEKSIE,
PIENIĄDZACH,
GENIUSZU I ZDRADZIE



**w
ab**

BEN MEZRICH

Ben Mezrich

Miliarderzy z przypadku

Przełożył Jacek Konieczny

Tytuł oryginału: The Accidental Billionaires

BEN MEZRICH

(ur. 1969) - pisarz amerykański. Ukończył studia na Uniwersytecie Harvarda. Jest autorem jedenastu książek (z których część wydał pod pseudonimem Holden Scott). Największą popularność przyniosły mu historie oparte na faktach. Jedna z nich w 2008 roku została przeniesiona na ekran (Bringing Down the House jako 21), trzy inne są w trakcie ekranizacji. Publikacje Mezricha zostały przetłumaczone na ponad dwadzieścia języków. Miliarderzy z przypadku (2009) to jego najnowsza książka. benmezrich.com

Facebook to obecnie jeden z najpopularniejszych na świecie portali społecznościowych. Zanim stał się serwisem zrzeszającym miliony użytkowników, był skromną stroną internetową znaną tylko nielicznym studentom Harvardu i służącą głównie do oceny atrakcyjności studentek. Jednak niewiele osób zna prawdziwą historię jego powstania...

Na podstawie książki powstał film The Social Network, w reżyserii Davida Finchera. W rolach głównych Jesse Eisenberg oraz Justin Timberlake.

Dedycja

Dla Tonyi, dziewczyny moich marzeń...

PRZEDMOWA AUTORA

Miliarderzy z przypadku to pełna dramaturgii historia napisana w oparciu o rozmowy z kilkudziesięcioma osobami, setki innych źródeł oraz tysiące stron dokumentów, między innymi protokoły rozpraw sądowych.

Istnieje wiele - nierzadko sprzecznych - opinii na temat wydarzeń, które zostaną tu opisane. Czasami niezwykle trudno jest połączyć w spójną narrację relacje kilkudziesięciu osób, z których jedne były naocznymi świadkami wydarzeń, a inne znają je tylko pośrednio. Poszczególne sceny odtworzyłem na podstawie informacji zgromadzonych podczas rozmów z różnymi ludźmi oraz lektury dokumentów. Dokładałem wszelkich starań, aby wybrać te wersje wydarzeń, których prawdziwość mogłem potwierdzić za pomocą obiektywnych świadectw. Niektóre sceny napisałem z perspektywy poszczególnych uczestników, co wszakże nie oznacza, że zgadzam się z ich poglądami.

Starałem się możliwie najściślej trzymać chronologii wydarzeń. W opisie tła wydarzeń niekiedy zmieniałem lub wymyślałem mniej istotne detale, zataiłem także informacje umożliwiające identyfikację niektórych osób. Pomijając kilka powszechnie znanych postaci, nazwiska i charakterystyki bohaterów są fikcyjne.

Posłużyłem się tu również techniką odtwarzania dialogów. Podczas pracy nad nimi opierałem się na wspomnieniach uczestników zdarzeń. Niektóre z przedstawionych konwersacji w rzeczywistości były dłuższe i toczyły się w różnych miejscach, a w książce znalazły się ich kompilacje lub skrócone wersje, zlokalizowane w pasujących do kontekstu miejscach.

Ludzie, którzy pomogli mi w napisaniu tej książki, zostaną wymienieni w podziękowaniach, niemniej już teraz chciałbym wyrazić szczególną wdzięczność Willowi McMullenowi za umożliwienie mi poznania Eduarda

Saverina, bez którego ta opowieść nigdy by nie powstała. Mark Zuckerberg, mimo wielu próśb, nie zgodził się na rozmowę, do czego miał oczywiście pełne prawo.

ROZDZIAŁ 1 PAŹDZIERNIK 2003 ROKU

Możliwe, że stało się to przy trzecim drinku. Eduardo nie był do końca pewien, ponieważ wypił wszystkie bardzo szybko - puste plastikowe kubki stały teraz na parapecie za jego plecami, włożone jeden w drugi - i nie potrafił precyzyjnie określić momentu, kiedy poczuł skutki działania alkoholu. Te były jednak bezdyskusyjne, bowiem odczuwał je całym ciałem: na zazwyczaj ziemistych policzkach czuł przyjemne ciepło rumieńców; stał oparty o okno w swobodnej pozie, zupełnie jakby jego ciało składało się z gumy, co żywo kontrastowało z jego zwykle sztywną, przygarbioną sylwetką; a co najważniejsze jego twarz rozjaśniał niewymuszony uśmiech, który bez większych efektów ćwiczył tego wieczoru przed lustrem w swoim pokoju przez dwie godziny przed wyjściem. Czując niewątpliwe skutki alkoholu, Eduardo przestał się bać, a przynajmniej nie paraliżowało go już przemożne pragnienie, aby spierdalać stamtąd, gdzie pieprz rośnie.

Trzeba przyznać, że pomieszczenie, w którym się znajdował, onieśmiało: ogromny kryształowy żyrandol zwisał z łukowatego sufitu przypominającego sklepienie kościoła, grube, aksamitne dywany wypływały niczym czerwona rzeka z pokrytych mahoniem ścian, kręte, rozwidlające się schody prowadziły do supertajnych katakumb na wyższych piętrach. Zagrożenie zdawało się emanować nawet z szyby za plecami Eduarda, podświetlonej migoczącymi złowrogo płomieniami ogniska. Rozpalono je na wąskim dziedzińcu; końcówki płomieni lizały stare, spękane mury.

Było to przerażające miejsce, zwłaszcza dla kogoś takiego jak Eduardo. Co prawda nie dorastał w biedzie - większą część dzieciństwa spędził w najróżniejszych dzielnicach brazylijskich miast oraz Miami zamieszkanym przez wyższą klasę średnią, by w końcu dostać się na Harvard - nigdy jednak nie

zetknął się z tego rodzaju przytłaczającym bogactwem, z jakim urządzono pokój, w którym się znajdował. Nawet alkohol nie stłumił niepewności - jej ucisk Eduardo czuł w żołądku. To samo uczucie towarzyszyło mu, gdy po raz pierwszy wkroczył na dziedziniec Harvardu, zastanawiając się, co go tam, u licha, przywiodło. Jakim cudem można się czuć swobodnie w takim miejscu?

Oparł się o parapet i zlustrował wzrokiem tłum młodych mężczyzn, który wypełniał niemal każdy zakątek ogromnego pomieszczenia. Większość kłębiła się wokół dwóch kontuarów postawionych tam specjalnie z okazji imprezy. Wyglądały dość tandetnie - proste drewniane stoły zupełnie nie pasowały do tak posępnego otoczenia - ale nikt na to nie zwracał uwagi, ponieważ stały za nimi jedyne w całym pomieszczeniu dziewczyny. Te znakomicie dobrane do swojej roli piersiaste blondynki w czarnych, wydekoltowanych koszulkach sprowadzono z jednej z pobliskich żeńskich uczelni, aby serwowały drinki tłumowi młodych mężczyzn.

Tłum pod wieloma względami budził jeszcze większą grozę niż sam budynek. Według szacunków Eduarda na sali znajdowało się około dwustu mężczyzn. Wszyscy mieli na sobie podobne ciemne marynarki i spodnie. Byli to głównie studenci drugiego roku i choć należeli do różnych ras, coś ich łączyło - uśmiech na ich twarzach wydawał się znacznie bardziej naturalny niż w przypadku Eduarda, a z dwustu par oczu biła pewność siebie. Ci chłopcy nigdy nie musieli niczego sobą udowadniać. Pasował i do tego miejsca. Większość traktowała to przyjęcie - obecność w tym budynku - jak zwykłą formalność.

Eduardo wziął głęboki oddech. Skrzywił się lekko, wyczuwając w powietrzu delikatną gorycz. Dym z ogniska musiał wlatywać przez szpary w oknie, mimo to Eduardo nie zamierzał opuszczać wygodnego miejsca przy parapecie. Jeszcze nie był gotowy.

Skierował uwagę na grupę czterech chłopaków średniej budowy ciała, którzy stali tuż obok niego. Żadnego nie pamiętał z zajęć. Dwóch było blondynami; wyglądali na dzieci z dobrych domów, które dopiero co wysiadły z

pociągu z Connecticut. Trzeci był Azjata i sprawiał wrażenie nieco starszego, choć tego akurat Eduardo nie był pewien. Czwarty - Afroamerykanin, niezwykle wytworny, sądząc po uśmiechu i starannie ułożonych włosach - bez wątpienia był studentem czwartego roku.

Eduardo poczuł, że drętwieją mu plecy. Przyjrzał się uważniej krawatowi czarnego chłopaka. Kolor materiału nie pozostawiał cienia wątpliwości - faktycznie był to student czwartego roku. Eduardo postanowił przystąpić do działania.

Rozprostował ramiona i odepchnął się od parapetu. Przywitał się skinieniem głowy z parą blondynów i Azjata, niemniej całą uwagę skupił na najstarszym z czwórki - oraz na jego czarnym krawacie z charakterystycznym wzorem.

- Eduardo Saverin - przedstawił się, energicznie potrząsając ręką chłopaka. - Miło cię poznać. Chłopak powiedział, że nazywa się Darron jakiś tam, i Eduardo zanotował sobie tę informację w pamięci. Nazwisko nie miało wszakże większego znaczenia - czarny krawat w białe ptaszki zdradzał tożsamość jego właściciela. Chłopak należał do bractwa studenckiego PhoenixS K i był jednym z około dwudziestu gospodarzy imprezy, którzy krążyli w tłumie gości z młodszych roczników. - Saverin. To ty masz fundusz hedgingowy, prawda?

Eduardo się zarumienił, choć tak naprawdę był zachwycony, że członek Phoenixa kojarzy jego nazwisko. Niemniej Darron lekko przesadził, bowiem Eduardo nie posiadał funduszu hedgingowego - zarobił po prostu trochę pieniędzy, inwestując z bratem na giełdzie w czasie wakacji między drugim a trzecim rokiem studiów. Nie miał zamiaru prostować pomyłki - jeżeli członkowie Phoenixa rozmawiali na jego temat i byli pod wrażeniem jego dokonań, to być może miał szansę.

Serce podekscytowanego Eduarda zabiło nieco szybciej - teraz należało wcisnąć starszemu koledze odpo wiednią ilość kitu, aby podtrzymać jego

zainteresowanie. Ta chwila określi jego przyszłość w większym stopniu niż jakikolwiek egzamin, który zdawał na pierwszym i drugim roku. Eduardo miał świadomość, jakie korzyści może mu przynieść członkostwo w Phoenixie, zarówno pod względem statusu społecznego na dwóch ostatnich latach studiów, jak i w związku z planami zawodowymi po opuszczeniu uczelni.

Podobnie jak tajne stowarzyszenia na Yale, o których tyle pisano w ostatnich latach w prasie, bractwa studenckie sprawowały niemal jawny rząd dusz na harwardzkim kampusie. Osiem męskich klubów, których siedziby mieściły się w okazałych kilkuwielokowych budynkach w różnych częściach Cambridge, wychowały wiele pokoleń światowych przywódców, magnatów finansowych i innych wpływowych postaci. Członkostwo w jednym z ośmiu bractw - właściwie bez znaczenia, w którym - wiązało się z uzyskaniem określonej tożsamości społecznej. Bractwa miały różny charakter: od niezwykle ekskluzywnego Porcelliana, najstarszego klubu w kampusie, którego członkowie nosili takie nazwiska jak Roosevelt i Rockefeller, do eleganckiego Fly Clubu, który wydał dwóch prezydentów i kilku miliarderów. Każdy klub miał swoją specyfikę. Phoenix nie był może najbardziej prestiżowy, ale pod wieloma względami cieszył się największą popularnością. Surowy budynek na Mt. Auburn Street 323 wypełniał się w piątkowe i sobotnie wieczory, a członkowie bractwa nie tylko mogli odczuwać dumę z przynależności do instytucji o stuletniej tradycji, ale mieli również możliwość uczestniczenia w najlepszych imprezach na kampusie w towarzystwie najseksowniejszych dziewczyn ściągniętych ze szkół z całego obszaru oznaczonego kodem pocztowym 02138.

- Fundusz hedgingowy to tylko hobby - wyznał skromnie Eduardo słuchającym go uważnie elegancikom. - Koncentrujemy się głównie na akcjach firm z branży naftowej. Zawsze miałem hopla na punkcie pogody, dzięki czemu udało mi się znacznie lepiej niż innym inwestorom przewidzieć konsekwencje kilku huraganów.

Eduardo wiedział, że wkracza na niepewny grunt, próbując w możliwie najprostszy sposób wytłumaczyć, jak udało mu się przewidzieć zachowanie rynku ropy naftowej. Wiedział, że jego rozmówcę z Phoenixa interesuje tak naprawdę trzysta tysięcy dolarów, które Eduardo zarobił na handlu ropą, a nie jego obsesja na punkcie meteorologii, dzięki której mógł przeprowadzić kilka udanych transakcji. Ale Eduardo chciał się trochę popisać. Słyszając, jak Darron wspomina o jego „funduszu hedgingowym”, Eduardo utwierdził się w przekonaniu, że został zaproszony na przyjęcie przede wszystkim z powodu otaczającej go reputacji obiecującego biznesmena.

Do licha, zdawał sobie przecież sprawę, że nie ma praktycznie żadnych innych atutów. Nie był sportowcem, nie pochodził ze znanej rodziny, a już na pewno nie zasłynął jako dusza towarzystwa. Odrobinę zbyt długie w stosunku do reszty ciała ręce nadawały mu dość pokraczny wygląd, a wyluzować potrafił się wyłącznie po kilku drinkach. A jednak znalazł się w tej sali. Co prawda z rocznym opóźnieniem - do bractwa przyjmowano zazwyczaj studentów pod koniec drugiego roku, a nie na trzecim - ale jednak.

Procedura naboru zupełnie go zaskoczyła. Dwa dni wcześniej siedział wieczorem przy biurku w swoim pokoju w akademiku, przygotowując dwudziestostronicową pracę na temat jakiegoś dziwnego plemienia żyjącego w puszczy amazońskiej, kiedy ktoś niespodziewanie wsunął zaproszenie przez szparę pod drzwiami. Eduardo wiedział, że nie jest to jeszcze przepustka do raju - z dwustu studentów (głównie drugiego roku), których zapraszano na pierwsze przyjęcie, tylko około dwudziestu zostawało członkami Phoenixa - niemniej był tak samo podekscytowany jak wtedy, gdy kilka lat wcześniej otwierał kopertę z listem potwierdzającym, że dostał się na Harvard. Od chwili rozpoczęcia studiów miał nadzieję, że dostanie się do jednego z bractw studenckich - teraz wreszcie otrzymał taką szansę.

Wszystko zależało od niego... no i oczywiście od tych młodzieńców w czarnych krawatach w ptaszki. Każde z czterech przyjęć - do których zaliczało

się to zapoznawcze koktajl party - było swego rodzaju zbiorową rozmową kwalifikacyjną. Kiedy Eduardo i pozostali goście wrócą do akademików rozsiadanych na terenie całego kampusu, członkowie Phoenixa zbiorą się w jednym z sekretnych pomieszczeń na piętrze i podejmą decyzję o ich dalszym losie. Po każdym przyjęciu coraz mniejszy odsetek studentów otrzyma ponownie zaproszenie - w ten sposób z dwustu osób zostanie dwadzieścia.

Jeśli Eduardo znajdzie się w tej grupie, jego życie ulegnie zasadniczej zmianie. A jeśli miało mu w tym pomóc twórcze „omówienie” długich godzin, jakie poświęcił w lecie na analizę wahań ciśnienia i prognozowanie ich wpływu na wzór dystrybucji ropy naftowej, to nie zamierzał nim pogardzić.

- Cała sztuka polega na tym, żeby z tych trzystu tysięcy zrobić trzy miliony - stwierdził z uśmiechem Eduardo. - Ale to właśnie urok zabawy z funduszami he d gingowymi. Trzeba się wykazywać prawdziwą inwencją.

Wypowiadał kolejne brednie z takim entuzjazmem, że grupka elegancików słuchała go z niesłabnącym zainteresowaniem. Umiejętność wciskania kitu doprowadził do perfekcji podczas licznych imprez, na jakie chodził na pierwszym i drugim roku. Teraz wystarczyło zapomnieć, że okres próbny się skończył i tym razem wszystko dzieje się już na serio. Powtarzał sobie w myślach, że jest na jednym z mniej ważnych spotkań, na których nikt go nie oceniał i od których nie zależało jego członkostwo w bractwie studenckim. Doskonale pamiętał pewien wieczór, kiedy udało mu się zrobić wyjątkowo dobre wrażenie na rozmówcach - zorganizowane w tym samym budynku przyjęcie tematyczne poświęcone Karaibom ze sztucznymi palmami i rozsypanym na podłodze piaskiem. Starał się przenieść myślami do tamtych chwil, zapomnieć, że znajduje się w tak onieśmielającym pomieszczeniu, wzbudzić w sobie łatwość, z jaką prowadził wtedy konwersację. I rzeczywiście po chwili poczuł się jeszcze swobodniej. Oczarowany brzmieniem własnego głosu dał się ponieść opowiadanej przez siebie historii.

Przeniósł się myślami na karaibskie przyjęcie. Pamiętał każdy szczegół:

rozbrzmiewające w pomieszczeniu reggae oraz dźwięczące mu w uszach metaliczne odgłosy perkusji. Pamiętał rumowy poncz i dziewczyny w kwiecistych bikini.

Przypomnił sobie nawet chłopaka z czupryną kręconych włosów, który stał w kącie, zaledwie trzy metry od tego miejsca, w którym Eduardo znajdował się w tej chwili, próbując jak on zdobyć się na odwagę i nawiązać rozmowę z którymś ze starszych chłopaków z Phoenixsa. Niestety dzieciak nigdy nie ruszył się z kąta, a paralizujące go skrępowanie było tak bardzo widoczne, że niczym tarcza ochronna odgrodziło go od reszty pomieszczenia, odpychając wszystkich, którzy znaleźli się w pobliżu.

Eduardo trochę mu nawet wtedy współczuł, ponieważ wiedział, kim jest ów chłopak z kręconymi włosami, i że dzieciak nie ma absolutnie żadnych szans, aby dostać się do Phoenixsa. Bóg jeden raczy wiedzieć, po co w ogóle znalazł się na przyjęciu rekrutacyjnym, ponieważ członkostwo w bractwie studenckim z pewnością nie było dla niego. Harvard oferował takim dzieciakom mnóstwo innych możliwości: pracownie komputerowe, kółka szachowe oraz dziesiątki nieoficjalnych organizacji i stowarzyszeń skupiających ludzi obciążonych najróżniejszymi formami upośledzenia społecznego. Po wciśniętym w kąt chłopaku od razu było widać, że nie ma zielonego pojęcia o sztuce nawiązywania kontaktów towarzyskich, tymczasem bez tego nie miał szans, aby dostać się do Phoenixsa.

Myśli Eduarda były zaprzątnięte marzeniem o członkostwie w bractwie studenckim i nie poświęcił wtedy większej uwagi dziwnemu dzieciakowi stojącemu w kącie. Teraz też szybko o nim zapomniał.

Skąd mógł wiedzieć, że chłopak z czupryną kręconych włosów zrewolucjonizuje pewnego dnia sposób nawiązywania kontaktów towarzyskich. Chłopak z czupryną kręconych włosów, który z takim skrępowaniem uczestniczył w karaibskim przyjęciu, miał wywrzeć większy wpływ na życie Eduarda niż jakiegokolwiek bractwo studenckie.

ROZDZIAŁ 2 DZIEDZINIEC HARVARDU

Kiedy wybiła pierwsza dziesięć w nocy, wystrój sali kompletnie się posypał. Od ścian zaczęły odchodzić paski białej i niebieskiej krepiny; jeden z nich zwisał tak nisko, że jego taftowe końcówki znalazły się niebezpiecznie blisko ogromnej miski z ponczem. Co gorsza, na podłogę zaczęły coraz liczniej spadać kolorowe plakaty, którymi zakryto większość pustej powierzchni ścian między paskami krepiny. W niektórych częściach pomieszczenia beżowy dywan niemal całkowicie zniknął pod stosami błyszczących wydruków komputerowych.

Po dokładniejszym śledztwie odkryto przyczynę tego zjawiska - taśma pakowa, która posłużyła do przyklejenia do ścian kolorowych plakatów i pasków krepiny, zaczęła nasiąkać wilgocią niesioną w ich stronę przez gorące powietrze wlatujące z nad umocowanych pod ścianami kaloryferów.

Ogrzewanie było włączone, ponieważ działo się to w październiku w północnowschodniej części Stanów Zjednoczonych zwanej Nową Anglią. Wiszący nad odklejającymi się plakatami baner ciepło witał zebranych - ALFA EPSILON PI, IMPREZA ZAPOZNAWCZA, 2003 - nie mógł jednak w żaden sposób wygrać ze szronem, który zaczynał się gromadzić na ogromnych oknach sali wykładowej. Trzeba przyznać, że komitet organizacyjny zrobił, co mógł, przygotowując wystrój sali wykładowej na piątym piętrze podstarzałego budynku przy słynnym harwardzkim dziedzińcu, w której na co dzień odbywały się wykłady z filozofii i historii. Wyniesiono wszystkie obdrapane drewniane krzesła i pulpity, puste, dziurawe ściany próbowano zakryć plakatami i krepiną, a większość paskudnych lamp fluorescencyjnych zasłonięto wspomnianym banerem. Największą atrakcją był jednak odtwarzacz muzyki umożliwiający podłączenie iPod'a, połączony z parą gigantycznych głośników, które ustawiono

na niewielkim podeście pośrodku pomieszczenia, normalnie przeznaczonym dla wykładowcy.

Jeszcze dziesięć minut przed pierwszą iPod pracował na pełnych obrotach, wypełniając salę mieszaniną popu i anachronicznego folk rocka; za dobór muzyki winę ponosiła bądź schizofreniczna playlista, bądź słabo przemyślany kompromis organizatorów. Niemniej jednak muzyka była bardziej znośna, niż by to się mogło wydawać, w czym wydatnie pomagały głośniki przyniesione przez jednego z organizatorów. Na przyjęciu rok wcześniej w kącie sali postawiono kolorowy telewizor, na którym odtwarzano w nieskończoność z DVD panoramę wodospadu Niagara. Choć nie miała ona absolutnie nic wspólnego z Alfa Epsilon Pi czy Harvardem, huk spadającej wody zdawał się pasować do atmosfery imprezy, poza tym organizatorzy nie musieli za to zapłacić ani centa.

Muzyka płynąca z głośników była nowością - podobnie jak łuszczące się plakaty - niemniej sama impreza niewiele różniła się od tych z poprzednich lat.

Eduardo stał pod banerem w zapiętej pod szyję koszuli z Oksfordu. Cienkie paski krepiny zwisały obok jego patykowatych nóg. Otaczało go czterech podobnie ubranych studentów drugiego i trzeciego roku. Razem stanowili jedną trzecią uczestników imprezy. Gdzieś w dalszej części sali znajdowały się dwie lub trzy dziewczyny. Jedna z nich odważyła się nawet założyć spódnicę, choć ze względu na pogodę miała na nogach grube szare legginsy.

Widok ten w niewielkim stopniu przypominał znane z filmów imprezy studenckie, trzeba jednak pamiętać, że życie towarzyskie Harvardu niezbyt przypominało bachanalia urządzone na innych uniwersytetach. Poza tym Epsilon Pi nie był akurat perłą wśród stowarzyszeń - członków tego najważniejszego żydowskiego bractwa na Harvardzie łączyła raczej średnia ocen niż skłonność do imprezowania. Epsilon Pi nie miał bynajmniej religijnego charakteru, bowiem naprawdę pobożni Żydzi - ci, którzy spożywali tylko

koszerne jedzenie i nie umawiali się na randki z gojami - należeli do Hillel House, który dysponował własnym budynkiem na terenie kampusu i prawdziwymi funduszami oraz zrzeszał studentów obu płci. Do Epsilon Pi należeli mniej religijni studenci, których ze wspólnotą żydowską łączyły głównie nazwiska. Chłopak z Epsilon Pi mógł spotykać się z Żydówką, ponieważ sprawiał tym przyjemność mamie i tacie, istniało jednak większe prawdopodobieństwo, że będzie umawiał się z Azjatką.

Właśnie o tym Eduardo rozmawiał z kolegami z klubu. Lubili poruszać ten temat, ponieważ umożliwiało im łatwe znalezienie wspólnego języka.

- Wcale nie chodzi o to, że takim facetom jak ja generalnie podobają się Azjatki - stwierdził Eduardo, popijając poncz - ale że Azjatkom podobają się tacy faceci jak ja. A jeżeli chcę zoptymalizować prawdopodobieństwo zaliczenia możliwie najseksowniejszej panienki, muszę zawęzić wybór do tych, które będą mną najbardziej zainteresowane.

Słuchacze pokiwali głowami, zgadzając się z logiką jego wyводу. W przeszłości sami przekształcali to proste równanie w znacznie bardziej złożony algorytm, próbując wyjaśnić popularność związków między Żydami i Azjatkami, jednak tego wieczoru zadowolili się uproszczoną wersją. Być może dlatego, że z głośników wydobywała się ogłuszająca muzyka, która uniemożliwiała formułowanie jakichkolwiek bardziej skomplikowanych myśli.

- Choć akurat w tej chwili - dodał Eduardo, spoglądając z niesmakiem na dziewczynę w spódnicy i legginsach - ten wybór nie jest zbyt wielki.

Ponownie wszyscy skinęli głowami, choć Eduardo nie mógł oczekiwać, że którykolwiek z jego rozmówców będzie potrafił mu pomóc. Na prawo od niego stał pękaty chłopak o wzroście nieprzekraczającym stu siedemdziesięciu centymetrów, który należał do szachowej reprezentacji Harvardu i mówił płynnie pięcioma językami; umiejętności te w żaden sposób nie ułatwiały mu kontaktów z dziewczynami. Kolejny z rozmówców tworzył historyjki rysunkowe do harwardzkiego dziennika „Crimson”, a większość wolnego czasu

spędzał w sali nad jadalnią akademika Leverett, grając na komputerze w gry RPG. Towarzyszył mu współlokator mierzący dobrze ponad sto osiemdziesiąt centymetrów, który w prywatnym liceum (gdzie większość uczniów stanowili Żydzi) zamiast koszykówki wybrał szermierkę; biegłość w posługiwaniu się szpadą okazała się wszakże równie nieprzydatna w podrywaniu dziewczyn, jak w jakimkolwiek innym aspekcie życia współczesnego człowieka. Gdyby osiemnastowieczni piraci próbowali wdrzeć się do pokoju jakiejś seksownej panienki, miałyby okazję zaprezentowania swoich umiejętności, ale w pozostałych sytuacjach był w zasadzie bezużyteczny.

Czwarty chłopak stojący naprzeciwko Eduarda również uprawiał kiedyś szermierkę - konkretnie w Exeter - jednak z wyglądu w niczym nie przypominał sąsiada z lewej. Podobnie jak Eduardo wyglądał na dość nieporadnego, choć jego nogi i ręce były bardziej proporcjonalne do reszty szczupłego, niepozbawionego pewnej atletyczności ciała. Mimo niskiej temperatury na dworze był ubrany w workowate szorty i sandały założone na bose stopy. Miał wydatny nos, czuprynę kręconych jasnobrązowych włosów i jasnoniebieskie oczy. Niekiedy pojawiały się w nich przeblyski pewnej figlarności, na tym jednak kończyły się wszelkie oznaki naturalnych emocji lub zrozumienia, bowiem pociągła twarz chłopaka była zasadniczo pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu. Jego postura, ogólna aura zdająca się go otaczać - to zamknięcie się w sobie, nawet w towarzystwie innych, nawet w bezpiecznym otoczeniu bractwa - była niemal nieznośnie dziwaczna.

Nazywał się Mark Zuckerberg i był studentem drugiego roku. Mimo że Eduardo spotykał go często na różnych imprezach organizowanych przez Epsilon Pi (oraz na co najmniej jednym przedrekrutacyjnym przyjęciu w Phoenixie), praktycznie nic o nim nie wiedział. Wiele o nim za to słyszał: Mark studiował informatykę, mieszkał w akademiku Eliot i pochodził z Dobbs Ferry w stanie Nowy Jork, miasta zamieszkanego przez wyższą klasę średnią. Był synem dentystki i psychiatry. W szkole średniej zyskał opinię genialnego

hakera, który z taką łatwością włamywał się do systemów komputerowych, że trafił nawet na jedną z list FBI. Tak przynajmniej mówiono. Tak czy inaczej, Mark był bez wątpienia genialnym informatykiem. Wyrobił sobie nazwisko już w Exeter, gdzie wprawiał się w programowaniu, tworząc komputerową wersję gry Ryzyko. Razem z kolegą napisali program o nazwie Synapse, wtyczkę do odtwarzaczy plików mp3 pozwalającą im „uczyć się” preferencji użytkownika i na tej podstawie tworzyć playlisty dostosowane do indywidualnych potrzeb. Zaraz po tym, gdy Mark umieścił Synapse w Internecie jako program typu *freeware*, odezwały się do niego wielkie koncerny komputerowe, próbując go od niego kupić. Mówiło się, że Microsoft chciał go zatrudnić, oferując mu od jednego do dwóch milionów dolarów. Mark, o dziwo, odrzucił ich propozycję.

Eduardo słabo znał się na komputerach, a jeszcze mniej na hakerstwie, ale jako człowiek pochodzący z rodziny biznesmenów nie potrafił się nadziwić, że można odrzucić ofertę opiewającą na milion dolarów; wydawało mu się to wręcz bulwersujące. Wszystko to, bardziej nawet niż osobliwa aparycja, czyniło z Marka postać zagadkową. Człowiek zagadka, choć bez wątpienia geniusz. Na Harvardzie napisał program o nazwie Course Match, który pozwalał tamtejszym studentom sprawdzić, na jakie zajęcia zapisali się inni. Eduardo skorzystał może ze dwa razy z tego programu, próbując - niestety bezskutecznie - wytropić seksowne dziewczyny, które spotkał w jadalni. Niemniej program był na tyle dobry, że większość studentów miała wysokie mniemanie o Course Match, podobnie jak o chłopaku, który go napisał.

Kiedy trzech pozostałych uczestników rozmowy oddalili się w kierunku miski z ponczem, Eduardo postanowił lepiej poznać tego studencika o cherubinowych włosach. Zawsze szczylił się nabytą od ojca umiejętnością rozpoznawania głównych cech osobowości rozmówcy, która dawała mu przewagę w kontaktach biznesowych. Dla Saverina seniora robienie interesów było całym światem: ten syn zamożnych imigrantów, którym podczas II wojny światowej ledwie udało się uciec przed Holokaustem do Brazylii, wychował Eduarda wedle dość

surowych zasad ludzi, którzy cudem uniknęli śmierci. Jego rodzina od wielu pokoleń zajmowała się robieniem interesów i doceniała sukces odniesiony mimo niesprzyjających okoliczności. Kiedy Eduardo miał trzynaście lat, jego rodzice byli już zamożnymi ludźmi. Właśnie wtedy postanowili przeprowadzić się z Brazylii do Miami, bowiem odkryli, że ich syn może zostać uprowadzony dla okupu.

Eduardo nie potrafił odnaleźć się w dziwnym świecie szkoły średniej. Z trudem uczył się nowego języka (angielskiego) i nowego środowiska (Miami). Choć nie znał się na komputerach, dzięki tamtym przeżyciom doskonale rozumiał, co to znaczy być nieprzystosowanym do otoczenia outsiderem - różnić się od innych bez wyraźnego powodu.

Marka Zuckerberga wyróżniał już sam wygląd, choć być może nie pasował do innych - nawet tu, w Harvardzie - ponieważ był tak cholernie mądry. Do innych to nie znaczy Żydów, ale studentów o podobnych zainteresowaniach. Maniaków, którzy obsesyjnie pisali programy komputerowe, a w piątkowy wieczór nie mieli nic lepszego do roboty, jak spotkać się w sali wykładowej oblepionej krepiną i plakatami, aby porozmawiać o dziewczynach, których nie potrafili podrywać.

- Niezła zabawa - odezwał się Mark, przerywając milczenie. Mówił niemal zupełnie bezbarwnym głosem, przez co Eduardo nie potrafił określić, czy i jakie emocje towarzyszą temu stwierdzeniu.

- Racja - przytaknął. - Przynajmniej w tym roku w ponczu jest rum. Ostatnio dolali chyba soku z owoców tropikalnych. Tym razem naprawdę się postarali.

Mark zakaszłał, następnie wyciągnął rękę i dotknął najbliższego paska krepiny. Ten, nieprzytrzymały przez taśmę pakową, sfrunął na podłogę i wylądował na jednym z sandałów Marka. Chłopak podniósł wzrok na Eduarda.

- Witaj w dżungli.

Eduardo odpowiedział uśmiechem, choć wciąż nie potrafił wyczytać z

monotonnych wypowiedzi Marka, kiedy ten żartuje, a kiedy mówi serio. Zaczynało się w nim jednak rodzić przeczucie, że za tymi niebieskimi oczami kryje się prawdziwie anarchistyczna dusza. Mark pozostawał całkowicie obojętny na wszystko, co działo się dookoła niego; nawet teraz, podczas imprezy. Być może rzeczywiście był geniuszem, za którego wszyscy go uważali. Eduardo nabrał nagle przekonania, że chciałby się z Markiem zaprzyjaźnić, lepiej go poznać. Każdy, kto w wieku siedemnastu lat zrezygnował z miliona dolarów, musi chyba dokądś zmierzać.

- Mam przeczucie, że za kilka minut impreza się skończy - stwierdził Eduardo. - Wracam nad rzekę do Eliot House. To w którym akademiku mieszkasz?

- W Kirklandzie - odparł Mark i zwrócił głowę w stronę wyjścia znajdującego się po drugiej stronie podium. Eduardo rzucił okiem na pozostałych chłopaków, którzy wciąż stali przy misce z ponczem. Wszyscy mieszkali w akademikach zlokalizowanych wokół głównego dziedzińca, więc po zakończeniu imprezy po prostu rozejdą się w różne strony. Nadarzała się okazja, aby poznać lepiej komputerowego geniusza. Eduardo skinął głową, następnie ruszył za Markiem przez niezbyt gęsty tłum.

- Jeżeli masz ochotę - odezwał się, kiedy obeszli scenę - moglibyśmy wpaść na imprezę u mnie w akademiku. Będzie do bani, ale na pewno nie bardziej niż ta.

Mark wzruszył ramionami. Obaj studiowali na Harvardzie dostatecznie długo, aby wiedzieć, czego można się spodziewać po imprezie w akademiku - pięćdziesięciu chłopów i trzy dziewczyny na krzyż stoją ściśnięci jak sardynki w małym pokoju, tymczasem ktoś mocuje się z kurkiem przemyconej do akademika beczki wyjątkowo taniego piwa.

- Czemu nie - stwierdził Mark. - Muszę co prawda na jutro rozwiązać jeden problem, ale logarytmy lepiej mi idą po pijaku niż na trzeźwo.

Przedarli się przez salę wykładową i wyszli na betonową klatkę

schodową. Zeszli w milczeniu na parter i wyszli przez dwuskrzydłowe drzwi na porośnięty drzewami i trawą dziedziniec. Silne podmuchy orzeźwiającego wiatru przedzierały się przez cienki materiał koszuli Eduarda. Wsunął pośpiesznie dłonie głęboko w kieszenie spodni i ruszył wybrukowaną dróżką prowadzącą przez środek dziedzińca na drugą stronę. Ich akademiki znajdowały się nad rzeką w odległości dobrych dziesięciu minut.

- Ale, kurwa, mróz, nie? Musi być z minus dziesięć stopni.

- Raczej plus pięć - stwierdził Mark.

- Jestem z Miami. Dla mnie to jakby było minus dziesięć.

- W takim razie może pobiegniemy? Mark zaczął biec lekkim truchtem.

Eduardo ruszył za nim i dysząc ciężko, dogonił nowego kolegę. Razem wbiegli po szerokich kamiennych schodach prowadzących do otoczonego kolumnami wejścia do Biblioteki Widenera. Eduardo spędził w niej wiele wieczorów, ślęcząc między regałami nad dziełami takich teoretyków ekonomii jak Adam Smith, John Mills czy John Kenneth Galbraith. Biblioteka była otwarta nawet o pierwszej w nocy, a ciepłe pomarańczowe światło wylewało się z marmurowego holu, rzucając długie cienie na wspaniałe schody.

- Na ostatnim roku studiów - wysapał Eduardo, kiedy mijali dolny stopień, zмирzając ku żelaznej bramie prowadzącej poza teren uczelni, do Cambridge - przelecę jakąś dziewczynę między tymi regałami. Przysięgam, że do tego dojdzie.

Choć stara harwardzka tradycja nakazywała zrobić to przed ukończeniem studiów, jedynie garstce udawało się faktycznie dopiąć celu. Co prawda zautomatyzowane regały - szerokie półki poruszające się na kółkach po szynach - tworzyły prawdziwy labirynt i zajmowały kilka pięter pod głównym poziomem budynku, lecz w wąskie przejścia nieustannie zaglądali inni studenci i pracownicy biblioteki. Nie lada wyczynem było zatem znalezienie dostatecznie odosobnionego miejsca, a jeszcze mniej prawdopodobne - dziewczyny gotowej nawiązać do tradycji.

- Zaczynj od czegoś łatwiejszego - poradził Mark. - Na początek spróbuj przyprowadzić dziewczynę do swojego pokoju w akademiku.

Eduardo skrzywił się, ale na jego twarzy natychmiast pojawił się uśmiech. Zaczynał lubić zjadliwe poczucie humoru Marka.

- Aż tak źle nie jest. Lada chwila mogę zostać przyjęty do Phoenixsa.

Mark zerknął w jego stronę. Minęli właśnie róg budynku i szli wzdłuż bocznej ściany biblioteki.

- Gratulacje.

I znów to samo - całkowicie bezbarwny głos. Niemniej z krótkiego błysku, jaki dostrzegł w oczach Marka, Eduardo wywnioskował, że informacja ta zrobiła na chłopaku wrażenie i wzbudziła co najmniej lekką zazdrość. Eduardo zdążył się przyzwyczać do takich reakcji. Niby mimochodem wspominał przy wszystkich znajomych o procesie weryfikacji, jaki właśnie przechodził, dając im do zrozumienia, że perspektywa jego członkostwa w Phoenixsie coraz bardziej się przybliża. Został zaproszony na trzy kolejne przyjęcia weryfikacyjne, co oznaczało, że ma duże szanse na pozytywne zakończenie tego procesu. Zatem być może już niedługo wydarzenia w rodzaju koszarnej imprezy Alfa Epsilon Pi staną się tylko odległym wspomnieniem.

- Jeżeli się dostanę, spróbuję wpisać twoje nazwisko na listę potencjalnych członków. Mógłbyś się dzięki temu dostać na trzecim roku.

Mark milczał. Być może próbował złapać oddech, ale bardziej prawdopodobne, że analizował wypowiedź Eduarda. W kontaktach z innymi ludźmi Mark przypominał komputer: najpierw następowało wprowadzenie danych, a następnie prezentacja wyniku obliczeń.

- To byłoby... interesujące.

- Jeżeli znasz jakichś innych członków bractwa, będziesz miał spore szanse. Na pewno wielu z nich używało Course Match.

Ledwie Eduardo wypowiedział te słowa, zdał sobie sprawę, jak idiotycznie zabrzmiały. Członkowie Phoenixsa nie będą się przecież podniecać

jakimś dziwakiem tylko dlatego, że napisał program komputerowy. Biegłość w informatyce nie przysparzała popularności. Program komputerowy nie pomagał w zaciągnięciu dziewczyny do łóżka. Popularność - a czasami i seks - można było zdobyć, uczestnicząc w imprezach i obracając się w towarzystwie ładnych dziewczyn.

Eduardo nie miał jeszcze wielkich osiągnięć na tym polu, niemniej poprzedniego wieczoru dostał zaproszenie na czwarte, najważniejsze, przyjęcie weryfikacyjne. W następnym piątek w pobliskim hotelu Hyatt Phoenix organizował bankiet, a po nim imprezę w swojej siedzibie. Bezpośrednio po tym ważnym wieczorze miało prawdopodobnie nastąpić przyjęcie nowych członków do bractwa. Zaproszenie zawierało „sugestię”, że Eduardo powinien przyjść na kolację w towarzystwie. Jak mu się udało dowiedzieć od kolegów, bractwo wystawiało kandydatowi ocenę na podstawie klasy kobiety, którą ze sobą przyprowadził. Im bardziej atrakcyjne towarzyski, tym większe szanse na przejście do ostatniej rundy.

Po otrzymaniu listu Eduardo zaczął się zastanawiać, jakim cudem zdąży w tak krótkim czasie znaleźć sobie dziewczynę do towarzystwa - i to jeszcze taką, która zrobi odpowiednie wrażenie. Nie ulegało przecież wątpliwości, że dziewczyny nie pchały mu się same do łóżka.

Eduardo musiał wziąć sprawy w swoje ręce. O dziewiątej rano następnego dnia w jadalni akademika Eliot podszedł do najseksowniejszej dziewczyny, jaką znał - Marshy, piersiastej blondynki, która studiowała ekonomię, choć wyglądała raczej na specjalistkę od psychologii. Była o dobre pięć centymetrów wyższa od Eduarda i miała dziwną słabość do fryzur w stylu lat osiemdziesiątych, mimo to mogła pochwalić się urodą charakterystyczną dla dziewczyn z prywatnych liceów z północnego wschodu. Krótko mówiąc, idealnie nadawała się na przyjęcie w bractwie.

Ku zaskoczeniu Eduarda przystała na jego propozycję. Chłopak natychmiast się domyślił, że nie chodzi o niego, ale o możliwość uczestnictwa w

przyjęciu organizowanym przez Phoenixa. Potwierdzało to wszystkie nadzieje, jakie Eduardo wiązał z członkostwem w bractwie. Kluby studenckie nie tylko były wpływowymi kręgami towarzyskimi, ale ich ekskluzywny charakter sprawiał, że przynależność do bractwa automatycznie przyciągała zainteresowanie najfajniejszych, najseksowniejszych, najlepszych dziewczyn. Nie łudził się, że Marsha da się później zaciągnąć między regały w Bibliotece Widenera. Jeżeli do kolacji zostanie podany alkohol, może co najwyżej pozwolić, aby odprowadził ją do domu. Nawet gdyby splewiła go przy drzwiach do swojego pokoju drobnym pocałunkiem, osiągnie więcej niż przez ostatnie cztery miesiące.

Kiedy dotarli na tył biblioteki i wybiegli z długiego cienia rzucanego przez stare kamienne kolumny, Mark posłał mu kolejne trudne do zinterpretowania spojrzenie.

- Czy spełniły się wszystkie twoje oczekiwania?

O co mu chodziło? O bibliotekę? Imprezę, z której właśnie wyszli? Bractwo żydowskie? Phoenixa? O dwóch gości biegnących przez dziedziniec Harvardu w zapiętych pod szyję koszulach (w tym jeden w obwisłych szortach), przemarzniętych na kość podczas próby dotarcia na podrzędną imprezę w akademiku?

Czy ludzie pokroju Eduarda i Marka mieli prawo oczekiwać czegoś więcej od życia towarzyskiego na studiach?

ROZDZIAŁ 3 NAD BRZEGIEM RZEKI CHARLES

Piąta rano.

Opustoszały odcinek rzeki Charles, czterysta metrów przejrzystego zielonkawego błękitu, między łukowatą kamienną kładką Weeks Footbridge a betonowym, wielopasmowym mostem Massachusetts Avenue. Lodowaty akwen wijący się pod szarą czaszą unoszącej się nisko nad wodą mgły. Powietrze do tego stopnia nasycone wilgocią, że trudno stwierdzić, gdzie kończy się rzeka, a zaczyna niebo.

Martwa cisza, czas stanął w miejscu; to zaledwie pojedynczy akapit księgi zawierającej opisy wszystkich podobnych mroźnych dni z minionych trzech stuleci. W pewnej chwili cisza zostaje zmacona niewyraźnymi dźwiękami: odgłosem dwóch wiosła wślizgujących się w lodowatą wodę jak nóż w masło, obracanych z wielką wprawą pod wirem zielonkawego błękitu i ciągniętych do tyłu w perfekcyjnym zespoleniu prawideł mechaniki i sztuki.

Sekundę później dwuosobowa łódka wyłania się z cienia mostu. Jej falliczny kadłub z włókna szklanego rozcina środek rzeki niczym diamentowe ostrze zagłębiające się w szybie. Łódka porusza się z taką delikatnością, że zdaje się niemal stanowić jedność z rzeką; zupełnie jakby wygięty kadłub wypływał z zielonobłękitnej wody. Sunie tak płynnie, że praktycznie w ogóle nie burzy gładkiej powierzchni.

Wystarczy rzucić okiem na łódkę - na idealny rytm, w jakim wiosła przebijają powierzchnię rzeki Charles, na pęd, z jakim kadłub sunie po wodzie - aby nabrać pewności, że dwaj mężczyźni wprawiający ten elegancki pojazd w ruch poświęcili lata na doskonalenie swoich umiejętności. Wystarczy z kolei jedno spojrzenie na ich sylwetki, aby dojść do równie naturalnego wniosku, że na taki poziom mistrzostwa wspięli się nie tylko dzięki treningom.

Dwaj wioślarze, oglądani z brzegu, wyglądają jak roboty: identyczne repliki jednego modelu z rudawozłotymi czuprynymi i typowo amerykańskimi rysami twarzy. Fizycznie niemal równie doskonali jak ruch ich łódki. Mięśnie naprężające się pod szarymi bluzami drużyny wioślarskiej Harvardu, smukłe i sprężyste ciała; obaj mają co najmniej po dwa metry wzrostu. Niezwykłe wrażenie, jakie robią, potęguje ich całkowite podobieństwo: od ciemnoniebieskiego koloru oczu do głębokiej determinacji malującej się na posągowych twarzach.

Formalnie rzecz biorąc, bracia Winklevoss byli bliźniakami jednojajowymi - efektem rozwarcia się zapłodnionego jajeczka niczym stron czasopisma. Siedzący z przodu Tyler Winklevoss był praworęczny i miał znaczenie bardziej logiczny, poukładany stosunek do świata niż jego brat. Zajmujący tylną pozycję Cameron Winklevoss był leworęczny i wykazywał się większą kreatywnością i zmysłem artystycznym.

Niemniej w tamtej chwili ich osobowości zlały się w jedno. Poruszali wiosłami w milczeniu, popychając bez wysiłku łódkę po rzece - nie musieli komunikować się za pomocą słów ani sygnałów niewerbalnych. Ten stan koncentracji wydawał się niemal nieludzki, ale był efektem wielu lat doskonalenia wrodzonych umiejętności pod opieką kilku trenerów na Harvardzie, a wcześniej w Green wick w stanie Connecticut, gdzie dorastali. Ciężka praca przyniosła już w dużej mierze efekty: jako studenci ostatniego roku mieli spore szanse, by dostać się do olimpijskiej reprezentacji wioślarskiej Stanów Zjednoczonych. W Harvardzie byli jednymi z najlepszych. Rok wcześniej zdobyli mistrzostwo kraju juniorów, a pod ich przewodnictwem Harvard odniósł wiele zwycięstw w drużynowych zawodach wioślarskich. Obecnie bracia zajmowali pierwsze miejsca we wszystkich kategoriach rankingu uniwersytetów Ivy League.

Ani jedno z tych osiągnięć nie miało jednak w tej chwili dla braci Winklevoss żadnego znaczenia, bowiem całą uwagę skupiali na prowadzeniu

łódki po lodowatej wodzie rzeki Charles. Pływali po niej od czwartej nad ranem, krążąc między dwoma mostami, i zamierzali kontynuować trening przez kolejne dwie godziny - niemal do granicy wyczerpania - kiedy kampus zacznie budzić się do życia, a jaskrawożółte promyki słońca zaczną się przedzierać przez szarą mgłę.

Trzy godziny później Tyler wciąż miał wrażenie, że czuje pod stopami nurt rzeki. Opadł na krzesło obok Camerona. Siedzieli na końcu długiego, porysowanego drewnianego stołu w tylnej części jadalni akademika Pforzheimer. Była to przestronna, wysoka prostokątna sala, dość nowocześnie urządzona i jasno oświetlona, w której stało ponad dziesięć długich stołów. Przy większości siedzieli studenci - od dłuższego czasu trwała pora śniadaniowa.

Pforzheimer House był jednym z najnowszych akademików - choć na kampusie istniejącym od ponad trzystu lat słowo „nowy” miało charakter względny - i jednym z największych, bowiem mieszkało w nim około stu pięćdziesięciu studentów drugiego, trzeciego i czwartego roku. Na pierwszym roku studenci mieszkali w domach przy głównym dziedzińcu, później losowo przydzielano ich do akademików, w których spędzali resztę studiów. Pforzheimer nie zajmował pierwszego miejsca na liście marzeń każdego studenta ze względu na nieatrakcyjną lokalizację: stał pośrodku rozległego trawnika otoczonego czworokątem innych budynków. Czworokąt wchodził w skład budynków uniwersyteckich, które zbudowano na terenie Cambridge. Oficjalnie powodem wyjścia poza teren uczelni był problem przeludnienia, niemniej chodziło raczej o lepsze wykorzystanie ogromnych środków

finansowych, jakimi dysponował uniwersytet.

Mieszkanie w Czworokacie nie przypominało może zesłania na Syberię, ale studenci, którzy trafiali tam pod koniec pierwszego roku, bez wątplenia mieli poczucie zsyłki do czegoś w rodzaju gułagu. Tamtejsze akademiki były oddalone o dobre dwadzieścia minut na piechotę od głównego dziedzińca, przy którym odbywała się większość zajęć. Dla Tylera i Camerona przeprowadzka do Czworokata oznaczała jeszcze cięższy wyrok niż dla pozostałych studentów. Po dojściu na główny dziedziniec czekało ich kolejne dziesięć minut uciążliwego marszu nad rzekę, gdzie znajdował się hangar z łodziami oraz kilka bardziej znanych akademików: Eliot, Kirkland, Leverett, Mather, Lowell, Adams, Dunster i Quincy.

Tam poszczególne akademiki miały swoje nazwy. Tu określano je zbiorczą nazwą Czworokata.

Tyler zerknął na Camerona, który pochylał się nad czerwoną plastikową tacką ze śniadaniem. Górę jajecznicę otaczał wał ziemniaków, posmarowana masłem grzanka i świeży owoc - ilość węglowodanów wystarczyłaby do uruchomienia samochodu typu SUV lub dwumetrowej gwiazdy wioślarstwa. Widząc, jak Cameron pochłania kolejne porcje jajecznicę, Tyler nabrał przekonania, że jego brat jest tak samo wykończony, jak on. Harowali jak woły od kilku tygodni - nie tylko na rzece, ale również na zajęciach - i zaczęli odczuwać zmęczenie. Wstawali codziennie o czwartej, trenowali na rzece, później szli na zajęcia i odrabiali zadania domowe. Następnie czekał ich kolejny trening na rzece, ćwiczenia na siłowni i bieganie. Życie studenta sportowca było ciężkie. Tyler miał poczucie, jakby niektóre dni upływały im wyłącznie na pływaniu, jedzeniu i odrobinie snu. Naprzeciwko nich siedział Divya Narendra, w tej chwili niemal całkowicie zasłonięty egzemplarzem harwardzkiego dziennika „Crimson”. Pod gazetą stała nietknięta miska owsianki. Tyler wiedział, że jeśli Divya nie przerwie szybko lektury, jego śniadanie padnie łupem Camerona. Sam chętnie pozbawiłby Divyę posiłku, gdyby nie fakt, iż

zanim jeszcze usiadł do stołu, zdążył zjeść niemal dwukrotnie większe śniadanie niż Cameron.

Divya nie był sportowcem, ale bez wątpienia rozumiał ich zamiłowanie do wiosłarstwa oraz poświęcenie, z jakim podchodzili do treningów. Tyler nie spotkał nigdy bystrzejszego człowieka od Divyi. Od jakiegoś czasu pracowali w trójkę nad swego rodzaju tajnym projektem. Jak na ironię, to dodatkowe zajęcie zaczynało ich coraz bardziej absorbować, tymczasem mogli mu poświęcać coraz mniej czasu.

Tyler odkaszlnął i czekał spokojnie, aż Divya odłoży gazetę. Ten uniósł palec, prosząc o chwilę na dokończenie artykułu. Zirytowany Tyler wznosił oczy do nieba. W tym samym momencie jego uwagę przykuło kilka dziewcząt, które siedziały przy stole znajdującym się dokładnie za Divyą i nieustannie zerkały na niego i Camerona. Kiedy spojrzał w ich stronę, szybko odwróciły wzrok.

Chcąc nie chcąc, zdążyli się już do takich sytuacji przyzwyczaić. Trudno było ukryć fakt, iż Tyler i Cameron naprawdę są bliźniakami jednojajowymi. Zdawał sobie sprawę, że przedstawiają nietypowy widok i w pewnym sensie przypominają postaci z cyrku. A jednak tu, w Harvardzie chodziło o coś jeszcze i bynajmniej nie o ich możliwe zakwalifikowanie się do kadry olimpijskiej Stanów Zjednoczonych. Tyler i Cameron cieszyli się na kampusie pewnym szacunkiem; zdobyli go jako sportowcy, ale objął on również inne dziedziny życia.

Tyler potrafił oczywiście z łatwością wskazać precyzyjnie chwilę, kiedy to się stało. Na trzecim roku razem z bratem zostali członkami Porcellian Club. Było to najbardziej prestiżowe, najbardziej sekretne i najstarsze bractwo na kampusie, a jednocześnie najmniej liczne. Niezwykle rzadko zdarzało się również, aby studentów przyjmowano na trzecim, a nie na drugim roku.

Zdaniem Tylera z zaproszeniem wstrzymano się niemal na pewno ze względu na ich pochodzenie. Nazwiska większości członków Porc miały w

Harvardzie kilkusetletnią historię. Choć ojciec Tylera i Camerona był niesamowicie bogaty, do wszystkiego doszedł samodzielnie, tworząc od podstaw wziętą firmę konsultingową. Tyler i Cameron nie pochodzili zatem z wielopokoleniowej rodziny bogaczy, choć rzecz jasna trudno ich było uznać za ubogich. Nie stanowiłoby to problemu w Fly czy Phoenixie, ale w Porc trzeba było pochwalić się czymś więcej.

Porc nie był klubem towarzyskim, jak Phoenix. Po pierwsze, nie wpuszczano do niego kobiet. Jeżeli członek klubu się żenił, w dniu ślubu mógł oprowadzić żonę po budynku; ponownie mogła się tam zjawić w dwudziestą piątą rocznicę jego przynależności. I to wszystko. Jedynie słynną Salę Rowerową - popularne miejsce spotkań przylegające do samego klubu - udostępniano osobom postronnym.

Po drugie, istotą przynależności do Porc, w odróżnieniu od pozostałych bractw na kampusie, nie było chodzenie na imprezy i zaliczanie dziewczyn. Ludzi należących do Porc interesowała przyszłość oraz otaczający ich szacunek, który sprawiał, że inni gapili się na nich w jadalni, salach wykładowych i na dziedzińcu. Porc nie był klubem towarzyskim - zajmowano się tam poważnymi sprawami.

Tyler potrafił to docenić. Poważna sprawa sprowadziła ich dziś do jadalni na spotkanie z Divyą. Cholernie poważna sprawa.

Tyler odwrócił wzrok od zarumienionych dziewczyn i wziął nadgryzione jabłko z tacy brata. Zanim Cameron zdążył zaprotestować, rzucone w powietrze jabłko zakreśliło wysoki łuk i wylądowało w misce z owsianką Divyi. Owsianka rozchlapała się na wszystkie strony, brudząc między innymi gazetę.

Divya zastygł w bezruchu, następnie powoli złożył gazetę pokrytą plamami gęstej białej brei i umieścił ją na stole obok miski z owsianką.

- Po co czytasz tego szmatławca? - spytał Tyler, uśmiechając się do przyjaciela. - Masz za dużo czasu?

- Lubię wiedzieć, co porabiają inni studenci - wyjaśnił Divya. - Należy

trzymać rękę na pulsie życia uniwersyteckiego. Nie sądzisz, że kiedy w końcu założymy naszą porąbaną firmę, ten twój „szmatławiec” stanie się dla nas naprawdę ważny?

Tyler wzruszył ramionami, choć wiedział, że Divya ma rację. Divya zazwyczaj miał rację i głównie z tego powodu Tyler i Cameron zaczęli z nim współpracować. Spotykali się raz w tygodniu, czasami częściej, od grudnia 2002 roku. Niemal od dwóch lat.

- Nie będziemy niczego zakładać, dopóki nie znajdziemy kogoś na miejsce Victora - wtrącił Cameron, zjadając jajecznicę. - Sprawa jest pewna.

- Naprawdę się wycofał? - spytał Tyler.

- Tak - potwierdził Divya. - Twierdzi, że ma za dużo rzeczy na głowie i po prostu nie wyrabia. Musimy go zastąpić innym programistą, choć niełatwo będzie znaleźć kogoś równie dobrego jak Victor.

Tyler westchnął. Poświęcili temu projektowi dwa lata, a wydawało się, jakby w ogóle nie przybliżyli się do jego zakończenia. Victor Gua był cennym współpracownikiem, specem od komputerów, który doskonale rozumiał ich projekt. Okazało się jednak, że nie będzie w stanie dokończyć pracy.

Gdyby tylko Tyler, Cameron lub Divya dysponowali niezbędnymi umiejętnościami informatycznymi, aby samodzielnie dokończyć projekt... W głębi duszy Tyler wiedział, że ich firma odniosłaby wielki sukces. Całość opierała się na niesamowitym pomysle. Pierwszy wpadł na niego Divya, a Tyler i Cameron pomogli go udoskonalić do postaci, którą we trzech nieskromnie uważali po prostu za genialną.

Projekt nosił nazwę Harvard Connection i miał doprowadzić do powstania strony internetowej, która zmieni życie w kampusie. Teraz potrzebowali jedynie zdolnego informatyka, który potrafiłby wcielić ich pomysł w życie. Sama idea była prosta: chodziło o przeniesienie życia towarzyskiego Harvardu do Internetu; stworzenie portalu, na którym takie osoby jak Tyler czy Cameron - którzy cały wolny czas poświęcali na pływanie, jedzenie i spanie - mogłyby

poznawać dziewczyny (jak te z sąsiedniego stołu, które ukradkowo na nich zerkały) bez konieczności marnowania czasu na i tak zazwyczaj bezowocne wałęsanie się po kampusie.

Tyler i Cameron, jako przedstawiciele harwardzkiej elity, jak mało kto dostrzegali wady życia towarzyskiego uniwersytetu; faceci nie mieli okazji do poznawania odpowiedniej liczby dziewczyn, ponieważ byli zbyt zajęci innymi obowiązkami, które, o ironio, zapewniały im ogromną popularność wśród dziewczyn. W rozwiązaniu tego problemu miała pomóc strona internetowa umożliwiająca nawiązywanie kontaktów towarzyskich w dynamicznym, wirtualnym środowisku, w którym mogliby się spotykać przedstawiciele obu płci.

Harvard Connection miał zaspokajać potrzeby ludzi studiujących na uniwersytecie w dużej mierze pozbawionym życia towarzyskiego. Do tej pory chłopak, który zajmował się wiosłarstwem lub grał w baseball czy futbol amerykański, nie miał czasu na inne sprawy. Nie spotykał innych dziewczyn poza tymi, które przychodziły nad rzekę, na stadion lub boisko. Jeżeli mieszkał w Czworokącie, jego wybór ograniczał się do tamtejszych dziewczyn. Mógł oczywiście pochwalić się przed jakąś spotkaną w Cambridge dziewczyną, że studiuje na Harvardzie - wykorzystując wysoki status społeczny, jakim cieszyli się studenci tego uniwersytetu - niemniej portal typu Harvard Connection znacznie rozszerzyłby jego możliwości.

Prosta, doskonała, zaspokajająca potrzebę. Strona miała składać się z dwóch części: randki i kontakty towarzyskie. Tyler i Cameron liczyli, że kiedy strona odniesie sukces na Harvardzie, będzie można ją rozszerzyć na inne uniwersytety - być może wszystkie wchodzące w skład Ivy League. Również tam chłopaki przechwalają się przed dziewczynami, że są studentami prestiżowego uniwersytetu.

Jedyną wadą tego biznesplanu była konieczność znalezienia prawdziwego geniusza komputerowego, bez którego nie mieli żadnej szansy na stworzenie

strony internetowej. Tyler i Cameron uczyli się języka HTML w szkole średniej, nie znali go jednak wystarczająco dobrze, aby poradzić sobie z tak dużym projektem. Potrzebowali prawdziwego specjalisty, który byłby nie tylko inteligentny, ale również rozumiał ich pomysł. Harvard Connection miał być portalem, z którego studenci będą korzystali regularnie, tak jak wykonują inne czynności: wstaną rano z łóżka, wezmą prysznic, ogolą się, zadzwonią do kogoś, a następnie wejdą na swoje konto, aby sprawdzić, kto się n i m i ostatnio interesował.

- Victor obiecał nam polecić kilka osób - powiedział Divya, próbując osuszyć gazetę, potrząsając nią nad miską z owsianką. - Jakichś chłopaków, z którymi chodzi na zajęcia. Sami też moglibyśmy się rozejrzeć. Musimy tylko rozgłosić, że szukamy informatyka.

- Popytam w Porc - wtrącił Cameron. - Co prawda nikt się tam jakoś specjalnie nie zna na komputerach, ale może ktoś ma młodszego brata.

No świetnie, pomyślał Tyler, jeszcze chwila, a zawiesimy ogłoszenie w uniwersyteckim centrum naukowym i zaczniemy się włóczyć po pracowniach informatycznych. Widząc, co Divya wyczynia z gazetą, nie potrafił powstrzymać uśmiechu, mimo ogarniającej go coraz silniej frustracji. Divya zawsze zachowywał się tak wytwornie... Był synem pary hinduskich lekarzy z dzielnicy Bayside w nowojorskim Queens. Wzorem starszego brata poszedł na Harvard. Zawsze elegancko się ubierał, miał staranną fryzurę i wyrażał się niezwykle poprawnie. Któż mógłby przypuszczać, że był mistrzem gitary elektrycznej, zwłaszcza riff ów heavymetalowych. Na co dzień sprawiał wrażenie człowieka niesamowicie eleganckiego, który będzie nawet gotów wycisnąć swoją gazetę z owsianki.

Tyler mimowolnie skierował wzrok na stół, przy którym siedziały dziewczyny. Najwyższa z nich - brunetka o uderzająco pięknych brązowych oczach, ubrana w bluzę harwardzkiej drużyny sportowej, pod którą miała koszulkę z głębokim dekoltem - patrzyła właśnie prosto na niego, uśmiechając

się znał celowo odsłoniętego skrawka opalonego ramienia. Tyler odwzajemnił uśmiech.

Divya zakaszła, wrywając Tylera z zamyślenia.

- Mam poważne wątpliwości, czy byłaby zainteresowana kodem HTML.

- Nie zaszkodziłoby zapytać - odparł Tyler, mrugając do brunetki.

Podniósł się z krzesła. Spotkanie z Divyą szybko dobiegło końca, ale do czasu znalezienia nowego Victora nie mieli wielu spraw do omówienia. Ruszył w kierunku grupy dziewcząt, zatrzymał się jednak przy hinduskim przyjacielu. Zerknął na pokrytą owsianką gazetę, uśmiechnął się i powiedział:

- Jedno jest pewne... nie znajdziesz informatyka w pieprzonym „Crimsonie”.

ROZDZIAŁ 4 KURY KANIBALE

Eduardo otworzył wielkie dwuskrzydłowe drzwi, jak tylko mógł najciszej, i wślizgnął się do środka. Wykład trwał już od dłuższego czasu. W dolnej części ogromnego pomieszczenia przypominającego salę kinową, na podświetlonym przez kilka dużych reflektorów podium, mały gruby mężczyzna w tweedowej marynarce podskakiwał za masywną dębową katedrą. Wprost emanował energią, a jego okrągłe policzki pokrywały czerwone rumieńce entuzjazmu. Raz po raz wyrzucał patykowate ręce w górę, a co kilka minut uderzał nimi o mównicę, czemu towarzyszył przypominający wystrzał huk, który rozchodził się po sali z głośników podwieszonych pod niesamowicie wysokim sufitem. Wskazywał palcem za siebie, gdzie na wysokości na trzy metry tablicy wisiało coś przypominającego skrzyżowanie rycin z ksiązek Tolkiena z mapami wojskowymi, które podczas II wojny światowej mogły być wykorzystywane w centrum dowodzenia Franklina Delano Roosevelta.

Eduardo nie miał pojęcia, jaka grupa siedziała na sali ani czego dotyczył wykład. Nie rozpoznawał mężczyzny za mównicą, co jednak było całkowicie naturalne, bowiem na Harvardzie pracowało tylu profesorów, wykładowców i opiekunów naukowych, że trudno było się połapać, kto jest kim. Z rozmiarów sali wykładowej oraz faktu, iż niemal wszystkie trzysta miejsc było zajętych, Eduardo wywnioskował, że trafił na zajęcia należące do kanonu. Tylko wykłady z przedmiotów kanonicznych miały tylu słuchaczy, a ponieważ były obowiązkowe, Eduardo, Mark i inni studenci traktowali je jak zło konieczne harwardzkiego życia.

Kanon na Harvardzie był czymś więcej niż tylko zbiorem przedmiotów obowiązkowych - na uniwersytecie przypisywano mu swego rodzaju filozofię. Zakładano bowiem, że każdy student powinien poświęcić co najmniej jedną

czwartą czasu na zajęcia mające uczynić z niego „wszechstronnego” człowieka. Do kanonu należały zatem kursy z obcych kultur, historia, literatura, etyka, logika, nauki ścisłe i socjologia. Pomysł wydawał się słuszny, ale w praktyce kanon nie realizował szczytnych ideałów, które doprowadziły do jego powstania. Zajęcia z kanonu uczyły tylko podstawowych wiadomości, ponieważ nikt nie wybierał ich z rzeczywistego zainteresowania danym tematem. W ten sposób zamiast pogłębionych, erudycyjnych zajęć z historii i sztuki studenci mogli wybrać się na „Folklor i mitologię” (lub jak pieszczotliwie nazywała te zajęcia przysypiająca na wykładach młodzież - „Grecję dla opornych”), wprowadzenie do fizyki („Fizyka dla poetów”) czy pół tuzina przedziwnych kursów z antropologii, które miały nie wielkie lub żadne przełożenie na realny świat. W ten sposób niemal każdy absolwent Harvardu miał zaliczony co najmniej jeden kurs dotyczący Yanomamö, „dzikich ludzi” z puszczy amazońskiej; plemienia, które żyło tak samo, jak ludzie z epoki kamienia. Absolwent Harvardu nie musiał wiedzieć zbyt wiele o polityce lub matematyce, jednak zapytany o Yanomamö potrafił powiedzieć, że przedstawiciele tego plemienia byli bardzo agresywni i że często walczyli ze sobą za pomocą dużych, długich kijów oraz praktykowali rytuał przekłuwania różnych części ciała, którego efekty mogły budzić jeszcze większą grozę niż kolczyki u dzieciaków śmigających na torze deskorolkowym na dziedzińcu Harvardu.

Z tylnej części sali wykładowej Eduardo obserwował przez chwilę podskakującego za katedrą profesora, starając się wychwycić jakieś charakterystyczne słowa lub frazy z zawieszzonego pod sufitem nagłośnienia. Na ile udało mu się zorientować, zajęcia dotyczyły historii lub filozofii. Kiedy dokładniej przyjrzał się mapie wiszącej na tablicy, doszedł do wniosku, że znajdowało się na niej coś przypominającego Europę sprzed trzystu lat; niewiele mu to jednak pomogło. Eduardo wątpił, aby zajęcia miały cokolwiek wspólnego z Yanomamö, ale na Harvardzie nigdy nie można było wykluczyć takiej możliwości.

Tego poranka nie przyszedł na zajęcia, aby się „uwszechstronnić”. Sprowadzało go tam coś zupełnie innego.

Przeczesał wzrokiem salę, osłaniając dłonią oczy przed ogromnymi reflektorami postawionymi na scenie i skierowanymi, jak się wydawało, dokładnie w przeciwnym kierunku niż powinny. Drugą rękę miał zajętą, bowiem pod lewym ramieniem trzymał okazałą skrzynkę owiniętą dużym niebieskim ręcznikiem. Skrzynka była ciężka i podczas przeszukiwania kolejnych rzędów Eduardo uważał, aby jej nie upuścić.

Po kilku minutach dostrzegł Marka, który siedział samotnie w trzecim rzędzie od końca z nogami w klapkach wyciągniętymi na pustym krześle przed nim. Na kolanach trzymał notatnik, ale chyba nic w nim nie zapisywał. Wyglądało, jakby wręcz zasnął - miał zamknięte oczy, a głowę niemal w całości skrytą pod obszernym kapturem polaru, który zawsze nosił. Ręce trzymał w kieszeniach dżinsów.

Eduardo uśmiechnął się pod nosem. W ciągu kilku wcześniejszych tygodni on i Mark zostali bliskimi przyjaciółmi. Choć mieszkali w różnych akademikach i studiowali na różnych kierunkach, Eduardo dostrzegał łączące ich podobieństwo duchowe. Zaczynał nawet nabierać dziwnego poczucia, że już od dawna przeznaczone im było się zaprzyjaźnić. W ostatnim czasie naprawdę polubił Marka i zaczął myśleć o nim jak o bracie, a nie tylko koledze z żydowskiego bractwa. Był w zasadzie pewien, że Mark ma podobne uczucia wobec niego.

Nie przestając się uśmiechać, po cichu ruszył wzdłuż rzędu krzeseł w stronę Marka. Przesząpił nad wyciągniętymi nogami jakiegoś drzemiącego studenta trzeciego roku, którego przypominał sobie mgliście z seminariów z ekonomii, następnie precyzyjnie przesunął się obok dwóch studentek drugiego roku, które słuchały czegoś z odtwarzacza mp3 schowanego w stojącej między nimi torbie. W końcu klapnął na puste krzesło obok Marka i ostrożnie postawił przed sobą owiniętą ręcznikiem skrzynkę.

Mark otworzył oczy, zauważył Eduarda, po czym powoli przeniósł wzrok na skrzynkę.

- O cholera.

- Zgadza się - skinął głową Eduardo.

- To chyba nie jest...

- Tak.

Mark zagwizdał cicho, pochylił się i unióśł narożnik ręcznika.

Ledwie to uczynił, żywa kura schowana w skrzynce na mleko zaczęła głośno gdakać. Ze skrzynki wystrzeliły pióra, które opadły następnie dookoła Eduarda i Marka oraz wszystkich pozostałych studentów w promieniu pięciu metrów. Ludzie siedzący w okolicznych rzędach zwrócili w ich stronę głowy. Chwilę później wszyscy siedzący w tej części sali wpatrywali się w nich z mieszaniną przerażenia i rozbawienia w oczach.

Czerwony ze wstydu Eduardo szybko złapał ręcznik i gwałtownym ruchem zakrył nim szczelnie skrzynkę. Po chwili kura się uspokoiła. Eduardo spojrział w stronę mównicy, ale profesor wciąż nawijał o Brytach, wikingach czy jakichś innych ludach sprzed kilku wieków. Ze względu na ogłuszające nagłośnienie, dzięki Bogu, nie usłyszał rabanu, jaki zrobiła kura.

- No pięknie - stwierdził Mark, zerkając z uśmiechem na skrzynkę. - Podoba mi się twój nowy przyjaciel. Wygląda na bardziej rozmownego ode mnie.

- Zwariowałeś? - syknął Eduardo, ignorując kąśliwą uwagę. - Ta kura jest upierdliwa jak nie wiem co. Miałem już z jej powodu masę kłopotów.

Mark nie przestawał się uśmiechać. Eduardo musiał przyznać, że obiektywnie sytuacja była rzeczywiście dość zabawna. Kura była częścią rytuału inicjacyjnego, jaki musiał przejść każdy kandydat na członka Phoenixa. Miał ją nosić ze sobą zawsze i wszędzie, w dzień i w nocy, na każde zajęcia, do jadalni i wszystkich akademików, które odwiedzał. Mało tego - musiał z tym potworem sypiać. Przez pięć długich dni jego jedynym zadaniem było utrzymanie kury

przy życiu.

Przez kilka pierwszych dni wszystko szło jak po maśle. Kura sprawiała wrażenie zadowolonej, a żaden z wykładowców niczego nie zauważył. Eduardo opuszczał większość kameralnych seminariów, tłumacząc się gripą. Jadalnie i akademiki nie stanowiły problemu, ponieważ większość studentów znała rytuały inicjacyjne bractw, więc ludzie przesadnie mu nie dokuczali. Z kolei kilku przedstawicieli władz uniwersytetu, na których się przez te dni natknął, przymykało na sprawę oko. Dostanie się do bractwa było ważnym wydarzeniem i każdy zdawał sobie z tego sprawę.

Wszystko skomplikowało się w trakcie dwóch ostatnich dni inicjacji.

Czterdzieści osiem godzin wcześniej Eduardo przyniósł kurę do swojego pokoju w akademiku Eliot po długim dniu wypełnionym unikaniem zajęć. Jak się okazało, na jego piętrze mieszkało dwóch chłopaków z bractwa Porcellian. Eduardo spotkał ich kilka razy wcześniej, ale ponieważ obracali się w różnych kręgach towarzyskich, nigdy tak naprawdę nie miał okazji bliżej ich poznać. Eduardo nie podejrzewał niczego, gdy sąsiedzi zobaczyli go z kurą; nie zamierzał również ukrywać faktu, że nakarmi ją kawałkiem smażonego kurczaka, który przemycił z jadalni.

Eduardo zdał sobie sprawę z konsekwencji swojego postępowania dopiero dwadzieścia cztery godziny później, kiedy „Harvard Crimson” opublikował artykuł na temat jego kury. Poprzedniego wieczoru jego sąsiedzi z Porc zauważyli, jak Eduardo karmi kurę kurczakiem. Natychmiast wysłali anonimowy email do United Poultry Concern, organizacji zajmującej się ochroną praw drobiu. W rzeczonym emailu - wysłanym z adresu friendofthePorc@hotmail.com - niejaka „Jennifer” oskarżyła Phoenixa o zmuszanie kandydatów poddawanych rytuałowi inicjacji do torturowania i zabijania kurczaków. United Poultry Concern natychmiast skontaktowała się z władzami Harvardu, docierając do samego rektora Larry'ego Summersa. Uniwersytet wszczął wewnętrzne śledztwo, a Phoenix musiał się bronić przed

zarzutami o stosowanie okrucieństwa wobec zwierząt, w tym zmuszanie bezbronnego drobiu do kanibalizmu.

Choć Eduardo musiał przyznać, że chłopaki z Porc sprytnie to rozegrali, w rezultacie na głowę Phoenixsa spadły gromy. Przywódcy bractwa na szczęście nie zdołali jeszcze połączyć kryzysu z osobą Eduarda, miał on jednak nadzieję, że nawet jeśli do tego dojdzie, dostrzegą humorystyczny aspekt całej sytuacji.

Eduardo nie otrzymał rzecz jasna rozkazu torturowania i zabicia kury. Wręcz przeciwnie - polecono mu, aby utrzymywał zwierzę w dobrym zdrowiu. Być może nakarmienie kury kawałkami kurczaka było błędem, skąd jednak miał wiedzieć, czym żywią się kury? Nikt nie dołącza do nich instrukcji obsługi. Eduardo chodził do żydowskiego liceum w Miami. Co, u licha, Żydzi mieli wiedzieć o kurach, poza tym, że robi się z nich dobry rosół?

Przez całe to zamieszanie niemal zapomniał, że zbliża się koniec okresu inicjacji. Za kilka dni miał zostać pełnoprawnym członkiem Phoenixsa. Jeżeli tylko nie wyleci przez aferę z kurą, niedługo będzie mógł co weekend chodzić do siedziby bractwa, co wywrze ogromny wpływ na jego życie towarzyskie. Już w tej chwili dostrzegał pierwsze zmiany.

Nachylił się w stronę Marka, przytrzymując rękami skrzynkę i próbując choć na chwilę uspokoić kurę.

- Muszę stąd wyjść, zanim znów zaczniesz wariować - wyszeptał. - Chciałem się tylko upewnić, że jesteśmy umówieni na dziś wieczór.

Mark uniósł brwi, a Eduardo skinął z uśmiechem głową. Poprzedniego wieczoru poznał dziewczynę podczas nieformalnego przyjęcia w Phoenixsie. Miała na imię Angie, była słodką, szczupłą Azjatką i miała przyjaciółkę. Namówiona przez Eduarda miała ją ze sobą przyprowadzić. Umówili się, że we czwórkę pójdą na drinka do Grafton Street Grille. Jeszcze miesiąc wcześniej taka sytuacja praktycznie nie mogłaby się zdarzyć.

- Przypomnij mi, jak ma na imię - powiedział Mark. - Ta przyjaciółka.

- Monica.

- I jest seksowna?

Prawdę powiedziawszy, Eduardo nie miał pojęcia, czy Monica jest seksowna. Nigdy jej nie widział. Wychodził jednak z założenia, że żaden z nich nie może sobie pozwolić na grymaszenie, ponieważ do tej pory panienki same jakoś nie pchały im się do łóżek. Eduardo miał zostać lada chwila przyjęty do bractwa studenckiego i od jakiegoś czasu zaczął mieć dostęp do kobiet. Postanowił włączyć we wszystko Marka; co prawda nie mógł go jeszcze wprowadzić do samego Phoenixa, ale bez wątpienia miał sposobność poznania go z niejedną dziewczyną.

Mark wzruszył ramionami. Eduardo podniósł ostrożnie skrzynkę, wstał z fotela i ruszył z powrotem w kierunku wyjścia. Na odchodne obrzucił szybkim spojrzeniem strój Marka, który jak zwykle miał na sobie klapki Adidasa, džinsy i polar z kapturem. Eduardo poprawił krawat i strząsnął pióra z klap swojej granatowej marynarki. Krawat i marynarkę nosił na co dzień, a na spotkania w Stowarzyszeniu Inwestycyjnym zakładał pełny garnitur.

- Bądź na miejscu o ósmej - zawołał w stronę Marka, wychodząc z rzędu.

- I wiesz, co...?

- No? - Spróbuj dla odmiany włożyć na siebie coś estetycznego.

ROZDZIAŁ 5 OSTATNI TYDZIEŃ PAŹDZIERNIKA 2003 ROKU

Za każdą wielką fortuną kryje się wielkie kłamstwo.

Gdyby Balzak mógł powstać z grobu i zobaczyć, jak Mark Zuckerberg wpada jak burza do swojego pokoju w akademiku pamiętnego wieczoru w ostatnim tygodniu października 2003 roku, być może zmodyfikowałby swoje słynne słowa, ponieważ historyczna chwila, która ostatecznie doprowadziła do narodzin jednej z największych fortun historii współczesnej, rozpoczęła się nie tyle od zbrodni, co od zwykłego studenckiego żartu.

Gdyby powstały z martwych Balzak znalazł się w tym spartańskim, klaustrofobicznym pokoju, zobaczyłby, że po wejściu do środka Mark kieruje się od razu do komputera. Wyraźnie wściekły chłopak przyniósł ze sobą kilka puszek piwa marki Beck's. Jak zwykle miał na sobie prawdopodobnie klapki Adidasa i polar z kapturem. Wszyscy wiedzieli, że nienawidzi butów. Postanowił, że pewnego dnia osiągnie pozycję, która pozwoli mu chodzić wyłącznie w klapkach.

Być może Mark pociągnął z puszek łyk piwa, po którym w gardle pozostał mu gorzki posmak. Dotknął klawiatury laptopa, wybudzając go z uśpienia.

Od czasu szkoły średniej potrafił jaśniej formułować myśli, jeśli mógł je zapisać palcami. Uważny obserwator doszedłby bez wątpienia do wniosku, że Mark znacznie łatwiej nawiązuje kontakt z komputerem niż z jakimkolwiek człowiekiem. Zawsze wydawał się szczęśliwszy, gdy widział swoje odbicie na ekranie monitora. Być może wynikało to z potrzeby sprawowania kontroli - a w relacji z komputerem Mark zawsze sprawował pełną kontrolę - a może chodziło o coś więcej, o symbiozę, jaka przez lata praktyki połączyła go z maszyną. Sposób, w jaki poruszały się palce Marka, wskazywał, że przy klawiaturze czuje się jak u siebie w domu. Czasami można było zapewne odnieść wrażenie, że

klawiatura jest jego j edynym domem.

Tego wieczoru zasiadł tuż po ósmej przed jasno rozświetlonym ekranem. Nacisnął kilka klawiszy i otworzył pusty formularz bloga. Prawdopodobnie pomysł, który zamierzał zrealizować, chodził mu po głowie od kilku dni. Nagromadzona podczas minionego wieczoru frustracja najwyraźniej popchnęła go do rozwinięcia pomysłu, wypieczenia z tej mąki chleba. Zaczął od tytułu:

Harvard Face Mash/Powstanie

Być może wpatrywał się w te słowa przez kilka minut, rozmyślając, czy rzeczywiście jest sens się za to zabierać. Mógł wypić kolejny łyk piwa, po którym z powrotem pochylił się nad klawiaturą:

20:13: ***** to suka. Muszę się na czymś skoncentrować, byle tylko o niej nie myśleć. Muszę czymś zająć umysł. Potrzebny jest mi tylko jakiś pomysł.

Być może w głębi duszy Mark czuł, że zrzucanie całej winy na dziewczynę, która dała mu kosza, nie było do końca fair. Czym jej postawa różniła się od zachowania większości dziewczyn, z którymi miał kontakt w szkole średniej i na studiach? Nawet ten dziwak Eduardo miał więcej szczęścia z dziewczynami od Marka Zuckerberga. A teraz miał jeszcze zostać przyjęty do Phoenixa... Mark postanowił, że tego wieczoru rozwiąże swój problem. Stworzy coś, co pozwoli mu przynajmniej częściowo odzyskać kontrolę nad otoczeniem i pokazać wszystkim, na co go stać.

Być może wypił kolejny łyk piwa, a następnie przeniósł wzrok na komputer stacjonarny stojący na tym samym biurku. Nacisnął kilka klawiszy;

ekran drugiego komputera zaszumiał pobudzony do życia. Szybko połączył się z Internetem i wszedł do sieci uniwersyteckiej. Wystarczyło nacisnąć kilka klawiszy i był gotowy.

Wrócił do pisania bloga:

21:48: Nie da się ukryć, jestem trochę nawalony. To nic, że nie ma jeszcze 22 i jest wtorkowy wieczór. No i co z tego? Otworzyłem na komputerze profile studentów Kirklanda. Niektórzy ludzie mają naprawdę paskudne zdjęcia.

Być może się uśmiechał, przeglądając zdjęcia, które zajmowały teraz cały ekran komputera. Bez wątplenia rozpoznawał niektórych chłopaków, a nawet kilka dziewczyn, niemniej większość z nich była dla niego prawdopodobnie zupełnie obca, mimo że spotykał ich w jadalni i w drodze na zajęcia. Oni pewnie też go nie znali; niektóre dziewczyny z pewnością świadomie go ignorowały.

Korci mnie, aby zestawić te twarze ze zdjęciami zwierząt gospodarskich i pozwolić ludziom wybierać, kto im się bardziej podoba.

W pewnym momencie Mark zaczął korespondować ze znajomymi, którzy wracali o tej porze do domu z kolacji, zajęć lub pubów. Jak zwykle komunikacja przebiegała głównie drogą mailową. Żaden z jego znajomych nie posługiwał się telefonem - wszyscy wysyłali do siebie emaile. Poza Eduardem mieli równie wielkiego fioła na punkcie komputerów jak on. Po jakimś czasie wrócił do pisania bloga.

Pewnie nie jest to wcale dobry pomysł, ani nawet zabawny, ale Billy wymyślił, żeby porównywać parami profile ludzi, a tylko czasami zestawiać ich ze zwierzętami. To jest myśl, panie Olson! Może z tego wyjść coś ciekawego.

Owszem, młody chłopak, jakim był Mark, rzeczywiście mógł dostrzec w tym coś ciekawego. Na stronie z profilami studentów mieszkających w Kirklandzie - bazy danych ze zdjęciami studentów harwardzkich akademików były publicznie dostępne - zupełnie nic się nie działo. Tworzyli je pracownicy uniwersytetu, układając zdjęcia studentów w porządku alfabetycznym. Przemyślenia z kilku ostatnich dni musiały się w końcu ułożyć w głowie Marka w sensowną całość - pomysł na stronę internetową. Ekscytowała go zapewne przede wszystkim matematyczna strona przedsięwzięcia, czyli rozwiązania informatyczne potrzebne do stworzenia tego rodzaju strony. Problemem nie było samo napisanie programu, ale oparcie go na właściwym algorytmie. Poziom złożoności kodu będą potrafili bez wątpienia docenić jego koledzy z informatyki, niemniej Mark miał świadomość, że większość mieszkańców kampusu, wszystkie te paniusie i neandertalczyki, nigdy nie pojmie jego istoty.

23:09: No i gotowe. Zastanawiam się, czy zwierzęta gospodarskie będą pasować do całości (z nimi nigdy nic nie wiadomo...), ale podoba mi się pomysł porównywania ludzi parami. Nadaje to całemu projektowi Turingowski klimacik, ponieważ ludzie będą oceniać zdjęcia zerojedynkowo, a nie przydzielać im liczby odpowiadające poziomowi atrakcyjności danej osoby, jak na hotornot.com. Będziemy potrzebowali wielu zdjęć. Niestety Harvard nie upublicznia scentralizowanej bazy profili wszystkich studentów, będę zatem musiał ściągnąć zdjęcia kolejno z każdego akademika. Co oznacza, że tracimy

wszystkich pierwszorzoczników... Cholera!

Być może właśnie wtedy zdał sobie sprawę, że będzie musiał zrobić coś niedozwolonego. Trzeba jednak pamiętać, że Mark nigdy nie lubił chodzić utartymi ścieżkami. W tym specjalizował się Eduardo ze swoją marynarką i krawatem, przynależnością do bractwa i postępowaniem według reguł wyznaczanych przez innych ludzi. Mark udowadniał wielokrotnie, że nie lubi postępować według obowiązujących reguł. Należał raczej do kategorii ludzi, których korci, by wywrócić wszystko do góry nogami.

00:58: Hakowanie czas zacząć. Pierwszy na liście jest Kirkland, który trzyma wszystkie zasoby w publicznych katalogach i ma tak skonfigurowanego Apache'a, że pozwala na indeksowanie. Wystarczy pobawić się przez chwilę Wgetem i można będzie ściągnąć całą bazę profili Kirklanda. Dziecinada.

Dla Marka było to rzeczywiście dziecinnie proste. Pobranie na swojego laptopa wszystkich zdjęć studentów z uniwersyteckich serwerów Kirklanda zajęło mu prawdopodobnie kilka minut. Jasne, w pewnym sensie była to kradzież. Nie miał praw do korzystania z tych zdjęć, a uczelnia z pewnością nie umieściła ich na swojej stronie po to, by każdy mógł je sobie ściągnąć. Skoro jednak informacja była ogólnodostępna, czy Mark nie miał prawa z niej skorzystać? Kto miałby decydować o tym, do jakich ogólnodostępnych materiałów Mark może uzyskać dostęp?

1:03: Następny na liście jest Eliot. Oni też mają ogólnodostępną bazę, ale

ich Apache jest pozbawiony indeksów. Jeśli jednak uruchomię wyszukiwanie, nie wpisując żadnej wartości, wszystkie zdjęcia z ich bazy danych wyświetlą się na jednej stronie. Wtedy wystarczy ją zapamiętać, a Mozilla zapisze wszystkie zdjęcia. Cudownie. Idźmy dalej...

Robił to, co uwielbia każdy haker. Włamanie się do systemu komputerowego Harvardu było dla niego bułką z masłem. Był sprytniejszy niż którykolwiek z zatrudnionych przez uniwersytet informatyków, był sprytniejszy od harwardzkiej administracji, a na pewno od zainstalowanych systemów zabezpieczeń. Tak naprawdę wyświadczał im przysługę, pokazując luki w systemie. Spełniał dobry uczynek, choć wątpił, czy ktokolwiek go tak właśnie zinterpretuje. Ale ostatecznie dokumentował wszystkie poczynania na blogu, który zamierzał umieścić na gotowej stronie, aby wszyscy mogli przeczytać, jak tego dokonał. Pomysł był zapewne dość wariacki, ale Mark uważał blog za wartościowe uzupełnienie portalu.

1:06: Lowell ma pewne zabezpieczenia. Wejście do ich bazy danych wymaga podania nazwy użytkownika i hasła. Pierwsza obserwacja: administratorzy nie mają dostępu do głównej bazy użytkowników, a zatem nie istnieje sposób pozwalający im na ustalenie haseł poszczególnych studentów. Trudno wyobrazić sobie, aby administratorzy pytali studentów o ich hasła, musi zatem istnieć inny sposób na zdobycie tej informacji. Być może istnieje wspólna dla wszystkich nazwa użytkownika i jedno hasło? To jednak wydaje się mało prawdopodobne, ponieważ administratorzy musieliby je po prostu upublicznić. Tę możliwość również można odrzucić, ponieważ oznaczałoby to udostępnienie bazy danych wszystkim użytkownikom Internetu. Należy sobie zatem zadać pytanie, jaki inny typ danych, znanych administratorowi, student mógłby

wykorzystać do weryfikacji swojej tożsamości. Numer legitymacji studenckiej? Przypuszczenie okazało się trafne - czas przyporządkować nazwiska do numerów legitymacji. Wystąpiły jednak dalsze problemy. Zdjęcia wyświetlane są na kilku stronach, a nie chce mi się przechodzić między nimi i zapamiętywać wszystkich ręcznie. Właściwym rozwiązaniem wydaje się napisanie odpowiedniego skryptu w perlu. No i gotowe.

Było to hakerstwo na najbardziej podstawowym poziomie - Mark przypominał kryptografa siedzącego w jakiejś jaskini i próbującego złamać kod nazistów. Jego komputer zapełniał się stopniowo zdjęciami. Wkrótce miał dysponować połową bazy danych Lowella. Każda dziewczyna na kampusie - poza pierwszorocznymi - trafiła jego komputera w postaci maleńkich bajtów i bitów, w których zapisano wszystkie ładniutkie i mniej ładne twarze: blondynki, brunetki i rude, panienki z dużymi i małymi biustami, wysokie i niskie - wszystkie. Czyste szaleństwo.

1:31: Adams nie ma zabezpieczeń, tylko ograniczenie wyświetlania wyników wyszukiwania do 20 na stronę. Wystarczy zapuścić ten sam skrypt, jaki wykorzystałem przed chwilą na stronie Lowella - i po problemie.

Akademik za akademikiem, nazwisko za nazwiskiem. Mark gromadził kolejne dane.

1:42: Quincy nie upublicznia bazy danych profili studentów w Internecie. Ale lipa! Tu nic nie wymyślę. 1:43: Dunster jest skomplikowany. Brak nie tylko

publicznego katalogu, ale w ogóle jakiegokolwiek katalogu. Wszystko trzeba wyszukiwać, a jeśli uzyska się ponad 20 rekordów, żaden się nie wyświetla. A gdy już coś się otrzyma, to nie listę zdjęć, ale link do strony w php, która odsyła użytkownika do kolejnych podstron. Dziwne. To może być trudne. Czas na przerwę.

Akademiki, których nie zdołał od razu rozpracować, zostawiał sobie na później. Nie istniała ściana, na którą nie potrafiłby się wspiąć. Harvard mógł być najlepszym uniwersytetem na świecie, ale nie zdołał zatrzymać Marka Zuckerberga i jego komputera.

1:52: Leverett jest trochę łatwiejszy. Co prawda do zdjęć można dotrzeć wyłącznie przez wyszukiwarkę, ale kiedy nie wpisze się żadnej wartości, wyświetlana jest lista linków do stron ze zdjęciami wszystkich studentów. Trochę bez sensu, że można oglądać tylko jedno zdjęcie naraz - nie zamierzam przecież otwierać 500 podstron i pojedynczo kopiować z każdej zdjęcia. Konieczne będzie uruchomienie Emacs'a i zmodyfikowanie skryptu napisanego wcześniej w perlu. Po wprowadzeniu odpowiednich zmian powinien przejrzeć katalog i wykryć strony ze zdjęciami na podstawie linków z regexami. Kolejny etap pracy skryptu będzie polegał na wejściu na wszystkie znalezione strony i ściągnięciu z nich zdjęć. Po kilku próbach mam gotowy skrypt... Czas na kolejne piwo.

Mark był już wtedy prawdopodobnie całkowicie pochłonięty pracą. Nie zwracał uwagi na godzinę. Dla ludzi pokroju Marka czas był jedną z broni stosowanych przez establishment, podobnie jak porządek alfabetyczny. Wielcy

inżynierowie, hakerzy nie muszą stosować się do tych samych ograniczeń co inni.

2:08: Mather jest niemal identyczny z Leverettem, tyle że ma katalog podzielony na klasy. W ich bazie danych profili nie ma żadnych pierwszorocznych... cienizna.

Godziny płynęły, a Mark pracował niestrudzenie. O czwartej nad ranem miał już chyba wszystkie dane, do których mógł uzyskać dostęp - ściągnął tysiące zdjęć z baz danych akademików. Do kilku nie zdołał uzyskać dostępu ze swojej bondowskiej kryjówki w Kirklandzie - wejście do tych sieci było zapewne możliwe wyłącznie z komputerów o odpowiednich adresach IP. Mark prawdopodobnie doskonale wiedział, jak sobie z tym poradzić - rozwiązanie problemu wymagało jedynie przespacerowania się w kilka miejsc. W ciągu paru dni mógł mieć wszystkie dane, jakich potrzebował.

Po zgromadzeniu pełnej bazy danych wystarczyło napisać skomplikowane algorytmy, na których będzie się opierała strona www, następnie sam program. Potrzeba na to dnia, najwyżej dwóch.

Zamierzał nazwać stronę Facemash.com. Uważał, że będzie odjazdowa:

Być może Harvard zlikwiduje ją z przyczyn prawnych, nie uświadomiwszy sobie jej wartości. Pomysł, na którym się opiera, można wykorzystać na innych uczelniach (może nawet tych, do których chodzą atrakcyjnie wyglądający ludzie). Nie ulega jednak wątpliwości, że jako autor strony zostanie nazwany draniem. Trudno. Prędzej czy później ktoś inny zrobiłby to samo...

Być może się uśmiechał, opróżniając do końca puszkę z piwem i pisząc wstęp, który miał witać wszystkich użytkowników przyszłej strony

internetowej:

Czy dostaliśmy się na uczelnię z powodu wyglądu? Nie. Czy będziemy oceniani na jego podstawie? Tak.

Tak, to będzie zajebiste.

ROZDZIAŁ 6 PÓŹNIEJ TEGO WIECZORU

Gdybyście zapytali kompetentnego hakera, co mogło się wydarzyć później, owej mroźnej nocy w Cambridge, nie miałby większych kłopotów z odpowiedzią. Dalszy rozwój wypadków można przewidzieć na podstawie bloga, w którym Mark przedstawił rozumowanie, jakie doprowadziło do powstania Facemasha. Być może pewne sprawy można wyjaśnić w inny sposób, wiemy jednak, że Mark miał problem z włamaniem się do systemów niektórych akademików. Nie znamy wszystkich szczegółów, możemy zatem tylko przypuszczać, że wyglądało to na przykład tak:

Jeden z harwardzkich akademików. Środek nocy. Chłopak znający się dobrze na zabezpieczeniach komputerowych musi je ominąć. Chłopak żyjący z dala od wspaniałego, buzującego od hormonów świata braci studenckiej. Być może pragnął do tego świata należeć, a może po prostu chciał udowodnić, na co go stać, o ile jest od wszystkich sprytniejszy.

Wyobraźcie sobie, że chłopak ten czai się w ciemnościach. Kolana i ręce trzyma blisko podłogi, kuląc się za obitą aksamitem kanapą. Palcami i kłapkami dotyka szkarłatnego pluszowego dywanu. Pomieszczenie niemal w całości tonie w ciemnościach; przypomina kwadratową pieczarę wypełnioną nieokreślonymi kształtami.

Być może poza chłopakiem ktoś jeszcze znajduje się w pokoju - być może dwa z tych kształtów to ludzie, inny chłopak i dziewczyna stojący pod ścianą w dalszej części pomieszczenia, gdzieś między oknami wychodzącymi na dziedziniec. Ze swojej kryjówki za kanapą chłopak nie potrafi rozpoznać, czy są to studenci drugiego, trzeciego czy czwartego roku. Domyśla się jednak, że oni również nie mają prawa przebywać w tym miejscu. Salon na drugim piętrze nie należy do pomieszczeń zamkniętych dla osób postronnych, jednak aby dostać

się do środka, potrzebny jest klucz. Chłopak musiał znaleźć inny sposób na wejście do pokoju. Przyciął się na podeście schodów prowadzących na drugie piętro, a kiedy woźny skończył odkurzać dywan i myć okna, wślizgnął się do środka, wsuwając książkę między drzwi a futrynę, kiedy mężczyzna był zajęty pakowaniem swoich rzeczy.

Z kolei drugi chłopak i dziewczyna po prostu mieli szczęście. Prawdopodobnie zauważyli uchylone drzwi i wiedzeni ciekawością weszli do środka. Jak łatwo sobie wyobrazić, pierwszy chłopak z trudem zdążył schować się za kanapą. Para i tak by go pewnie nie zauważyła - byli zajęci czym innym.

Dziewczyna opiera się plecami o ścianę, ma rozpiętą skórzaną kurtkę i bluzę podciągniętą do wysokości ramion. Chłopak całuje ją po szyi, a jego dłonie wędrują po jej nagim, wygiętym do przodu brzuchu. Wyglądało na to, że dziewczyna lada chwila mu się odda, na szczęście z jakiegoś powodu zmienia zdanie. Pozwala mu jeszcze na chwilę zabawy, po czym, śmiejąc się, odpycha go od siebie.

Następnie łapie go za rękę i ciągnie w stronę drzwi. Przechodzą tuż obok kanapy, jednak żadne z nich nie spogląda w stronę ukrytego za nią chłopaka. Kiedy dziewczyna dociera do drzwi i otwiera je na oścież, chłopak oplata rękami jej talię, chwyta ją i niemal wyciska na korytarz. Zamykające się drzwi uderzają o leżącą w progu książkę i przez sekundę chłopak sądzi, że ją odepchną, a on pozostanie zamknięty w pokoju na całą noc. Na szczęście tak się nie dzieje, a on zostaje wreszcie sam, otoczony jedynie cieniami i konturami mebli.

Możemy sobie wyobrazić, jak wyczołguje się zza kanapy i wraca do czynności, którą przerwało mu pojawienie się pary. Zaczyna obchodzić pokój na lekko zgiętych nogach, przyglądając się uważnie ciemnym ścianom, zwłaszcza obszarowi przy listwie podłogowej. Po kilku minutach dostrzega to, czego szukał. Z uśmiechem ściąga z lewego ramienia mały plecak.

Przyklęka i sięga do środka. Odszukuje palcami małego laptopa Sony i

wyciąga urządzenie z plecaka. Kabel do sieci ethernet jest już wpięty w laptopa. Chłopak uruchamia komputer, po czym wprawnym gestem chwytając zwisający z boku kabel i wpina go do portu w ścianie kilkanaście centymetrów nad listwą podłogową.

Naciska szybko kilka klawiszy, uruchamiając program, który napisał kilka godzin wcześniej. Patrzy na migoczący ekran. Oczami wyobraźni możemy niemal zobaczyć przepływające przez kabel pakiety cyfrowych informacji, maleńkie impulsy czystej energii wyszarpięte z elektronicznego serca budynku.

Sekundy mijają, tymczasem laptop niemal bezgłośnie pochłania kolejne porcje danych. Chłopak co chwilę ogląda się przez ramię, upewniając się, że pokój jest faktycznie pusty. Serce musi mu bić jak młotem; możemy sobie wyobrazić strużki potu spływające mu po plecach. Zapewne nie po raz pierwszy robi coś takiego, ale trudno nie odczuwać w takiej sytuacji wielkich emocji. Czuje się pewnie, jakby był Jamesem Bondem. W głębi duszy musi zdawać sobie sprawę, że dopuszcza się czynu bezprawnego, a już na pewno sprzecznego z regułami obowiązującymi na uniwersytecie. Oczywiście nie zabija nikogo z zimną krwią. Hakerstwo trudno nawet porównać do kradzieży w sklepie.

Nie kradnie pieniędzy z banku ani nie włamuje się na stronę Departamentu Obrony. Nie zadziera z siecią jakiejś potężnej organizacji ani nawet nie podgląda emaili byłej dziewczyny. Biorąc pod uwagę, do czego jest zdolny wysoko wykwalifikowany haker, można uznać, że praktycznie nie robi nic złego.

Po prostu pobiera kilka zdjęć z bazy danych akademika. Kilka to może nieprecyzyjne sformułowanie - wszystkie. A ponieważ baza ta ma charakter prywatny i dostęp do niej wymaga znajomości hasła - oraz połączenia się za pomocą komputera o numerze IP z tego konkretnego budynku - cała operacja zapewne nie jest aż tak niewinna. Ale przecież nie grozi za nią kara śmierci. Poza tym chłopak uważa, że robi to dla wyższego celu.

Jeszcze kilka minut i będzie miał wszystko, czego potrzebuje. Dla

wyższego celu. Swobody wymiany informacji i tym podobnych bzdetów - w jego mniemaniu wszakże, jak przypuszczamy, zasada ta była jednym ze składników prawdziwego kodeksu moralnego. Możemy go nazwać poszerzoną wersją zasad, według których działają hakerzy: jeśli napotykasz na ścianę, znajdujesz sposób, aby ją zburzyć lub przejść górą; jeśli napotykasz płot, wycinasz w nim dziurę. Ci, którzy zbudowali mur - „establishment” - to źli ludzie. Chłopak należy do przeciwnego obozu i walczy w słusznej sprawie.

Obrót informacją powinien być swobodny.

Zdjęcia służą do tego, aby je oglądać.

Chwilę później laptop wydaje z siebie cichy sygnał, informując, że skończył pobieranie plików. Chłopak wyjmuje kabel z gniazdka w ścianie i chowa komputer z powrotem do plecaka. Jeden akademik załatwiony, zostały dwa. Niemal słyszemy temat z Jamesa Bonda rozbrzmiewający w jego głowie, kiedy zarzuca plecak na lewe ramię i rusza szybkim krokiem w stronę drzwi. Podnosi książkę, wychodzi na korytarz i zatrząskuje drzwiami.

Idąc korytarzem, być może wyczuwa uwodzicielski kwiatowy zapach perfum dziewczyny, który wciąż unosi się w powietrzu.

ROZDZIAŁ 7 CO STAŁO SIĘ POTEM

Dopiero siedemdziesiąt dwie godziny później Mark zrozumiał, czego dokonał. Wypite tamtej nocy piwo bez wątpienia zdążyło mu już wyparować z głowy, niemniej nadal realizował swój projekt, mimo że musiał wrócić do codziennych zajęć, takich jak uczęszczanie na zajęcia z informatyki, uczenie się do egzaminów z kanonu czy przesiadywanie z Eduardem i jego kumplami w jadalni. Później zwierzył się reporterom uniwersyteckiej gazety, że nie zaprzętał sobie wtedy specjalnie głowy Facemashem, traktując stronę po prostu jako projekt, który należy zrealizować, jako matematyczny i informatyczny problem wymagający rozwiązania. A kiedy już tego dokonał - uzyskując idealny, cudowny i piękny rezultat - rozesłał go do znajomych, ciekaw, co o nim myślą. Chciał poznać ich zdanie, usłyszeć uwagi, a może nawet jakieś pochwały. Następnie wyszedł z pokoju na seminarium, które trwało znacznie dłużej niż przypuszczał.

Po powrocie do akademika zamierzał jedynie zostawić plecak w pokoju, sprawdzić skrzynkę pocztową i od razu zejść do jadalni, jednak zaraz po wejściu jego uwagę przykuł stojący na biurku laptop.

Ku jego zaskoczeniu komputer sprawiał wrażenie zawieszzonego.

Nagle wszystko zrozumiał. Laptop się zawiesił, ponieważ służył jako serwer dla Facemash.com. Nie miaoby to żadnego sensu, chyba że...

- O cholera!

Przed wyjściem na spotkanie wysłał link do strony Facemash.com do kilku znajomych. Oni musieli przesłać go do swoich znajomych i w pewnym momencie wypadki zaczęły się toczyć lawinowo. Z historii programu wynikało, że link do strony trafił na kilkanaście różnych list mailowych, w tym kilka prowadzonych przez studentów z Harvardu. Ktoś rozesłał link do wszystkich

osób związanych z Institute of Politics, organizacji zrzeszającej ponad stu członków. Od kogoś innego link trafił do Fuerza Latina, organizacji zajmującej się problemami Latynosek. Stamtąd wysłano go do Association of Black Women at Harvard. Otrzymał go również jeden z redaktorów „Crimsona”, poza tym trafił na listę linków na jednym z forów internetowych akademika.

Facemash był wszędzie. Adres strony, na której można było porównać zdjęcia dwóch studentek i zagłosować, która z nich jest seksowniejsza - następnie skomplikowane algorytmy wskazywały najseksowniejszą laskę na kampusie - rozprzestrzenił się niczym wirus po całym uniwersytecie.

W ciągu dwóch godzin użytkownicy oddali dwadzieścia dwa tysiące głosów. Przez ostatnich trzydzieści minut na stronę weszło czterystu studentów.

Cholera! Głupio wyszło. Nie w ten sposób planował rozpropagować link do strony. Później Mark będzie tłumaczył, że chciał tylko zasięgnąć rady kilku osób i ewentualnie wprowadzić jakieś poprawki. Zamierzał również najpierw sprawdzić, na ile ściągnięcie zdjęć z obcych serwerów było legalne. Być może w rezultacie strona nigdy nie zostałaby uruchomiona. Teraz było już za późno. Problem z Internetem polega na tym, że jest jak długopis, a nie ołówek.

Jeżeli coś się w nim umieści, nie można już tego wymazać.

Facemash trafił do sieci.

Mark doskoczył do komputera i zaczął uderzać palcami w klawiaturę, wpisując hasła pozwalające na wejście do programu. Po kilku minutach zatrzymał jego działanie, wyłączając całe to cholerstwo. Ekran laptopa zgasł. Mark opadł na krzesło. Drżały mu palce. Miał przeczucie, że narobił sobie poważnych kłopotów.

ROZDZIAŁ 8 CZWOROKĄT

Nawet z zewnątrz trzypiętrowy Hilles Building - sterczące z ziemi filary z cementu i kamienia, lśniące fasady ze szkła i stali - przypominał raczej statek kosmiczny, który rozbił się na ziemi, a nie uniwersytecką bibliotekę. Podobnie jak reszta Czworokąta, biblioteka należała do najnowszych budynków na kampusie, a ponieważ leżała z dala od głównego dziedzińca i jego wielowiekowego, oplecionego bluszczem dziedzictwa, architekci zapewne wyszli z założenia, że mogą sobie pozwolić na dowolne szaleństwa. Nawet na futurystyczną szkaradę, która pasowałaby raczej do znajdującego się nieco dalej kampusu MIT.

Tyler przebywał akurat w tylnym narożniku trzeciego piętra biblioteki, a jego dwumetrowe ciało spoczywało jednocześnie na krześle i biurku, które w tym ustawieniu przypominały narzędzie tortur na wzór mebli w stylu art déco. Tyler spoczywał w takiej dziwacznej pozie właśnie dlatego, że była koszmarnie niewygodna. Był poniedziałek, dochodziła siódma rano, a on wrócił właśnie z treningu i próbował w jakiś sposób pokonać ogarniającą go senność.

Przed nim na biurku leżał wielki podręcznik do ekonomii, a obok jasnoczerwona plastikowa tacka przyniesiona z pobliskiej jadalni akademika Pforzheimer, na której spoczywała owinięta w serwetkę zjedzona do połowy kanapka z kielbasą i warzywami. Mimo że Tyler i Cameron skończyli śniadanie zaledwie pół godziny wcześniej, Tyler wciąż umierał z głodu. Do biblioteki przyszedł wyłącznie ze względu na podręcznik. Niecałą godzinę później miał wykład z ekonomii, a kanapka skutecznie odpędzała senność. Odgryziona połowa znajdowała się wciąż w jego ustach. Był tak zajęty przeżuwaniami, że nie usłyszał nadchodzącego Divyi.

Ten pojawił się niemal znikąd, nachylił się nad Tylerem i cisnął

egzemplarz „Crimsona” na tackę, zrzucając resztkę kanapki na podłogę.

- Nie znajdę dla nas programisty w „Crimsonie”? - krzyknął na powitanie zduszonym głosem Divya. Tyler spojrzał na niego gniewnie. Przeżuty kawałek mięsa wisiał mu z ust.

- Ocipiałeś?

- Przepraszam za kanapkę, ale przeczytaj ten nagłówek.

Tyler chwycił gazetę i strząsnął ketchup z ostatniej strony. Ponownie obrzucił Divyę gniewnym spojrzeniem, następnie skierował wzrok na miejsce wskazane przez hinduskiego przyjaciela. Uniósł brwi, przenosząc wzrok z nagłówka na artykuł, i pośpiesznie przeczytał kilka pierwszych akapitów.

- Faktycznie. Nieźle to wygląda - przyznał.

Divya skinął głową i uśmiechnął się szeroko. Tyler oparł się na krzesło i wyciągnął szyję w stronę przejścia między regałami. Udało mu się dostrzec nogi Camerona wyciągnięte pod stolikiem niecałe trzy metry dalej.

- Cameron, obudź się i rusz dupę!

Kilkoro siedzących w pobliżu studentów podniosło głowy, ale kiedy zobaczyli, że autorem tych słów był Tyler, wrócili do swoich zajęć. Cameron potrzebował kilku minut na wyplątanie się spomiędzy nóg krzesła i biurka. W końcu przyczłapał i stanął obok Divyi. Włosy sterczały mu z tylnej części głowy, miał zaczerwienione oczy. Tego ranka nad rzeką wiał dość porywisty wiatr, przez co trening był wyjątkowo wyczerpujący. Tyler wyglądał na znacznie mniej zmęczonego od brata - przynajmniej odkąd zobaczył przyniesioną przez Divyę gazetę.

Tyler podał ją Cameronowi. Ten przejrzał artykuł, kiwając głową.

- Tak, słyszałem, jak kilku gości rozmawiało o tym wczoraj wieczorem w Porc. Sam Kensington mocno się wkurzył, ponieważ w rankingu na stronie jego dziewczyna Jenny Taylor znalazła się na trzecim miejscu, a jej koleżanka z pokoju, Kelly, na drugim...

- A druga z jej współlokatorek, Ginny, na pierwszym - wtrącił Divya. - Co

akurat nikogo chyba nie zaskoczyło.

Tyler nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Jenny, Kelly i Ginny były bez wątpienia trzema najseksowniejszymi studentkami drugiego roku na całym kampusie. Mieszkały razem od początku studiów. Rzekomo trafiły do jednego pokoju przypadkowo, choć nikt na kampusie w to nie wierzył - zwłaszcza odkąd ktoś odkrył, że numer telefonu do ich pokoju kończył się 3-FUCK*. Harwardzkie biuro kwatermistrzowskie słynęło z tego rodzaju żarcików. Studentów o podobnych nazwiskach umieszczano w jednym pokoju. Tyler pamiętał jeszcze z pierwszego roku, że w jednym pokoju mieszkali Burger i Fries [*frytki*] oraz co najmniej dwie pary złożone z ludzi o nazwisku Black [*czarny*] i White [*biały*]. Oraz oczywiście Jenny, Kelly i Ginny, trzy najseksowniejsze blondynki na kampusie, których numer telefonu kończył się na 3-FUCK. Ktoś niewątpliwie powinien za to wylecieć z roboty.

Artykuł w „Crimsonie” nie dotyczył wszakże żarcików biura kwatermistrzowskiego. Wspomniane blondynki zajęły trzy pierwsze miejsca w rankingu na jakiejś stronie internetowej. Jak donosił „Crimson”, nazywała się ona Facemash i umożliwiała studentom ocenianie urody dziewczyn na podstawie ich zdjęć. Cała sprawa wzbudziła niemałe poruszenie na kampusie.

- Strona szybko została zamknięta - kontynuował Divya, wskazując na artykuł. - Piszą, że zrobił to ten sam chłopak, który ją stworzył. Wcześniej nie zdawał sobie sprawy, że może wkurzyć tylu ludzi. Niemniej na swoim blogu napisał coś o porównywaniu dziewczyn do zwierząt hodowlanych.

Tyler odchylił się do tyłu.

- Kto się wkurzył?

- Dziewczyny. Wiele dziewczyn. Od samych grup feministycznych przyszło kilkadziesiąt listów. Poza tym uniwersytet. Na stronę weszło jednocześnie tyle osób, że przytknęły się łącza. Profesorowie nie mogli się zalogować na swoje konta mailowe. Nic dziwnego, że zrobiło się zamieszanie.

Tyler zagwizdał cicho.

- Nieźle.

- Zgadza się. W ciągu dwudziestu minut na stronę weszło z dwadzieścia tysięcy osób. Jej autor znalazł się w poważnych tarapatach. Wygląda na to, że wszystkie zdjęcia ukradł z baz danych akademików. Włamał się do nich i po prostu wszystkie skopiował. Razem z kilkoma kumplami stanie przed komisją dyscyplinarną.

Tyler doskonale wiedział, co to oznacza - w skład komisji wchodził zazwyczaj dziekani i doradcy do spraw studentów, a niekiedy nawet uniwersyteccy prawnicy i starsi rangą przedstawiciele administracji. Tyler miał w Porc znajomego, który został oskarżony o ściąganie na egzaminie z historii. Chłopak musiał stanąć przed dwoma dziekanami i starszym opiekunem. Komisja dyscyplinarna dysponowała dużą władzą - mogła zawiesić studenta, a nawet wystąpić o usunięcie go z uniwersytetu. Tyler wątpił jednak, aby w sprawie Facemasha orzeczono tak wysoką karę.

Chłopak, który go stworzył, prawdopodobnie otrzyma warunkową zgodę na kontynuowanie nauki, choć oczywiście będzie miał lekko spieprzoną reputację - zwłaszcza wśród studentek. Z artykułu wynikało, że chłopak raczej nie był typem casanowy. Porównywanie dziewczyn do zwierząt hodowlanych? Na taki pomysł mógł wpaść tylko facet, który rzadko kładzie się do łóżka w towarzystwie.

- Piszą, że to nie jest jego pierwszy program - zauważył Cameron, kartkując gazetę. - To on napisał Course Match. Pamiętasz, Tyler... ta strona z harmonogramem pomagająca w wyborze zajęć. A w szkole średniej uchodził za superhakera.

Tyler czuł, jak wstępują w niego nowe siły. Wszystko, co usłyszał, nastrojało go optymistycznie. Chłopak być może wpędził się w kłopoty przez swoją stronę, ale bez wątplenia był znakomitym programistą, a jednocześnie człowiekiem o otwartym umyśle. Może właśnie kogoś takiego szukali?

- Powinniśmy z nim porozmawiać.

Divya skinął głową.

- Zadzwońm już do Victora. Powiedział, że chłopak chodzi z nim na jeden z kursów z informatyki. Ostrzegł mnie tylko, że jest trochę dziwny.

- W jakim sensie? - spytał Cameron.

- No takim, że jest lekko społecznie autystyczny.

Tyler spojrział na Camerona. Wiedzieli dokładnie, co Divya ma na myśli. „Autystyczny” nie było odpowiednim słowem - w tym kontekście lepiej pasowało „społecznie niedostosowany”. Na Harvard chodziły dziesiątki takich osobników. Na uczelnię dostawali się bądź ludzie wszechstronnie wykształceni, na przykład studenci z samymi szóstkami obdarzeni jednocześnie potencjałem do bycia kapitanem reprezentacji uniwersytetu, bądź osoby bardzo, bardzo, bardzo dobre w jakiejś dziedzinie - najlepiej lepsze niż ktokolwiek inny na świecie. Na przykład wirtuoz skrzypiec lub nagradzany poeta.

Tyler lubił czasami myśleć, że razem z bratem należą do grupy wszechstronnie wykształconych, nie zamierzał się jednak oszukiwać - wiedział przecież, że tworzyli razem znakomitą osadę wioślarską.

Tymczasem chłopak od strony najwyraźniej świetnie znał się na komputerach, a z pewnością nie miał absolutnie szans, żeby zostać kapitanem żadnej drużyny sportowej.

- Jak on się nazywa? - spytał Tyler. W głowie kłębiły mu się już dziesiątki pomysłów.

- Mark Zuckerberg - powiedział Divya.

- Wyślij do niego emaila - postanowił Tyler, stukając palcem w „Crimsona”. - Przekonajmy się, czy ten cały Zuckerberg ma ochotę przejść do historii.

ROZDZIAŁ 9 KONTAKT

Widok ze schodów Biblioteki Widenera na dziedziniec Harvardu pozostawał w zasadzie niezmienny od trzystu lat. Wąskie, obsadzone drzewami dróżki wiły się w jasnych promieniach przedpołudniowego słońca między płatami starannie przystrzyżonej trawy. Wiekowe budynki z cegieł i kamienia pokrywały zwoje zielonego bluszczu rozchodzące się na podobieństwo żył po starzejącej się architektonicznej skórze. Z ostatniego stopnia, na którym stał Eduardo, w oddali majaczył wierzchołek Memorial Church, nie widać jednak było ani centrum naukowego z czasów programu kosmicznego, ani Canaday, kwadratowego akademika dla pierwszorzoczników, ani żadnego z nowszych budynków, które szpeciły surową panoramę zakorzenionego w historii kampusu. Widok ten miał w sobie pewien majestat, łącząc wspomnienie wielu podobnych chwil zadumy. Eduardo czuł jednak, że w ciągu kilku minionych stuleci żaden student nie wycierpiał tylu dziwacznych tortur, jakim poddano towarzyszącego mu na schodach chłopaka.

Zerknął na Marka, który siedział obok niego po turecku na najwyższym stopniu, kryjąc się częściowo w cieniu rzucanym przez jedną z szerokich kolumn podtrzymujących dach wspaniałej, zbudowanej z kamienia biblioteki. Mark miał na sobie marynarkę i krawat i jak zwykle wyglądał na skępowanego. Eduardo był niemal pewien, że tym razem źródłem zakłopotania nie było wyłącznie ubranie.

- To musiało być nieprzyjemne - stwierdził Eduardo, kierując wzrok z powrotem na dziedziniec.

Jego uwagę przykuła para ładnych pierwszorzoczniczek podążających w pośpiechu jedną ze ścieżek. Dziewczyny miały na sobie identyczne szaliki w szkarłatnych barwach uniwersytetu. Jedna z nich miała włosy spięte w kok

odsłaniający porcelanową skórę karku.

- Przypominało trochę kolonoskopię - przyznał Mark.

On również przyglądał się przechodzącym przez dziedziniec dziewczynom. Być może myślał o tym samym, co Eduardo - dziewczyny pewnie słyszały o Facemashu, pewnie czytały o nim w „Crimsonie” albo na jednej z internetowych tablic informacyjnych. Mogły nawet wiedzieć, że zaledwie godzinę wcześniej Mark złożył wyjaśnienia przed komisją dyscyplinarną. Stał twarzą w twarz z co najmniej trzema dziekanami, nie wspominając o parze specjalistów od bezpieczeństwa komputerowego. Wielokrotnie przeproszał za zamieszanie, do jakiego nieświadomie doprowadził.

Co zabawne - chociaż dziekani w najmniejszym stopniu nie uważali całej sytuacji za humorystyczną - Mark najwyraźniej nie rozumiał, dlaczego w ogóle kogokolwiek zdenerwował. Owszem, włamał się do uniwersyteckich komputerów i ściągnął z nich zdjęcia. Wiedział, że postąpił źle, i wyraźnie za to przeprosił. Nie potrafił wszakże pojąć złości, jaką zapalały do niego różne grupy kobiet działające na kampusie; zresztą nie tylko grupy, ale również pojedyncze dziewczyny, które mówiły mu, co o nim myślą za pośrednictwem emaili, listów, a czasami swoich chłopaków. Zaczepiały go w jadalni, na salach wykładowych, a nawet między bibliotecznymi regałami - gdziekolwiek go spotkały.

Podczas posiedzenia komisji dyscyplinarnej Mark bez wahania przyznał się do włamania do uniwersyteckich serwerów, zauważył jednak, że jego działania obnażyły szereg poważnych luk w zabezpieczeniach systemu komputerowego uczelni. Przekonywał, że jego postępek przyniósł więcej pożytku niż szkód, i zadeklarował gotowość pomocy w naprawieniu luk w systemie.

Mark kilkakrotnie przypomniał również komisji, że sam zamknął stronę, kiedy zorientował się w jej gwałtownie rosnącej popularności. Nigdy nie miał zamiaru uruchamiać Facemasha w obecnej postaci - był to po prostu nieszczęśliwy przypadek niezamierzonego ujawnienia wersji testowej strony.

Zwykły żart, bowiem nie miał zamiaru nikogo skrzywdzić.

Tak naprawdę na korzyść Marka przemawiało głównie jego społeczne nieprzystosowanie oraz niezrozumienie reakcji innych ludzi na Facemasha. Dziekani, słuchając niezręcznie sformułowanych wyjaśnień, zdali sobie w końcu sprawę, że mają przed sobą nie łobuza, ale chłopaka, którego umysł pracuje w inny sposób niż mózgi pozostałych studentów. Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że dziewczyny będą wściekle na stronę umożliwiającą ocenianie ich urody - do licha, przecież Mark i Eduardo oraz zapewne wszyscy inni studenci na świecie porównywali urodę koleżanek od czasu powstania systemu edukacji formalnej. Eduardo był pewien, że paleontolodzy znajdą kiedyś namalowany na ścianie jakiejś jaskini ranking neandertalek - tworzenie tego rodzaju zestawień po prostu leżało w ludzkiej naturze.

Mark najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że pomysły, jakie zrodziły się w jego głowie, oraz rozmowy, jakie prowadził z innymi zwariowanymi informatykami w ich nafaszerowanych sprzętem komputerowym kryjówkach, nie sprawdzają się najlepiej w kontaktach z normalnymi ludźmi. Jeśli ktoś proponuje zestawianie zdjęć dziewczyn i zwierząt hodowlanych, bez wątpienia wkurzy wiele osób.

Mark z pewnością wkurzył masę osób, ale dziekani w swojej łaskawości postanowili go ani nie zawieszać, ani tym bardziej nie wyrzucać z uniwersytetu. Zarządzili coś w rodzaju okresu próbnego, czyli, mówiąc wprost, kazali mu unikać kłopotów przez następne dwa lata, bo w przeciwnym razie... Nie sprecyzowali, co należy przez „w przeciwnym razie” rozumieć, tak czy inaczej Mark dostał porządnie po łapach.

Incydent nie pogorszył zbyt wiele sytuacji Marka jako studenta, niemniej jego reputacja na kampusie praktycznie legła w gruzach. Jeśli wcześniej miał kłopot z umawianiem się z dziewczynami, to teraz czekała go prawdziwa mordęga.

Zaletą było to, że ludzie poznali jego nazwisko, zwłaszcza dzięki

artykułowi w „Crimsonie”. Po pierwszym tekście gazeta opublikowała dodatkowo artykuł poświęcony Facemashowi, w którym autor doszedł do wniosku, że popularność strony świadczyła o potrzebie dzielenia się zdjęciami przez Internet, choć oczywiście nie w tak negatywnej formie. Mark bez wątpienia mocno namieszał w sieci i trudno było ten fakt zlekceważyć.

Kiedy dwie studentki pierwszego roku zniknęły z pola widzenia, Mark sięgnął do tylnej kieszeni spodni, wyciągnął złożoną kartkę papieru i zwrócił się w stronę Eduarda.

- Chcę ci coś pokazać. Co o tym myślisz?

Podał mu kartkę. Eduardo rozwinął ją i zobaczył wydrukowany email:

Cześć Mark, dostałem twojego maila od znajomego. Ja i mój zespół szukamy informatyka do napisania strony internetowej, który znałby się na php, sql i najlepiej javie. Nad stroną - która, kiedy już powstanie, bez wątpienia wzbudzi sensację na kampusie - pracujemy od dłuższego czasu i chcielibyśmy, abyś wszedł do naszego zespołu. Zadzwoń, proszę, do mnie na komórkę albo napisz maila z informacją, kiedy będziesz mógł pogadać przez telefon i spotkać się z naszym obecnym programistą. Powinno to być dla Ciebie ciekawe doświadczenie, zwłaszcza jeśli masz w sobie żyłkę przedsiębiorcy. Szczegóły przekażę podczas następnej rozmowy. Pozdrowienia.

Email był podpisany przez niejakiego Divyę Narendrę i został jednocześnie przesłany do Tylera Winklevossa. Eduardo przeczytał list dwukrotnie, analizując propozycję. Wyglądało na to, że jego autorzy pracowali nad jakąś tajemniczą stroną internetową. Zapewne przeczytali o Marku w „Crimsonie”, obejrzel Facemasha i uznali, że może im pomóc w projekcie. Z pewnością nie znali Marka osobiście - kierowali się jego reputacją i złą sławą,

która go nagle otoczyła.

- Znasz tych gości? - spytał Mark.

- Divyi nie znam, ale słyszałem o bliźniakach Winklevoss. Są na ostatnim roku i jeśli się nie mylę, mieszkają w Czworokącie. Uprawiają wioślarstwo.

Mark pokiwał głową. On również oczywiście słyszał o braciach Winklevoss. Nie znał ich co prawda osobiście, ale widywał obu na kampusie - trudno przegapić dwumetrowe bliźniaki jednojajowe. Niemniej ani on, ani Eduardo nie zamienili nigdy słowa z tymi zapalonymi sportowcami - po prostu obracali się w różnych kręgach towarzyskich. Tyler i Cameron należeli do Porc. Byli wioślarzami i trzymali się z innymi sportowcami.

- Odpiszesz?

- A co mi szkodzi?

Eduardo wzruszył ramionami. Ponownie spojrzął na email. Prawdę mówiąc, miał złe przeczucia. Nie wiedział nic o braciach Winklevoss ani Divyi, ale znał Marka i nie potrafił sobie wyobrazić, że tak po prostu się z nimi zakoleguje. Kto chciał dłużej przebywać w towarzystwie Marka, musiał wykazywać się swego rodzaju „zrozumieniem”, tymczasem ludzie pokroju braci Winklevoss zazwyczaj słabo dogadywali się z maniakami komputerowymi, jak Eduardo i Mark.

Eduardo rzecz jasna zdobył ostatnio wysoką pozycję z racji bliskich kontaktów z Phoenixem i zaliczania kolejnych etapów procesu inicjacyjnego. W zasadzie był pewien, że za mniej więcej tydzień zostanie pełnoprawnym członkiem bractwa. Istniała wszakże zasadnicza różnica między przynależnością do Phoenixa a przynależnością do Porcelliana. W Phoenixie można było nauczyć się sztuki rozmawiania z dziewczynami, ostrego picia i jeżeli ktoś miał szczęście uprawiania seksu. Porcellian uczył sztuki rządzenia światem.

- Olej ich - powiedział Eduardo. - Nie są ci potrzebni.

Mark odebrał mu kartkę z emailem i schował ją do kieszeni. Następnie poluzował sobie sznurówki w butach.

- Sam nie wiem - stwierdził, ale Eduardo widział, że już podjął decyzję. Być może myśl o spędzaniu czasu w towarzystwie ludzi pokroju braci Winklevoss przemawiała w jakiś sposób do Marka, a może dostrzegł okazję do kolejnej hecy w stylu Facemasha, dzięki której miałby ponownie szansę na niezły ubaw.

Albo jak Mark zawsze mawiał w takich sytuacjach:

- To może być interesujące.

ROZDZIAŁ 10 25 LISTOPADA 2003 ROKU

- O cholera! Pilnujcie swoich dziewczyn, panowie. Patrzcie, kto przyszedł na obiad.

Tyler i Cameron przemieszczali się niemal truchtem między stołami jadalni w Kirklandzie. Tyler nie potrafił ukryć rozbawienia, widząc napakowanego studenta czwartego roku, który z wyciągniętymi rękami zmierzał w ich kierunku w pozorowanym ataku. Nad szerokimi, obwisłymi policzkami błąkał się uśmiech. W tym akademiku nie mogli w żadnym razie liczyć na anonimowość; razem z Cameronem mieli w Kirklandzie wielu znajomych, w tym kilku członków Porc oraz kolegów z drużyny wioślarskiej. Davis Mulronej nie należał do żadnej z tych grup, ale trudno było go wyminąć, zwłaszcza, że ważył pewnie ze sto pięćdziesiąt kilogramów i grał na pozycji centra w uniwersyteckiej drużynie futbolu amerykańskiego. W tej chwili szarżował akurat na nich. Tyler zamarkował odskok w lewo, ale nie zrobił tego dość szybko i Davis chwycił go mocno rękami na wysokości pasa, i unióś w powietrze na dobre pięć sekund. W końcu postawił Tylera na ziemi, uściśnął dłonie obu braciom i spojrzał na nich uważnie, unosząc krzaczastą brew.

- Tłok na rzece, chłopaki? Co was tu sprowadza z Czworokąta?

Tyler zerknął na Camerona. Wcześniej ustalili, że na razie nie powiedzą nikomu o spotkaniu z Markiem Zuckerbergiem. Strony internetowej nie projektowali może w zupełnej tajemnicy - powiedzieli o niej znajomym oraz kilku braciom z Porc - ale Zuckerberg znajdował się w centrum zainteresowania całego kampusu, a oni chcieli uniknąć sytuacji, aby o ich stronie zaczął trąbić „Crimson”.

Do licha, nawet jeszcze nie mieli okazji chłopaka poznać. Wiedzieli tylko, że jest bardzo zainteresowany ich stroną i chce uczestniczyć w jej tworzeniu.

Divya i Victor Gua wymienili z nim kilka emaili i na ich podstawie doszli do wniosku, że Zuckerberg wykazuje rzeczywiste zainteresowanie projektem. Sens spotkania się z nim w Kirklandzie uzasadniało choćby następujące zdanie, jakie napisał w jednym z ostatnich emaili:

Chętnie pogadam, ale na razie muszę sobie radzić z konsekwencjami Facemasha. Może zatem jutro? Jestem bardzo ciekaw waszego projektu.

Wspólny obiad w Kirklandzie miał być rozmową zapoznawczą, a Tyler nie chciał, aby cały kampus usłyszał, że razem z bratem współpracują z twórcą Facemasha, zanim w ogóle stanie się to faktem. Niemniej naiwnością było sądzić, że zdołają wmaszerować do akade mika niezauważeni przez mieszkających tam znajomych. Dziewczyna Davisa mieszkała w pokoju z jedną z byłych dziewczyn Camerona, poza tym drużyny futbolowa i wioślarska miały podobne godziny treningów, więc regularnie się widywali.

- Usłyszeliśmy, że podają dziś u was kanapki z wołowiną i sosem pomidorowym - odpowiedział Tyler. - A my zawsze mamy ochotę na dobrą kanapkę z wołowiną i sosem pomidorowym.

Davis wybuchnął śmiechem. Wskazał na stół pod oknami, przy którym siedziało kilku dobrze zbudowanych chłopaków w bluzach sportowych Harvardu.

- To może się do nas przysiadzicie? Idziemy później napić się czegoś do Spi albo nawet do Grafton. Kumpel umówił nas z kilkoma laskami, które przyjadą Ruchobusem z Wellesley. Szykuje się niezła zabawa.

Tyler wznosił oczy do nieba. „Ruchobus” należał do harwardzkiej tradycji - był to przypominający furgonetkę autobus, który kursował między kampusem Harvardu, pobliskimi szkołami dla dziewcząt oraz kilkoma innymi bardziej

liberalnymi, koedukacyjnymi kampusami, przewożąc w obie strony studentów, najczęściej w weekendy. Każdy zorientowany w życiu towarzyskim absolwent Harvardu przynajmniej raz podczas studiów jechał Ruchobusem. Tyler mógłby w każdej chwili zamknąć oczy i przypomnieć sobie zniewalająco gryzący zapach alkoholu i perfum, który emanował z winylowych foteli autobusu. Dziś jednak nie interesował go ani sam Ruchobus, ani jego zawartość.

- Dzięki, stary, ale dziś nie możemy. Chyba że coś się jeszcze zmieni.

Poklepał wielkoluda po ramieniu, pomachał pozostałym chłopakom siedzącym przy stole i ruszył dalej. Natychmiast przeszło mu przez myśl, że pod pewnymi względami Ruchobus przypominał projekt, nad którym pracowali z bratem. Harvard Connection miał mieć cechy, które można opisać jako cyfrową odmianę Ruchobusu - superłatwe połączenie między chłopakami i dziewczynami, tyle tylko że długą podróż między kampusami zastąpi naciśnięcie klawisza na laptopie. Wielkie centrum handlowe z ogromnym wyborem studentek.

Cameron poklepał go po ramieniu i wskazał na sam koniec prostokątnej sali. Machał do nich stamtąd jakiś chłopak. Był chudy, z czupryną ciemnoblonde włosów, miał na sobie kolorowe, obszerne szorty - chociaż na dworze było poniżej zera - a na jego policzkach malowała się perłowa bladość, zupełnie jakby od dawna nie oglądały słońca.

Przy stole obok Marka siedział niski chłopak o ciemnych włosach i z delikatną bródką. Przypuszczalnie był jego współlokatorem, tak czy inaczej oddalił się, zanim podeszli do stołu. Tyler zbliżył się pierwszy do Marka i wyciągnął rękę.

- Tyler Winklevoss. A to mój brat Cameron. Niestety Divya nie mógł przyjść. Ma jakieś seminarium, na którym musi być obecny.

W uścisku dłoni Marka przypominała zdechłą rybę. Tyler zajął miejsce naprzeciwko, Cameron usiadł na prawo od niego. Mark nie wyglądał na osobę rozmowną, więc Tyler przejął inicjatywę.

- Nasza strona będzie się nazywała Harvard Connection - zaczął, przechodząc od razu do rzeczy. Opisał dokładnie projekt portalu. Najpierw wyjaśnił, że strona ma być wirtualnym miejscem spotkań, w którym harwardzcy studenci i studentki będą mogli wymieniać informacje i nawiązywać kontakty. Strona miała być podzielona na dwie sekcje: przeznaczoną do umawiania się na randki oraz kontaktowania się z innymi. Studenci będą mogli umieszczać na stronie swoje zdjęcia i dane osobowe oraz wyszukiwać rzeczy łączące ich z innymi. Następnie Tyler przedstawił ideę, na której zasadzał się projekt. Jego zdaniem sferę kontaktów towarzyskich charakteryzował niski poziom wydajności. Proces szukania idealnego partnera był najeżony wieloma przeszkodami, a Harvard Connection miał pomóc w nawiązaniu kontaktów w oparciu o podobieństwo osobowości - lub jakichkolwiek innych cech umieszczonych na stronie - a nie bliskość zamieszkania.

Choć trudno było cokolwiek wyczytać z twarzy Marka, wydawało się, że natychmiast załapał, o co chodzi. Podobał mu się pomysł na stronę internetową ułatwiającą poznawanie dziewczyn. Oświadczył, że ze stworzeniem takiej strony poradzi sobie bez większego problemu. Zapytał, jak daleko Victor doszedł w tworzeniu kodu. Cameron zaproponował, aby sam sprawdził - otrzyma od nich potrzebne hasła dostępu i będzie mógł obejrzeć dzieło Victora, a nawet skopiować cały kod na swój komputer. Cameron ocenił, że dokończenie strony wymaga jeszcze dziesięciu, piętnastu godzin programowania - bułka z masłem dla kogoś takiego jak Mark. Kiedy Cameron przeszedł do szczegółów, Tyler odchylił się na krześle i zaczął obserwować Marka.

Widział, że chłopak z każdą minutą coraz bardziej zapala się do ich pomysłu. Im bardziej rozmowa schodziła na sprawy techniczne, tym Mark sprawiał normalniejsze wrażenie. W odróżnieniu od innych informatyków, z którymi wcześniej mieli do czynienia, zdawał się rozumieć ich zapal i wizję. Niemniej Tyler miał świadomość, że chłopaka musi również interesować korzyść, jaką on sam miałby odnieść z uruchomienia strony. Dlatego też kiedy

Cameron na chwilę przerwał, wtrącił się do rozmowy.

- Jeżeli strona zdobędzie popularność, wszyscy na niej zarobimy - powiedział. - Pieniądze są ważne, ale równie ważne, abyśmy mieli przy okazji niezłą zabawę. Chcemy, żebyś był jej pełnoprawnym współautorem. W ten sposób wrócisz na łamy „Crimsona”, tym razem w pozytywnym świetle, a nie jako osoba, którą redakcja chce zgnoić.

Z punktu widzenia Tylera oferta była dość prosta. Proponował układ partnerski: w razie sukcesu wszyscy mieli zarobić. Zanim to jednak nastąpi, Mark będzie mógł wykorzystać pracę nad stroną do poprawy swojego wizerunku. Znajdzie się w centrum uwagi, a to w zasadzie nigdy nie zdarzało się informatykom, których najczęściej spychano na drugi plan.

Wystarczyło spojrzeć na tego chłopaka - siedzącego samotnie w kącie jadalni, wyraźnie zakłopotanego, zupełnie jakby nie czuł się dobrze we własnej skórze - aby stwierdzić, że propozycja musi być dla niego kusząca. Wystarczy uruchomić stronę, zdobyć dzięki niej trochę sławy, a kto wie - może wszystko się zmieni. Chłopak zacznie prowadzić życie towarzyskie, uwolni się od etykiety maniaka komputerowego, zyska dostęp do dziewczyn, których nigdy nie miałby okazji poznać, przesiadując w pracowni komputerowej.

Tyler zupełnie nie znał Marka, ale kto nie dałby się skusić takiej ofercie?

Gdy spotkanie dobiegało końca, Tyler widział, że chłopak połknął haczyk. Ponownie uścisnęli sobie dłonie - zdechłą rybę zastąpił energiczny inżynier. Tyler odszedł od stołu zadowolony, że nareszcie znaleźli kogoś zdającego się znakomicie rozumieć ich projekt.

Z tej radości uznał, że mają z bratem czas, by dołączyć do chłopaków z drużyny futbolowej i pójść się napić do Spi. Perspektywa uruchomienia Harvard Connection się przybliżyła - czy nie należało tego uczcić?

A cóż lepiej się do tego nadawało, jak nie towarzystwo dziewczyn z Ruchobusu?

ROZDZIAŁ 11 CAMBRIDGE, 1

Gryzący zapach pieczonego czosnku i parmezanu dolatujący zza otwartych chromowoszkłanych drzwi kuchni mógł przy odrobinie szczęścia pobudzać apetyt, nawet jeśli był nieco przytłaczający. Jednak owego dnia Eduardo nie mógł liczyć na szczęście. Głowa mu pękała, a oczy piekły, jakby ktoś zanurzył je w wybielaczu. Zapach go dusił. Eduardo marzył o tym, aby wczłogać się pod stół, zwinąć na podłodze w kłębek i zapaść w śpiączkę. Zamiast tego wypił ze stojącej przed nim szklanki kilka łyków wody z lodem i podjął próbę odcyfrowania rozmytych słów z niewielkiego menu. Tak czy inaczej nie mógł mieć pretensji do lokalu, w którym się znajdował. Cambridge, 1 była jedną z jego ulubionych knajpek na Harvard Square i Eduardo zazwyczaj z niecierpliwością czekał na okazję zjedzenia serwowanej tam grubej pizzy z masą dodatków. Zapachy rozchodzące się z Cambridge, 1 można było wyczuć dwie przecznice dalej na Church Street. Nie bez powodu wszystkie stoliki w tej nowocześnie urządzonej restauracji były zajęte, podobnie jak stołki przy małym barze otaczającym otwartą kuchnię. Niemniej tego dnia Eduarda nie interesowała w ogóle pizza. Sama myśl o jedzeniu groziła naruszeniem kruchej równowagi duchowej, dlatego stłumił pragnienie powrócenia biegiem do pokoju w akademiku, owinięcia się kocem i zniknięcia na dwa dni.

Prawdopodobnie nie poniósłby żadnych konsekwencji takiego postępowania. Był początek stycznia i zajęcia jeszcze się nie rozpoczęły po dwutygodniowej przerwie świątecznej. Poprzedniego dnia Eduardo wrócił na kampus z Miami. Z lotniska udał się prosto do siedziby Phoenixa; musiał jakoś odreagować tak długi czas spędzony z rodziną.

Chciał w jakiś sposób oczyścić umysł, a Phoenix znakomicie się do tego nadawał. Wraz z kilkoma innymi nowymi członkami bractwa oddał się tam

dzikim szaleństwom. Można było odnieść wrażenie, że próbują odtworzyć zniszczenia, jakich dokonali podczas ceremonii przyjęcia do bractwa zaledwie dziesięć dni wcześniej.

Eduardo nie potrafił powstrzymać uśmiechu, mimo wszystkich przykrych wspomnień z tamtego wieczoru - bez wątpienia jednej z najbardziej szalonych chwil w jego życiu. Zaczęło się niewinnie. Ubrany w smoking musiał przemaszerować z innymi kandydatami, niczym oddział ubranych galowo żołnierzy, przez Harvard Square. Następnie zagoniono ich do budynku bractwa na Mt. Auburn Street i zaprowadzono do salonu na jednym z wyższych pięter.

Rytuały rozpoczęły się od tradycyjnych „regat wioślarskich” - kandydatów podzielono na dwie grupy i usta wiono przed stołem bilardowym. Chłopakom stojącym na skraju każdego szeregu podano butelkę Jacka Daniel'sa. Któryś z członków bractwa odgwizdał początek zawodów. Kandydatów poinstruowano, że mają upić z butelki, ile tylko zdołają, i podać ją sąsiadowi.

Drużyna Eduarda niestety przegrała zawody, a w ramach kary musieli powtórzyć całą procedurę z jeszcze większą butelką wódki.

Eduardo słabo pamiętał, co działo się później, choć w pamięci utkwiał mu marsz nad rzekę w smokingu. Pamiętał, że było mu pierońsko zimno, kiedy stał w cienkim ubraniu smagany podmuchami grudniowego wiatru wdzierającego się pod kupioną za duże pieniądze białą koszulę. Członkowie bractwa oświadczyli, że kandydatów czeka drugi wyścig - tym razem mają przepłynąć rzekę wplaw tam i z powrotem.

Eduardo niemal zemdlał, kiedy to usłyszał. Rzeka Charles słynęła z zanieczyszczeń, a co gorsza w połowie grudnia zaczynała miejscami zamarzać. Próba przepłynięcia jej na trzeźwo była dostatecznie przerażająca, a co dopiero po pijanemu.

Mimo to Eduardo nie miał wyboru. Phoenix znaczył dla niego zbyt wiele, aby teraz zrezygnować, dlatego śladem pozostałych kandydatów zdjął buty i

skarpetki, a następnie stanął na brzegu, pochylił się do przodu i...

Wtedy właśnie wszyscy bracia wyłonili się z ciemności, śmiejąc się i radośnie pokrzykując. Wcale nie zamierzali tej nocy zmuszać kandydatów do pływania w rzece. Czekali ich tylko picie, kolejne rytuały i gratulacje. Kilka godzin później proces inicjacji dobiegł końca i Eduardo został oficjalnym członkiem Phoenixa.

Mógł teraz swobodnie poruszać się po korytarzach na wyższych piętrach siedziby bractwa, po prywatnych pokojach klubu oraz zwiedzać wszystkie zakamarki budynku, w którym miał odtąd prowadzić znaczną część życia towarzyskiego. Poprzedniej nocy odkrył, ku swojemu zaskoczeniu, że na piętrze znajdują się nawet niezamieszkałe sypialnie. Domyślił się, do czego mogły służyć, co z kolei skłoniło go do wzniesienia kolejnych toastów z innymi braćmi. Wypity alkohol doprowadził go do koszmarne stanu, w jakim się właśnie znajdował.

Czuł się tak źle, że w pewnej chwili zaczął się zbierać, zamierzając wyjść z restauracji. Właśnie wtedy dostrzegł Marka, który pędził przez zatłoczoną salę z kapturem naciągniętym na głowę i oczami świecącymi dziwnym, pełnym determinacji blaskiem. Eduardo natychmiast uznał, że spróbuje przezwyciężyć ból przez kilka dodatkowych minut. Nieczęsto widywał takie spojrzenie w oczach przyjaciela, co musiało oznaczać, że zdarzyło się coś „interesującego”. Coś, co wyjaśni, dlaczego umówili się we włoskiej restauracji, a nie w jadalni w akademiku, gdzie zwykle jadal lunch.

Mark wślizgnął się do boksu naprzeciwko Eduarda akurat w chwili, gdy ten ponownie usiadł przy zamówionej wcześniej szklance z wodą i leżącym na stole menu. Niemniej widząc podniecenie, jakie wyraźnie ogarnęło Marka, wywnioskował, że chwilowo nie będą niczego zamawiać.

- Wpadłem chyba na znakomity pomysł - zaczął Mark i natychmiast przystąpił do wyjaśnień.

W ciągu minionego miesiąca Mark pracował nad jakimś projektem.

Wszystko zaczęło się od Facemasha - nie dosłownie od samej strony, ale od niesłychanego zainteresowania, jakie skupił na sobie jej autor. Nie chodziło bynajmniej o to, że Mark umieścił w Internecie zdjęcia seksownych dziewczyn - istniało milion stron z tego rodzaju materiałami - ale że na Facemash trafiły zdjęcia dziewczyn znanych studentom Harvardu z widzenia, a niekiedy nawet osobiście. Ogromna liczba ludzi, którzy weszli na stronę i oddali głos, dowodziła, że istnieje rzeczywiste zapotrzebowanie na wyszukiwanie informacji o kolegach ze studiów w nieformalnym, wirtualnym środowisku.

Jeżeli ludzie są gotowi wchodzić do Internetu i przeglądać profile swoich znajomych, rozumował Mark, to należy stworzyć stronę, która im to umożliwi. Internetową wspólnotę znajomych - zbudowaną ze zdjęć, profili itp. - którą można odwiedzać i przeglądać. Rodzaj sieci społecznej, tyle że o ograniczonym dostępie - aby wejść na stronę, trzeba znać osobę, która już jest na niej zarejestrowana. W ten sposób kręgi towarzyskie istniejące w realnym świecie zostałyby przeniesione do Internetu przez należących do nich ludzi.

Mark nie zamierzał tworzyć kopii Facemasha, ale stronę, na której ludzie sami umieszczaliby nie tylko swoje zdjęcia, lecz również informacje o sobie. W jakim mieście dorastali, ile mają lat, czym się interesują. Mogliby napisać coś o kursach, na które uczęszczają. O tym, czego szukają w Internecie - przyjaciół, miłości etc. Mark chciał również umożliwić ludziom zapraszanie na stronę znajomych. Zastanówcie się, czy się nadają, i zaproście ich do waszego kręgu towarzyskiego.

- Nazwalibyśmy ją najprościej jak się da: Facebook - powiedział Mark. Z jego oczu bił entuzjazm.

Eduardo zamrugał; kac przeszedł mu jak ręką odjął. Pomysł natychmiast wydał mu się znakomity. Nawet jeśli niektóre elementy brzmiały znajomo, całość miała duży ciężar gatunkowy. W Internecie istniała już strona Friendster oparta na podobnym pomysłe, ale była kiepska i nikt jej nie używał (przynajmniej na Harvardzie). Z kolei chłopak o nazwisku Aaron Greenspan z

ich kampusu wpadł kilka miesięcy wcześniej w tarapaty, kiedy uruchomił system BBS wykorzystujący konta mailowe i numery legitymacji studenckich w charakterze haseł. Później Greenspan wymyślił stronę o nazwie houseSYSTEM, mającą elementy serwisu społecznościowego, i umieścił na niej wielką bazę danych z informacjami o studentach ze wszystkich akademików. Z tego, co Eduardo wiedział, mało kto się tym zainteresował.

Friendster był portalem ogólnodostępnym, a strona Greenspana okazała się niewypałem i nie pozwalała na dodawanie zdjęć i profili. Mark miał zupełnie inny pomysł. Chodziło mu o przeniesienie życia towarzyskiego z realnego świata do sieci.

- Czy uczelnia nie pracuje nad czymś w rodzaju internetowej bazy danych profili studentów?

Eduardo pamiętał z artykułu „Crimsona” o Facemashu, że Harvard planował stworzenie strony ze zdjęciami wszystkich studentów. Inne uniwersytety dysponowały już podobnymi katalogami szkolnych zdjęć.

- Owszem, ale ich strona nie będzie ani trochę interaktywna. Mnie chodzi o coś zupełnie innego. Poza tym Facebook to dość pospolita nazwa. Nie sądzę, aby miało znaczenie to, że ktoś inny już jej używa.

Interaktywna - interaktywna sieć społeczna. Było w tym coś fascynującego. Zdawało się także wymagać dużego nakładu pracy, choć akurat Eduardo na komputerach znał się słabo. To była działka Marka. Jeżeli on czuł się na siłach, to należało mu wierzyć.

Wyglądało zresztą na to, że Mark porządnie przemyślał swój pomysł i zdążył go już w dużym stopniu opracować, przynajmniej w głowie. Eduardo zdał sobie sprawę, że chodzi o coś więcej niż Facemasha. Do nowego projektu Mark włączył elementy Course Match, strony umożliwiającej sprawdzanie, na jakie kursy zapisali się inni studenci. Źródłem inspiracji musiał być również Friendster, ale ostatecznie znali go wszyscy. Mark najwyraźniej połączył w głowie elementy z wszystkich wymienionych źródeł, a następnie przeniósł

całość na wyższy poziom. Eduardo zaczął się zastanawiać, kiedy dokładnie Mark doznał olśnienia. Może podczas przerwy świątecznej, którą spędzał w Dobbs Ferry? A może kiedy siedział samotnie w pokoju w akademiku, wpatrując się w ekran komputera? Na zajęciach?

Z całą pewnością nie doszło do tego podczas spotkania z braćmi Winklevoss. Mark opisał je w najdrobniejszych szczegółach, a także stronę, nad którą w mniemaniu Winklevossów pracował. Z relacji wynikało, że bliźniacy mieli w planach nieco bardziej rozbudowany serwis randkowy; stronę pomagającą facetom w znajdowaniu dziewczyn, z którymi mogliby się przespać. Coś w rodzaju Match.com dla mózgowców.

O ile Eduardo się orientował, Mark niczego dla bliźniaków nie napisał. Przyjrzał się tylko wstępnej wersji ich portalu i uznał, że szkoda mu na nią czasu. Wręcz się z niej naśmiewał, twierdząc, że największe ciamajdy spośród jego znajomych lepiej poradziłyby sobie z zareklamowaniem strony internetowej niż Divya i bracia Winklevoss. Poza tym miał tak wiele obowiązków na uczelni, że nie zamierzał tracić czasu na tworzenie serwisu randkowego tylko po to, aby zaimponować dwóm sportowcom z Porc. A jednak Eduardo był niemal pewien, że z jakichś niewiadomych powodów Mark nadal utrzymuje z nimi kontakt mailowy, a może nawet telefoniczny. Pewnie ze względu na to, kim byli - oraz na specyficzny charakter samego Marka.

Eduardo wiedział, że bracia Winklevoss zupełnie na opak odczytali zamiary jego przyjaciela. Zapewne widzieli w nim zwariowanego informatyka, który chętnie skorzysta z szansy na „uzdrowienie” swojego wizerunku. Tymczasem Mark nie miał zamiaru niczego uzdrawiać. Przez Facemash narobił sobie kłopotów, ale jednocześnie udowodnił całemu światu to, na czym zależało mu najbardziej - że jest sprytniejszy od wszystkich. Pokonał systemy zabezpieczeń Harvardu oraz komisję dyscyplinarną.

Bez wątplenia uważał, że bracia Winklevoss grają kilka lig niżej od niego. Kimże oni byli, aby korzystać z umiejętności Marka? Parą sportowców, którym

wydawało się, że rządzą światem. Być może rządzą światem kontaktów towarzyskich, ale w dziedzinie Internetu i komputerów to on był królem.

- To znakomity pomysł - ocenił Eduardo. Zapomniał, że siedzą w restauracji. Dostrzegał jedynie zaangażowanie, z jakim Mark opowiadał o nowym projekcie. Eduardo chciał w nim uczestniczyć, a Markowi bez wątpienia również na tym zależało. W przeciwnym razie poszedłby z nim do swoich współlokatorów. Jeden z nich, Dustin Moskovitz, był geniuszem komputerowym i w umiejętnościach informatycznych mógł nawet dorównywać samemu Markowi. Z jakiego powodu Mark nie zwrócił się od razu do Dustina?

- Zgadza się, to jest znakomity pomysł, ale będziemy potrzebowali trochę gotówki na wynajęcie serwerów i umieszczenie strony w sieci.

Oto i powód! Mark potrzebował pieniędzy na uruchomienie strony. Eduardo pochodził z zamożnej rodziny, co więcej sam posiadał pieniądze - trzysta tysięcy dolarów, które zarobił na handlu akcjami koncernów naftowych, wykorzystując swoją obsesję na punkcie meteorologii oraz algorytmy umożliwiające przewidywanie zachowań huraganów. Eduardo dysponował pieniędzmi, a Mark ich potrzebował - być może był to jedyny powód, dla którego się spotkali. Eduardo chciał jednak wierzyć, że chodziło o coś więcej.

Mark wpadł w istocie na pomysł stworzenia portalu społecznościowego. Sam nie znał się ani trochę na życiu towarzyskim i tak naprawdę go nie miał, z kolei Eduardo został właśnie członkiem Phoenixa. Otwierały się przed nim nowe możliwości, między innymi na poznawanie dziewczyn. Prędzej czy później prawdopodobnie się z jakąś prześpi. Do kogo innego Mark miał się zwrócić? Eduardo był z pewnością najbardziej obytym towarzyszko z jego znajomych.

- Wchodzę w to - oświadczył Eduardo. Uścisnęli sobie dłonie nad stołem. Może zapewnić finansowanie i doradztwo. Pomoże skierować projekt na tory, o jakich pozbawiony żyłki do interesów Mark nie mógł nawet marzyć. Do licha, odrzucił przecież w szkole średniej siedmiocyfrową propozycję od Microsoftu!

Tymczasem Eduardo dorastał w świecie biznesu. Być może dzięki temu projektowi pokaże wreszcie swojemu ojcu, jak wiele się już nauczył. Bycie przewodniczącym harwardzkiego Stowarzyszenia Inwestycyjnego to zupełnie coś innego niż stworzenie popularnej strony internetowej.

- O jakiej kwocie myślisz? - spytał Eduardo.

- Według mnie na początek wystarczy tysiąc dolarów. Problem w tym, że akurat nie mam tylu pieniędzy, ale gdybyś wyłożył przynajmniej część, moglibyśmy wystartować ze stroną.

Eduardo skinął głową. Wiedział, że Mark nie jest bogaty, on z kolei mógł trzymać w ręce tysiąc dolarów za niecałe dwadzieścia minut. Wystarczyło udać się do najbliższego banku.

- Podzielimy się udziałami siedemdziesiąt do trzydziestu - oświadczył niespodziewanie Mark. - Siedemdziesiąt procent dla mnie, trzydzieści dla ciebie. Mógłbyś zostać dyrektorem finansowym.

Eduardo ponownie skinął głową. Propozycja wydawała się uczciwa, bo w końcu pomysł należał do Marka. Eduardo miał go sfinansować i zająć się częścią biznesową przedsięwzięcia. Być może strona miała nigdy nie przynieść zysków, ale Eduardo miał przeczucie, że tak znakomity pomysł musi wypalić.

Różni studenci, nie tylko bracia Winklevoss i Greenspan, zakładali strony internetowe. Eduardo osobiście znał tuzin innych, którzy próbowali rozkręcić biznes w sieci ze swoich pokoi w akademikach. Wiele z tych pomysłów miało w sobie jakiś aspekt społeczny, czego przykładem był projekt Winklevossów, ale żaden z tych znanych Eduardowi nie brzmiał równie atrakcyjnie. Prosty, ekscytujący i przeznaczony dla wybranych.

Facebook Marka miał wszystkie cechy udanej strony internetowej. Nieskomplikowany pomysł, atrakcyjne funkcje i wzbudzenie wśród użytkowników poczucia przynależności do elity. Takiej jak bractwo studenckie, tylko w sieci. Phoenix, do którego można było wstąpić z zacisza pokoju w akademiku. Ponadto tym razem Mark Zuckerberg nie zbierze cięgów za swój

portal. Zostanie jego prezesem.

- To będzie naprawdę interesujące - powiedział Eduardo i się uśmiechnął.

Mark odpowiedział uśmiechem.

ROZDZIAŁ 12 14 STYCZNIA 2004 ROKU

Wielkie i czarne jak smoła drzwi znajdowały się tuż za jeszcze większą i bardziej złowieszczą bramą z żelaznymi kratami, ozdobnymi kamiennymi płaskorzeźbami i wielką głową dzika wyrzeźbioną w łukowatym wapiennym pinaklu. Trudno sobie wyobrazić, aby jakikolwiek student pierwszego roku nie poczuł na widok czarnych drzwi czegoś między lekkim zainteresowaniem a uczuciem całkowitej paranoi. Sam budynek niczym szczególnym się nie wyróżniał. Czerwonawe cegły wznosiły się na trzy piętra powyżej prostego sklepu z ubraniami, ale numer 1324 przy Massachusetts Avenue był w Harvardzie miejscem mitycznym, owianym legendą i splecionym z tajemną historią samego uniwersytetu.

Tyler Winklevoss, jego brat Cameron i ich najlepszy przyjaciel Divya siedzieli na obitej zieloną skórą kanapie w kształcie litery L. Znajdowali się za wspomnianymi czarnymi drzwiami w małym prostokątnym salonie zwanym Pokojem Rowerowym. Normalnie Tyler i Cameron znaleźliby się na którymś z wyższych pięter, ale Divya nie mógł wejść na drewniane, wyłożone zielonym chodnikiem schody prowadzące na kolejne poziomy stuletniego budynku. Divya nigdy nie został tam zaproszony i nigdy nie będzie.

W Porcellian przestrzegano przyjętych reguł. Od ponad dwóch wieków znajdowało się ono na szczycie hierarchii bractw studenckich, tworząc najwyższy szczebel porządku społecznego. Wychowało wiele pokoleń najlepszych i najzdolniejszych obywateli, jakich kiedykolwiek wydał z siebie system edukacyjny Stanów Zjednoczonych. Był to zapewne najbardziej elitarny i tajemniczy klub w całym kraju, porównywalny tylko ze Skull and Bones na Yale. Założony w 1791 roku, został nazwany w 1794 na cześć bachicznej uczy, jaką wydawali dla siebie członkowie bractwa z okazji ukończenia studiów.

Fama głosi, że zjedli wówczas pieczonego prosiaka*, którego jeden ze studentów nosił na zajęcia. Ukrywał go w skrzynce na kwiaty za każdym razem, gdy podchodził do niego wykładowca. Porcellian był najważniejszym stowarzyszeniem absolwentów Harvardu, które stało się wzorem dla kolejnych.

Klub - czyli „stara stodoła”, jak mawiali członkowie bractwa - był miejscem owianym legendą i przepelnionym historią. Do bractwa należał prezydent Teddy Roosevelt oraz wielu innych przedstawicieli tej rodziny. Franklin Delano Roosevelt został wyrzucony z bractwa i nazwał ten incydent „największym rozczarowaniem w życiu”. Motto Porcellian - *dum vivimus, vivamus*, „dopóki żyjemy, używajmy życia” - nie odnosiło się wyłącznie do przeżyć studenckich, ale również do dalszego życia po opuszczeniu murów uczelni. Członkowie Porc mieli stać się panami świata. Krążyła nawet pogłoska, że jeśli członek bractwa nie zarobi swojego pierwszego miliona przed trzydziestym rokiem życia, po prostu go otrzymuje od współpraci.

Niezależnie od tego, czy była to prawda, Tyler, Cameron i Divya nie przybyli do Pokoju Rowerowego, aby podumać nad sposobami zarobienia pierwszego miliona, ale w poszukiwaniu zrozumienia. Szanse na to wydawały się bardziej odległe niż kiedykolwiek wcześniej. Powód ich frustracji nazywał się: Mark Zuckerberg.

Przez dwa miesiące od pozornie niezwykle owocnego spotkania w jadalni akademika Kirkland chłopak zapewniał ich nieustannie, że współpraca w tworzeniu Harvard Connection układa się znakomicie. Mark przejrzał istniejący kod, zapoznał się z gotowymi elementami i wyraził gotowość uzupełnienia braków, aby strona mogła sprawnie funkcjonować.

W pięćdziesięciu dwóch emailach, jakie wymienił z braćmi Winklevoss i Divyą, oraz podczas kilku rozmów telefonicznych Mark zawsze wydawał się równie podekscytowany pracą nad projektem, jak podczas pierwszego spotkania. Wysyłane przez niego emaile sprawiały wrażenie sprawozdań z postępów w programowaniu, raportów świadczących o tym, że mimo drobnego

opóźnienia praca nad kodem posuwa się szybko:

Napisałem już większą część kodu i wygląda na to, że wszystko działa jak należy. Muszę teraz przygotować kilka projektów na kursy, ale niedługo znów zajmę się stroną. Zapomniałem zabrać ładowarkę do domu na Święto Dziękczynienia.

Kiedy minęło siedem tygodni, a w pracy nad stroną nie dokonał się żaden widoczny postęp - Mark nie przesłał uzupełnionego kodu i nie zmienił w żaden sposób strony - Tyler zaczął się lekko niecierpliwić. Wszystko trwało zbyt długo. Wcześniej oceniał, że zdołają uruchomić witrynę przed końcem przerwy świątecznej. Razem z Cameronem wysłali do Marka email, prosząc, by jak najszybciej skończył pracę. Ten odpisał niemal natychmiast, prosząc o trochę więcej czasu:

Przepraszam, że ostatnio rzadko się odzywam, ale w zeszłym tygodniu byłem kompletnie zavalony robotą. Na poniedziałek muszę skończyć trzy programy i referat zaliczeniowy, a na piątek rozwiązać kolejne dwa problemy.

W tym samym emailu Mark zapewniał, że poświęca ich stronie każdą wolną chwilę:

Jeżeli chodzi o stronę, wprowadziłem kilka z ustalonych wcześniej zmian (choć nie wszystkie). Nie umieściłem ich jeszcze na stronie widocznej w

sieci, ale na moim komputerze wyglądają zupełnie dobrze.

Kolejny fragment lekko zaniepokoił Tylera, ponieważ był całkowicie zaskakujący w kontekście dotychczasowego optymizmu Marka:

Obawiam się tylko, że strona będzie zbyt uboga w funkcje, aby wzbudzić zainteresowanie pozwalające na uzyskanie efektu kuli śniegowej, potrzebnego do rozruszania takiego portalu. Jeśli strona w jej aktualnej postaci miałaby mieć zakładaną obecnie liczbę odwiedzających, łącze od waszego dostawcy może mieć za małą przepustowość, żeby udźwignąć obciążenie bez gruntownej optymalizacji, która wymagałaby kilku dodatkowych dni pracy.

Po raz pierwszy Mark stwierdził, że stronie może brakować pewnych „funkcji”. Wcześniej wydawał się zachwycony ich pomysłami i potwierdzał ich przekonanie, że Harvard Connection odniesie wielki sukces.

Od czasu tego emaila Tyler zaczął się uporczywie domagać spotkania. Wcześniej miał nadzieję, że strona będzie już funkcjonowała w tym okresie, tymczasem każdy dzień opóźnienia zwiększał szanse, że ktoś inny może ich ubiec i uruchomić podobną witrynę. Tyler i Cameron byli na ostatnim roku studiów i chcieli jak najszybciej wcielić swój pomysł w życie. Tymczasem Mark nieustannie przesuwiał termin zakończenia pracy, twierdząc, że nadmiar nauki uniemożliwia mu rozplanowanie dalszych prac.

Mark zgodził się na krótkie spotkanie w jadalni Kirklanda dopiero tego wieczoru, kilka godzin przed tym, jak bracia Winklevoss i Divya przeszli przez bramę w Porcellian - ofiarowaną Harvardowi przez bractwo w 1901 roku - i otworzyli czarne drzwi.

Gdy Tyler, Cameron i Divya usiedli obok Marka przy tym samym co poprzednio stole w tylnej części jadalni, rozmowa niczym nie różniła się od

poprzedniego spotkania: chłopak chwalił ich pomysły i zapewniał, że Harvard Connection będzie znakomitym serwisem. Potem zupełnie niespodziewanie zaczął się delikatnie wykręcać, że niby nie ma czasu, aby na serio zająć się pracą, że od dawna pracuje nad wieloma innymi wyjątkowo absorbującymi projektami. Tyler zapytał, czy chodzi o projekty zaliczeniowe na zajęcia z informatyki, na co Mark udzielił mętnej odpowiedzi.

Wspomniał również o kilku nowych problemach, jakie napotkał w czasie pracy nad Harvard Connection. Trzeba było poprawić jakiś „front end”, a on słabo się na tym znał. Tyler zrozumiał, że chodzi o wizualne aspekty strony startowej, co wydawało się dziwne, ponieważ podczas afery z Facemashem Mark wykazał się wielkim talentem akurat w tej dziedzinie.

Kolejne wypowiedzi Marka były jeszcze mniej zrozumiałe. Zaczął od tego, że czynności niezbędne do uruchomienia strony go „nudzą”, że musi zajmować się sprawami, które go nie interesują. Stale powtarzał, że strona ma niewystarczającą „funkcjonalność”. Że ich plany wymagają serwera o większej mocy.

Tyler zaczął w pewnym momencie podejrzewać, że chłopak próbuje ostudzić ich nadzieje. O ile wcześniej okazywał entuzjazm, o tyle teraz najwyraźniej chciał im powiedzieć, że praca nad projektem nie jest dla niego ciekawa.

Może chłopak po prostu stracił zapał, głowił się Tyler. Ciężko pracował, chodził na zajęcia, a wiedzieli od Victora, że ludziom na studiach technicznych zdarzają się tego rodzaju okresy lekkiego wypalenia, kiedy przemęczeniu towarzyszy drażliwość. Usprawiedliwienia Marka brzmiały bez wątpienia mało przekonująco. Problemy z serwerem? Wystarczy wykupić większy dostęp. Problemy z poziomem prezentacji? Każdy głupi może zaprojektować stronę. Być może Mark potrzebował krótkiego odpoczynku, po którym wróci do pracy. Być może w lutym znów będzie tryskał entuzjazmem.

Mimo wszystko sytuacja stała się niezwykle frustrująca i Tyler, Cameron

oraz Divya wyszli ze spotkania przygnębieni. Po tylu tygodniach zapewnień, że wszystko idzie zgodnie z planem, Mark niespodziewanie oświadczył, że strona nie jest gotowa i że wystąpiło kilka poważnych problemów, okazywał też znacznie mniejszy entuzjizm dla projektu. Nie przedstawił wiarygodnych wyjaśnień opóźnienia, poza nawałem obowiązków na uczelni, i miał im do zaoferowania jedynie brzmiące niezbyt poważnie przeprosiny. Tymczasem dwa kolejne miesiące zostały zmarnowane.

Spotkanie było co najmniej rozczarowujące. Tyler naprawdę liczył, że do tego czasu strona będzie już działać. Był święcie przekonany, że nowy informatyk rozumie ich projekt i możliwości, jakie zaoferuje on użytkownikom. Chłopak obejrzał gotowe fragmenty strony i przyznał, że jej ukończenie nie będzie trudne - dziesięć, piętnaście godzin pracy sprawnego informatyka - a teraz wyskoczył z jakimiś bzdetami o front endzie i mocy serwera.

Wszystko to nie miało sensu. Tyler uznał w końcu, że najlepiej będzie zostawić chłopaka w spokoju na kilka tygodni, a może dojdzie do siebie.

- A jeżeli nie dojdzie do siebie w ciągu tych kilku tygodni? - spytał Divya, kiedy usiedli na kanapie w Pokoju Rowerowym. Słyszeli samochody przejeżdżające Massachusetts Avenue po drugiej stronie czarnych drzwi. Gdyby Tyler i Cameron wyszli na piętro, mogliby obserwować ruch uliczny za pomocą lustra, które było tak zamocowane, że nikt z zewnątrz nie mógłby ich zobaczyć. Tyler nie był jednak typem podglądacza. Lubił uczestniczyć w wydarzeniach, współtworzyć je, napędzać. Nienawidził bezruchu i biernego obserwowania, jak reszta świata pędzi do przodu.

Tyler wzruszył ramionami. Być może było za wcześnie na taki wniosek, ale co, jeśli źle ocenili chłopaka? Może Mark Zuckerberg nie miał żyłki do interesów, którą dostrzegł w nim Tyler, i był po prostu zwykłym informatykiem pozbawionym szerszej wizji.

- W takiej sytuacji - stwierdził ponuro - będziemy musieli znaleźć nowego informatyka. Takiego, który zrozumie naszą ideę.

Być może Mark Zuckerberg w ogóle jej nie rozumiał?

ROZDZIAŁ 13 4 LUTEGO 2004 ROKU

Eduardo czekał dobre dwadzieścia minut na pustym korytarzu w Kirkland House, zanim Mark wbiegł wreszcie po schodach prowadzących do jadalni. Poruszał się tak szybko, że klapki na jego stopach tworzyły niewyraźną, rozmazaną plamę, a kaptur żółtego polaru łopotał mu za plecami jak sztandar na wietrze. Eduardo stał z założonymi rękami, czekając na przyjaciela.

- Myślałem, że umówiliśmy się na dziewiątą - powiedział, ale Mark zbył go machnięciem ręki.

- Nie mogę teraz rozmawiać - wymamrotał. Wyciągnął klucz z kieszeni spodni i wsunął go do zamka w drzwiach.

Eduardo przyglądał się rozwichrzonym włosom Marka i jego szalonemu spojrzeniu.

- Nie spałeś w nocy, prawda?

Mark nie odpowiedział. Eduardo podejrzewał, że Mark tak naprawdę prawie nie spał od tygodnia. Pracował na okrągło: od świtu do zmierzchu i od zmierzchu do świtu. Sprawiał wrażenie całkowicie wyczerpanego, ale najwyraźniej się tym nie przejmował. W tej chwili Mark nie przejmował się chyba niczym. Wpadł w znany każdemu inżynierowi trans. Nie pozwalał, aby cokolwiek rozpraszało jego uwagę czy w jakikolwiek sposób zaburzyło tok jego myśli.

- Dlaczego nie chcesz rozmawiać? - dopytywał się Eduardo, ale Mark ponownie go zignorował. W końcu udało mu się przekręcić klucz w zamku, otworzył drzwi i wpadł do pokoju. Zaplątał się w parę leżących na podłodze dzinsów, stracił równowagę i upadł przy zagraconym regale, na którym stały książki i mały kolorowy telewizor. Natychmiast się poderwał, wpadł do sypialni i od razu doskoczył do biurka.

Komputer stacjonarny był włączony i Mark natychmiast zaczął coś robić w otwartym programie. Nie zwracał w ogóle uwagi na zbliżającego się Eduarda. Jak szalony uderzał palcami w klawisze z taką prędkością i siłą, jakby je coś opętało.

Eduardo przypuszczał, że Mark wprowadza ostatnie poprawki, ponieważ wszystkie błędy usunął przed godziną trzecią, a projektowanie i pisanie głównego kodu skończył jeszcze wcześniej. W programie brakowało tylko jednej funkcji, nad którą Mark biedził się niemal przez cały ostatni dzień.

Od jakiegoś czasu próbował na różne sposoby komponować elementy strony. Chciał uczynić jej grafikę maksymalnie prostą i przejrzystą, a jednocześnie na tyle atrakcyjną, by przykuwała uwagę odwiedzających. Ludzi do thefacebooka miała przyciągać nie tylko potrzeba voyeuryzmu, ale również interaktywność strony. Mówiąc prościej, portal miał imitować ten wymiar codziennego życia uniwersytetu, który napędzał jego życie towarzyskie, skłaniał ludzi do chodzenia do klubów i barów, a nawet na sale wykładowe i do sali jadalnej. Robili to oczywiście, by spotykać się z innymi, nawiązywać kontakty towarzyskie i prowadzić rozmowy, niemniej katalizatorem, motorem powstawania wszystkich sieci społecznych był prosty i fundamentalny mechanizm towarzyszący ludzkości od jej zarania.

- Zupełnie nieźle to wygląda - stwierdził Eduardo, zaglądając Markowi przez ramię. Mark skinął głową, choć bardziej do siebie.

- No.

- Naprawdę znakomicie. Wygląda super. Jestem pewien, że strona chwyci.

Mark potarł dłonią włosy i odchylił się na krześle. Na monitorze widniał próbny profil użytkownika, strona mająca wyświetlać się po zarejestrowaniu konta i wprowadzeniu danych osobowych. W górnej części znajdowało się zdjęcie - użytkownik mógł dodać dowolne. Po prawej stronie podstawowe informacje: rok studiów, kierunek, szkoła średnia, miejsce zamieszkania,

członkostwo w stowarzyszeniach, ulubiony cytat. Poniżej lista przyjaciół - ludzi, których można było dodać samemu lub zaprosić - a także funkcja „zaczepienie” pozwalająca na poinformowanie innych, że obejrzało się ich profil. Strona zawierała również napisane wielkimi literami słowo „Seks”: „Kogo szukam”, „W związku/Singiel”, „Co mnie interesuje”.

Właśnie ten element był genialny i miał zapewnić stronie powodzenie. Kogo szukam. W związku / Singiel. Co mnie interesuje. Nie istniały bardziej istotne parametry osobowe na kampusie; były życiem studenta w pigułce - od imprez do sal wykładowych i akademików stanowiły motor napędzający życie każdego studenta.

Mechanizm ten miał zostać przeniesiony do Internetu, a powstające w nim sieci społeczne napędzać będzie to samo, co kierowało życiem uczelni - seks. Nawet na Harvardzie, najbardziej ekskluzywnej szkole na świecie, wszystko kręciło się wokół seksu. Powodem do radości było uprawianie seksu, a do zmartwień - sytuacja przeciwna. Właśnie dlatego ludzie wstępowali do bractw. Dlatego wybierali takie a nie inne kursy i siadali na określonych miejscach w jadalni. Do tej motywacji miał się generalnie odwoływać na początku thefacebook.com. Do seksualnego podtekstu życia na kampusie.

Mark znów zaczął pisać. Zajął się stroną startową, którą miał widzieć każdy, kto wejdzie na adres thefacebook.com. Oczom Eduarda ukazał się ciemnoniebieski pasek oraz znajdujące się poniżej nieco jaśniejsze przyciski „Zarejestruj się” i „Zaloguj się”. Wszystko niezwykle proste i przejrzyste. Żadnych migających światełek ani irytujących melodyjek. Liczy się pierwsze wrażenie - strona miała być pozbawiona efekciarskich, przytłaczających i odstrasających elementów. Prosto i przejrzyste:

[Witaj na Thefacebooku]

Thefacebook to internetowy katalog, który łączy studentów uniwersytetów za pośrednictwem sieci społecznych. Udostępniamy Thefacebooka do użytku publicznego na Uniwersytecie Harvarda.

Thefacebooka możecie używać do:

- szukania ludzi uczęszczających na waszą uczelnię;
- sprawdzania, z kim chodzicie na zajęcia;
- przeglądania znajomych waszych znajomych;
- tworzenia wizualizacji waszej sieci społecznej.

Aby rozpocząć, kliknij na poniższy klawisz „Zarejestruj się”.

Jeżeli jesteś już zarejestrowany, możesz się zalogować.

- A zatem żeby się zalogować... - zaczął Eduardo. Rzucany przez niego cień przykrywał większą część ekranu. -...Trzeba mieć konto mailowe na Harvard.edu, a później wpisać hasło, zgadza się?

- Zgadza się.

Konto pocztowe na Harvard.edu ma zatem kluczowe znaczenie, pomyślał Eduardo. Ze strony mogą korzystać wyłącznie studenci Harvardu. Mark i Eduardo wiedzieli, że ekskluzywny charakter strony podniesie jej popularność, a jednocześnie pomoże przekonać ludzi, że ich dane osobowe pozostaną bezpieczne w zamkniętym systemie. Prywatność była ważnym czynnikiem, ponieważ ludzie chcieli zachować kontrolę nad informacjami, jakie umieszczali w sieci. Równie ważna była możliwość wyboru własnego hasła. Aaron Greenspan miał masę nieprzyjemności z komisją dyscyplinarną, ponieważ do logowania się na jego stronie studenci musieli używać numerów swoich kart studenckich. Mark napisał nawet do niego w tej sprawie email. Greenspan natychmiast próbował namówić Marka do współpracy - podobnie jak bracia Winklevoss w sprawie serwisu randkowego Harvard Connection. Wszyscy

chcieli skorzystać z umiejętności Marka, on jednak nie miał zamiaru wchodzić w żadne alianse. Wszystko, czego potrzebował, widniało właśnie przed jego oczami na ekranie monitora.

- A to coś na dole? Do czego służy?

Eduardo stał pochylony do przodu, mrużąc oczy i próbując odczytać linijkę tekstu napisaną małą czcionką.

„Produkcja Mark Zuckerberg”.

Miała się pojawiać na każdej stronie u dołu ekranu w charakterze widocznego dla wszystkich podpisu.

Nawet jeśli Eduardo poczuł się urażony, nie odezwał się ani słowem. Zresztą dlaczego miałby cokolwiek mówić? Mark zapracowywał się na śmierć - długie godziny spędzone przed komputerem musiały zlać się w jego umyśle w nieprzerwany cykl programowania. Niewiele jadł, prawie nie sypiał. Prawdopodobnie opuszczał połowę zajęć, co musiało się odbić na jego średniej ocen. Na jednych zajęciach - należących do durnego kanonu, a zatytułowanych „Sztuka w czasach Augusta” - podobno miał takie opóźnienia, że niemal zapomniał o egzaminie, którego wynik wpływał w dużym stopniu na ocenę końcową. Nie miał czasu uczyć się do tego cholernego egzaminu, ale znalazł nietypowe rozwiązanie problemu. Stworzył szybko małą stronę internetową, gdzie umieścił ilustracje wszystkich dzieł sztuki, które miały znaleźć się na egzaminie, i zachęcił innych uczestników kursu do wyrażania swoich opinii na ich temat. W ten oto sposób otrzymał internetową ściągę, namawiając pozostałych studentów do wykonania pracy za niego. Na egzaminie uzyskał znakomity wynik i zapewnił sobie zaliczenie.

Teraz wyglądało na to, że wszystkie wyrzeczenia przyniosły efekty - strona była praktycznie gotowa. Trzy tygodnie wcześniej, dwunastego stycznia, zarejestrowali domenę thefacebook.com, wykupili również hosting za około osiemdziesiąt pięć dolarów tygodniowo w firmie z północnej części stanu Nowy Jork, która gwarantowała obsługę dowolnej liczby odwiedzających i serwis

techniczny. Mark wyciągnął wnioski z Facemasha i nie zamierzał umieszczać strony na laptopie, który mógł się zawiesić. Wykupione serwery mogły obsłużyć dużą liczbę odwiedzających, nie musieli się zatem obawiać przykrych niespodzianek, nawet gdyby miała zdobyć popularność porównywalną z Facemashem. Wszystko było gotowe.

Thefacebook czekał, aby go odpalić.

- Do dzieła.

Mark wskazał na laptopa, który stał otwarty na biurku obok komputera stacjonarnego. Eduardo zajął miejsce u boku Marka i pochylił się nad klawiaturą. Jego ramiona wygięły się do wewnątrz, kiedy zaczął naciskać klawisze. Szybko otworzył książkę adresową na swoim koncie pocztowym i wskazał na grupę nazwisk na górze.

- Wszyscy są członkami Phoenixa. Jeżeli wyślemy do nich link, reszta kampusu powinna szybko dowiedzieć się o stronie.

Mark skinął głową. Pomysł z rozesłaniem linku najpierw do członków Phoenixa był pomysłem Eduarda. To oni byli w końcu królami życia towarzyskiego na kampusie, a thefacebook miał charakter portalu społecznościowego. Jeżeli spodoba się im, polecą go swoim znajomym, a wtedy szybko zdobędzie popularność. Poza tym chłopaki z Phoenixa znali wiele dziewczyn. Gdyby Mark rozesłał link do ludzi ze swojej książki adresowej, wiedza o stronie nie wyszłaby poza wydział informatyki oraz, rzecz jasna, bractwo żydowskie. Z pewnością emaila z linkiem nie dostałoby zbyt wiele dziewczyn, jeżeli w ogóle by do jakiegóż trafił. Co oczywiście byłoby niekorzystne.

Phoenix dawał znacznie większe nadzieje. Wraz z listą mailową Kirklandu, do której Mark miał oficjalnie dostęp jako mieszkaniec tego akademika, powinien od samego początku zapewnić stronie przyzwoity start.

- W porządku - powiedział Eduardo lekko drżącym głosem. - Zaczynamy.

Napisał prosty list zawierający kilka linijek tekstu przedstawiającego ideę

strony oraz link do thefacebook. com. Wziął głęboki oddech i nacisnął klawisz, rozsyłając wiadomość do wielu odbiorców jednym uderzeniem palca.

Gotowe. Eduardo zamknął oczy i wyobraził sobie małe pakiety informacji odbijające się rykoszetem po całym świecie, śmigające miedzianymi przewodami i odbijające się od wiszących na orbicie satelitów, rozcinające eter maleńkie elektroniczne pakiety geniuszu, przeskakujące między komputerami niczym rozbłyśki synaps w ogromnym, ogólnoswiatowym układzie nerwowym. Strona zawisła w Internecie.

Uruchomiona.

Aktywna.

Eduardo położył dłoń na ramieniu Marka, czym go lekko wystraszył.

- Chodźmy się napić! Musimy to uczcić!

- Nie, ja zostaję.

- Jesteś pewien? Słyszałem, że do Phoenixa przychodzą dziś jakieś panienki. Wysyłają po nie Ruchobus.

Mark nie zareagował. Z jego wyrazu twarzy Eduardo wyczytał, że mu przeszkadza - tak jak może przeszkadzać szum wiszącego na ścianie kaloryfera lub odgłosy ruchu ulicznego dobiegające przez małe okienko w pokoju Marka.

- Zamierzasz tak tu siedzieć z oczami wlepionymi w monitor?

Mark ponownie nie odpowiedział. Kiwał się lekko na krześle, zupełnie jakby się modlił.

Jego zachowanie było dość nietypowe, ale Eduardo jak zwykle nie zamierzał osądzać przyjaciela. Dlaczego miałby to robić? Mark pracował dniami i nocami, aby przygotować stronę thefacebook na tę chwilę. Jeżeli chciał siedzieć sam w pokoju, gapiąc się w monitor, miał do tego prawo.

Eduardo niemal bezszelestnie wycofał się z pokoju. Przystanął w drzwiach, bębniąc we framugę palcami. Mark i tym razem nie zareagował. Eduardo wzruszył ramionami, odwrócił się i wyszedł, zostawiając go samego przed komputerem.

Mark siedział w całkowitej ciszy, wpatrzony we własne odbicie na ekranie komputera.

ROZDZIAŁ 14 9 LUTEGO 2004 ROKU

Tyler wiosłował jak w transie - zamknięte oczy, napięte mięśnie pleców, falująca klatka piersiowa, piekące mięśnie czworogłowe i trójgłowe ramion, pobielale palce trzymające wiosła. Ich pióra zanurzały się i wynurzały, nie naruszając gładkiej powierzchni wody, idealnie zsynchronizowane z wiosłami Camerona, który siedział tuż za nim. Tyler niemal słyszał doping kibiców zgromadzonych na brzegach rzeki Charles, niemal widział zbliżający się coraz bardziej most...

- Tyler! Musisz to zobaczyć!

W jednej chwili wizja zniknęła. Zatrzęsły mu się ręce, wiosła zburzyły gładką powierzchnię wody, ochlapując jego bluzę i szorty. Otworzył szeroko oczy. Nie zobaczył jednak przesuwających się brzegów rzeki Charles, tylko wnętrze hangaru Nevell, w którym harwardzkie osady wioślarskie przechowywały łodzie od 1900 roku. Na ścianach wisiały pamiątki po dawnych osadach - wiosła, kadłuby łodzi i bluzy sportowe, oprawione czarnobiałe fotografie i półki z pucharami. Tyler zobaczył stojącego przed nim Hindusa, który z wściekłością w oczach trzymał w ręku egzemplarz „Harvard Crimson”.

Tyler zamrugał, odłożył wiosła i wytarł mokre policzki. Zerknął do tyłu na brata, który również przestał wiosłować. Siedzieli w jednym z nowoczesnych „basenów”, czyli zbudowanych w hangarze zbiorników dla osad wioślarskich, w których między betonowymi ścianami wisiała ośmioosobowa „łódź” otoczona z obu stron na tyle szerokimi pasami wody, że dało się w niej wiosłować. Tyler zdawał sobie sprawę, że muszą wyglądać idiotycznie - dwóch przemoczonych facetów siedzących w sztucznym basenie - ale Divyi wyraźnie nie było do śmiechu. Tyler spojrzał na „Crimsona” i wzniósł oczy do nieba.

- Co tym razem wyczytałeś?

Divya podał mu gazetę. Ręce trzęsły mu się z wściekłości. Tyler pokręcił głową.

- Sam przeczytaj. Jestem cały mokry. Nie mam ochoty umorusać się farbą drukarską.

Zirytowany Divya wypuścił powietrze z płuc, otworzył gazetę i zaczął czytać:

- „Mark E. Zuckerberg, rocznik 2006, nie mógł się doczekać powstania oficjalnej strony z profilami studentów Harvardu, dlatego postanowił wziąć sprawy w swoje ręce...”.

- Chwila, chwila - przerwał mu Cameron. - Gdzie to jest niby napisane?

- W dzisiejszej gazecie - wyjaśnił Divya. - Posłuchajcie: „Po trwającej około tygodnia pracy nad programem komputerowym w zeszłą środę po południu Zuckerberg uruchomił stronę thefacebook.com. Łączy ona w sobie elementy standardowej bazy danych z profilami mieszkańców akademika z rozbudowanym zestawem funkcji pozwalających studentom na odnajdywanie innych osób uczęszczających z nimi na zajęcia, należących do tych samych organizacji i mieszkających w tym samym akademiku”.

Tyler odkaszlnął. W zeszłą środę po południu? Czyli cztery dni temu. Nie słyszał, aby ktokolwiek rozmawiał o tej stronie, ale musiał przyznać, że w ostatnich dniach trenowali z bratem jak szaleni. Praktycznie nie miał czasu, żeby sprawdzać skrzynkę mailową.

- To jakieś wariactwo - powiedział. - Uruchomił stronę internetową?

- Zgadza się - przytaknął Divya. - W artykule przytaczają jego wypowiedź: „Dużo się ostatnio mówiło o stronie z profilami wszystkich studentów Harvardu, mówi nam Zuckerberg. To śmieszne, że uczelnia od kilku lat bezskutecznie próbuje coś w tej sprawie zrobić. Ja potrafię stworzyć taką stronę lepiej od nich, nie mówiąc o tym, że zajęło mi to zaledwie tydzień”.

Zajęło mu to zaledwie tydzień? Ukończenie Harvard Connection przekładał przez ostatnie dwa miesiące, tłumacząc, że nie ma czasu na pisanie

kodu z powodu projektów, które musi przygotować na zajęcia, oraz przerwy świątecznej. Mój Boże, pomyślał Tyler, Mark okłamywał nas w żywe oczy. Cameron wysłał do niego email zaledwie dwa tygodnie temu, prosząc o radę w sprawie wyglądu jakichś elementów na Harvard Connection, i nie otrzymał odpowiedzi. Założyli, że Mark nadal jest zawalony nauką.

Miał czas, żeby przygotować tę swoją pieprzoną stronę, pomyślał Tyler, a nie znalazł dziesięciu godzin na dokończenie naszego projektu?

- To jeszcze nie wszystko. „Zuckerberg powiedział, że do wczorajszego popołudnia na thefacebook.com zarejestrowało się przeszło sześciuset pięćdziesięciu studentów. Według jego szacunków dziś rano powinno być ich około dziewięciuset”.

Cholera! To przecież niemożliwe. Dziewięciuset studentów zarejestrowało się na stronie w ciągu czterech dni? Jakim cudem? Zuckerberg nie zna dziewięciuset ludzi. W ocenie Tylera nie znał nawet czterech ludzi. Chłopak nie miał żadnych znajomych. Nie prowadził życia towarzyskiego. Jakim cudem uruchomił portal społecznościowy i zainteresował nim tyle osób w ciągu czterech dni?

- Wszedłem na tę jego stronę zaraz po przeczytaniu artykułu. Wszystko się zgadza: z każdą chwilą przybywa użytkowników. Wystarczy posiadać adres mailowy na Harvardzie, a po zarejestrowaniu można umieścić na swoim profilu zdjęcie, dane osobowe oraz informacje o studiach. Można przeszukiwać profile innych ludzi pod kątem zainteresowań, a jeśli znajdziesz jakichś swoich znajomych, możesz stworzyć z nimi sieć.

Tyler poczuł, jak zaciskają mu się pięści. Strona nie była może dosłownym powieleniem Harvard Connection, ale jego zdaniem niewiele się od niego różniła. Harvard Connection miał umożliwiać wyszukiwanie ludzi pod kątem zainteresowań. Miał też obejmować wyłącznie społeczność studentów Harvardu. Czy to możliwe, że Zuckerberg wykorzystał ich pomysł? Czy to mógł być przypadek...? W czasie gdy miał im pomagać w ukończeniu strony, po

prostu rozpoczął pracę nad własną?

Nie, coś tu nie grało. Tylerowi przypominało to... kradzież.

- Z tego, co słyszałem, stronę sfinansował jeden z jego kumpli, Brazylijczyk Eduardo Saverin. Należy do Phoenixa i zarobił w lecie spore pieniądze na giełdzie. Teraz jest współwłaścicielem portalu.

- Ponieważ za nią zapłacił?

- Tak myślę.

- Dlaczego Mark nie przyszedł z tym do nas?

Mark musiał wiedzieć, że bracia Winklevoss dysponują pieniędzmi; musiał wiedzieć, że należą do Porc, a przecież było oczywiste, co to oznacza. Jeśli potrzebował gotówki na uruchomienie strony, mógł w każdej chwili zwrócić się do Tylera i Camerona. Chyba że potrzebował gotówki na coś, co i mu kradł. Chyba że nie chciał przy nich wspominać o stronie, nad którą pracował, ponieważ była zbyt podobna do Harvard Connection, do której został zatrudniony. No, zatrudniony to może przesada - nigdy nie rozmawiali o pieniądzach; powiedzieli tylko, że skorzysta na ich sukcesie.

Nie podpisali umowy, żadnego dokumentu - wszystko załatwili na gębę, wymieniając kilkakrotnie uścisk dłoni. Kurwa mać! Tyler opuścił głowę i wbił wzrok w błękitnozieloną taflę wody w basenie. Dlaczego nie sporządzili jakiegokolwiek dokumentacji, choćby jednostronicowej rozpiski w stylu „ty zobowiązujesz się do X, my do Y”? Po prostu mu zaufali, a chłopak, zdaniem Tylera, normalnie zrobił ich w chuja. Grał na zwłokę, zwodził ich, tymczasem przygotował własną stronę z podobnymi funkcjami.

- Nie słyszeliście jeszcze najlepszego - powiedział Divya, wracając do lektury fragmentów artykułu. - „Zuckerberg wyraził nadzieję, że rozwiązania chroniące prywatność użytkowników pomogą mu odbudować reputację, jaką utracił w wyniku skandalu z facemash.com, innej strony, którą uruchomił w semestrze jesiennym”.

Tyler uderzył otwartą dłonią jedno z wioseł, posyłając w powietrze

pióropusz wody. Użył dokładnie takich samych słów, próbując nakłonić Marka do współpracy - Harvard Connection miał pomóc mu w odbudowie reputacji - a teraz on przytoczył je w rozmowie z „Crimsonem”. Tyler miał poczucie, że Mark się z nich naśmiewa.

W opinii Tylera Mark zwodził ich przez dwa miesiące - obejmujące przerwę świąteczną i okres poprzedzający sesję - tymczasem pracował nad swoją stroną. Potem zerwał kontakt, a niecałe dwa tygodnie później uruchomił thefacebook.com, ubiegając premierę ich strony oraz, zdaniem Tylera, kradnąc im pomysły.

- Co z tym zrobimy? - spytał Cameron.

Tyler nie był pewien, wiedział jednak, że nie wolno im tak zostawić sprawy. Nie mógł pozwolić, aby tej pieprzonej gnidzie wszystko uszło na sucho.

- Najpierw zadzwonimy w pewne miejsce.

Myśli kłębiły się w głowie Tylera, kiedy przycisnął mocno słuchawkę do ucha. Stał w swoim pokoju w akademiku Pforzheimer, ociekając wodą po wziętym w pośpiechu prysznicu. Miał na sobie tylko spodnie od dresu i narzucony na ramiona ręcznik. Cameron i Divya siedzieli przy biurku kilka metrów dalej, oglądając stronę Zuckerberga na stacjonarnym komputerze. Za każdym razem, kiedy Tyler spoglądał w ich kierunku i widział ekran z niebieskimi banerami, krew napływała mu do policzków, a z oczu strzelały iskry. Tak nie wolno, do jasnej cholery! To nie fair.

Jego ojciec odebrał po trzecim dzwonku. Nikogo na świecie Tyler nie darzył większym szacunkiem. Jego ojciec sam doszedł do wielomilionowej fortuny i teraz kierował jedną z najlepiej prosperujących firm konsultingowych

na Wall Street. Nikt nie będzie lepiej wiedział, jak należy postąpić w tak trudnej sytuacji.

Tyler mówił szybko, wyjaśniając sytuację. Ojciec znał doskonale projekt Harvard Connection, co było o tyle zrozumiałe, że bracia pracowali nad nim od grudnia 2002 roku. Tyler streścił historię ich znajomości z Zuckerbergiem, następnie przytoczył informacje zawarte w „Crimsonie” oraz to, co on, Cameron i Divya sami zobaczyli na thefacebook.com.

- Niektóre elementy wyglądają naprawdę podobnie, tato.

Najważniejszym z nich była, zdaniem Tylera, ekskluzywność strony, która całkowicie odróżniała dzieło Marka od innych portali społecznościowych w rodzaju Friendstera. Do zalogowania się na thefacebook.com potrzebny był harwardzki email - to również był ich pomysł, chcieli bowiem uruchomić portal społecznościowy wyłącznie dla studentów Harvardu. Rozwiązanie, w którym do utworzenia konta potrzebny jest adres email z końcówką edu, było całkowicie nowatorskie i mogło odegrać ogromną rolę w przyciągnięciu pierwszych użytkowników. Pozwalało na swego rodzaju wstępną selekcję, która dopuszczała do portalu jedynie wybrane osoby i czyniła go bezpiecznym. Nawet jeśli Mark umieścił na thefacebook.com wiele innych funkcji, ogólny zamysł wydawał się Tylerowi podobny.

Mark spotkał się z nimi trzykrotnie. Wymienili pięćdziesiąt dwa emaile, których kopie wciąż znajdowały się w komputerach Tylera, Camerona i Divyi. Mogli udowodnić, że Mark widział kod ich strony. Zapoznał się z tym, co napisał Victor, i dokładnie omówił z nimi ich zamierzenia.

- Nie chodzi nam o pieniądze - podsumował Tyler. - Nie wiadomo, czy którakolwiek z naszych stron przyniesie zysk. Rzecz w tym, że tak po prostu nie wolno postępować. To nie fair.

Świat nie miał działać w ten sposób. Tyler i Cameron zostali wychowani w przekonaniu, że porządek ma znaczenie. Reguły mają znaczenie. Kto ciężko pracuje, ma prawo liczyć na nagrodę. Być może hakerski świat Marka -

hermetyczny światopogląd maniaka komputerowego - rządził się innymi prawami. Każdy robił, co mu się żywnie podobało, otwierał dla żartu strony w rodzaju Facemash, włamywał się do uczelnianych komputerów, wypinał się na władze uniwersytetu i drwił sobie z praw własności innych ludzi na łamach „Crimsona”. Tyler nie potrafił się z tym pogodzić.

Harvard był innym miejscem. Obowiązywał w nim porządek. Prawda?

- Połączę cię z adwokatem, który u nas pracuje - powiedział ojciec Tylera.

Chłopak skinął głową, uspokoił oddech i opanował nerwy. Prawnik - właśnie kogoś takiego potrzebowali. Kogoś znającego się na rzeczy, kto zapozna ich z dostępnymi możliwościami, powie, co powinni w tej sytuacji zrobić.

Być może nie jest jeszcze za późno. Być może zdołają jeszcze wszystko odkręcić.

ROZDZIAŁ 15 IDOL AMERYKI

Z perspektywy wyższych rzędów stojący za mównicą mężczyzna sprawiał wrażenie drobnego i przygarbionego. Twarz trzymał odrobinę za blisko mikrofonu, a jego chude ramiona wypychały narożniki rozciągniętego beżowego swetra. Ostrzyżone pod garnek włosy opadały mu niemal na oczy, a ogromne okulary zakrywały większą część pokrytej plamami twarzy, odzierając ją z jakiegokolwiek wyrazu lub emocji. Dobiegający z głośników głos wydawał się nieco zbyt wysoki i nosowy, do tego czasami popadał w monotonię; zupełnie jakby z krtani tak długo wydobywał się pojedynczy dźwięk, że słowa zaczynały się ze sobą zlewać.

Nie był znakomitym mówcą, tym niemniej niezwykle inspirująca była sama jego obecność; fakt, że stał na środku sali wykładowej Lowella, uderzając bladymi dłońmi o podium, że jego głowa podskakiwała w górę i w dół na indyjskiej szyi, kiedy sypał złotymi myślami w stronę zgromadzonych licznie słuchaczy. Widownia złożona głównie z inżynierów i komputerowców z wydziału informatyki oraz studentów kilku kierunków ekonomicznych marzących o karierze w biznesie spijała z jego ust każdą nosową głoskę. Zgromadzeni akolici mieli poczucie, jakby trafili do nieba, a ów stojący na podium dziwaczny człowieczek z włosami obciętymi pod garnek był ich bogiem.

Eduardo siedział obok Marka w tylnym rzędzie na balkonie, obserwując, jak Bill Gates hipnotyzuje tłum. Mimo dziwnego, niemal autystycznego sposobu bycia Gatesowi udało się sypnąć kilkoma dowcipami, między innymi o powodach, dla których rzucił szkołę („Miałem paskudny zwyczaj opuszczania zajęć”), oraz wartościowymi złotymi myślami - że przyszłością jest sztuczna inteligencja, że następny Bill Gates wkrótce się objawi, być może siedzi na tej

właśnie sali. Eduardo zauważył, że Mark się wyraźnie ożywił, kiedy Gates odpowiadał na pytania słuchaczy, wyjaśniając motywację stojącą za decyzją o rzuceniu szkoły i założeniu własnej firmy. Gates początkowo trochę się plątał z odpowiedzią, po czym stwierdził, że Harvard jest wspaniałą uczelnią, ponieważ zawsze można na nią wrócić i dokończyć naukę. Uśmiech, jaki pojawił się wtedy na twarzy Marka, sprawił, że Eduardo poczuł się trochę nieswojo. Przypomniawszy sobie, ile pracy wymagało od Marka nieustanne dostosowywanie strony do ogromnego zainteresowania użytkowników. Eduardo nie wyobrażał sobie, że mógłby zrezygnować ze studiów. Po pierwsze, jego ojciec wpadłby w szal, jako że w rodzinie Saverinów zdobywanie edukacji było sprawą pierwszorzędą, a uczęszczanie na Harvard traciło sens, jeśli nie miało się zakończyć zdobyciem dyplomu. Po drugie, Eduardo miał co prawda świadomość, że biznes wymaga podejmowania ryzyka, ale uważał, że istnieją pewne granice, których nie należy przekraczać. Człowiek nie powinien stawiać pod znakiem zapytania swojej przyszłości i angażować się w jakiś projekt, dopóki nie wymyśli, jak może na nim zbić majątek.

Eduardo tak intensywnie przyglądał się zasłuchanemu w Gatesie Markowi, że o mały włos przegapiłby chichoty dochodzące zza jego pleców. Zapewne by się nie odwrócił, gdyby nie fakt, iż autorką wypowiedzianych szeptem słów była bez wątpienia kobieta.

Gates wciąż głądził, odpowiadając na kolejne pytania słuchaczy, tymczasem Eduardo zerknął przez ramię. Siedzenie tuż za nim było puste, ale rząd dalej zobaczył dwie uśmiechnięte dziewczyny spoglądające w jego stronę. Obie były atrakcyjnymi Azjatkami, nieco przesadnie wystrojonymi jak na taką okazję. Wyższa miała długie sobolowe włosy spięte w sterczący wysoko koński ogon, krótką spódniczkę i białą bluzkę rozpiętą o jeden guzik za nisko. Eduardo dostrzegł rąbek czerwonego koronkowego biustonosza, który cudownie harmonizował z opaloną, gładką skórą dziewczyny. Jej koleżanka miała na sobie równie krótką spódniczkę, a pod nią czarne legginsy odsłaniające łydki o

imponujących kształtach. Obie pomalowały sobie usta jasnoczerwoną szminką, a na powieki nałożyły przesadnie silne cienie - tak czy inaczej były naprawdę urocze. No i do tego uśmiechały się i wskazywały palcami na niego.

Dokładniej mówiąc, na niego i na Marka. Wyższa z dziewczyn nachyliła się do przodu nad pustym krzesłem i wyszeptała mu pytanie do ucha:

- Czy twój przyjaciel... to Mark Zuckerberg?

Eduardo zrobił zdziwioną minę.

- Znacie go?

Na wszystko przychodził w końcu czas.

- Nie, ale to on stworzył Facebooka, prawda?

Włosy dziewczyny musnęły jego ucho, poczuł zapach perfum. Przez ciało Eduarda przebiegł lekki dreszczyk podniecenia.

- Zgadza się. Dokładniej mówiąc, Facebook jest naszym wspólnym dziełem, jego i moim.

Ludzie na kampusie opuszczali rodzajnik „the” i generalnie nazywali stronę Facebookiem. Choć od jej uruchomienia minęły zaledwie dwa tygodnie, można było odnieść wrażenie, że wszyscy z niej korzystają. Obserwacja ta miała oparcie w faktach, ponieważ rzeczywiście praktycznie wszyscy na Harvardzie założyli sobie profil na Facebooku. Według Marka liczba zarejestrowanych użytkowników wynosiła już pięć tysięcy, czyli 85% studentów.

- Ale super! - ucieszyła się dziewczyna. - Mam na imię Kelly, a to jest Alice.

Ludzie siedzący w rzędzie z dziewczynami zaczęli spoglądać w ich stronę, ale nie wyglądali na zirytowanych szeptami, które mogły im przeszkadzać w słuchaniu wykładu Billa Gatesa. Ktoś wskazywał na nich palcem, inny szeptał coś do ucha sąsiadowi. Kolejne osoby zaczęły wskazywać w ich stronę palcem - nie na niego, tylko na Marka.

Mark był już wtedy powszechnie znany. Zatrószył się o to „Crimson”, publikując kolejne artykuły o ich stronie; tylko w poprzednim tygodniu ukazały

się trzy. Przytaczano w nich wypowiedzi Marka na temat witryny, wydrukowano nawet jego zdjęcie. Nikt nie rozmawiał z Eduardem, co akurat go cieszyło. Mark lubił być w centrum zainteresowania, z kolei Eduardo myślał wyłącznie o zyskach, jakie z tego zainteresowania mogły wyniknąć. Stworzyli stronę, żeby na niej zarobić, więc oczywiście promocja była ważna - Eduardo nie chciał jednak zostać przy okazji osobą publiczną.

Tymczasem taki los najwyraźniej mu groził. Mimo że thefacebook działał od niedawna, zaczął zmieniać Harvard. Stawał się elementem życia codziennego: student wstawał i od razu zaglądał na swoje konto na Facebooku, aby sprawdzić, kto zaprosił go do swojego kręgu przyjaciół lub które z wysłanych przez niego zaproszeń zostały zaakceptowane, a które odrzucone. Dopiero później zabierał się za inne sprawy. Jeżeli zobaczył jakąś dziewczynę na zajęciach albo po prostu minął się z nią na korytarzu, po powrocie do pokoju odszukiwał jej profil na Facebooku, a następnie zapraszał do grona swoich przyjaciół. Czasami załączał krótką informację, wyjaśniając, w jakich okolicznościach się spotkali albo które z jej zainteresowań pasowały do jego. Mógł wysłać takiej dziewczynie zaproszenie w ciemno, bez żadnych wyjaśnień, aby sprawdzić, czy w ogóle wie o jego istnieniu. Po wejściu na swój profil dziewczyna otwierała takie zaproszenie, widziała zdjęcie chłopaka i decydowała, czy go akceptuje.

Było to naprawdę niesamowite narzędzie, które tchnęło nowego ducha w życie towarzyskie Harvardu - w Internecie wszystko działało się znacznie szybciej. Nie był to jednak serwis randkowy, za jaki Eduardo uznawał Friendstera. Choć Friendstera określano powszechnie mianem portalu społecznościowego - podobnie jak MySpace, który zaczynał cieszyć się rosnącą popularnością w skali całych Stanów Zjednoczonych - służył on wyłącznie do oglądania profili obcych ludzi i nawiązywania z nimi kontaktu. Facebook tym się od nich różnił, że pozwalał użytkownikom na zapraszanie do grona przyjaciół ludzi, których już znał i - jeśli nie dobrze, to przynajmniej z widzenia.

Chodzili razem na zajęcia lub byli znajomymi znajomych, członkami innego „kręgu”, do którego można było przystąpić lub zostać zaproszonym przez ludzi, którzy już do niego należeli.

Na tym polegał geniusz Facebooka. Geniusz Marka, choć Eduardo czuł się współtwórcą projektu. Nie tylko wyłożył pieniądze na serwery, ale miał również wpływ na niektóre funkcje serwisu, pomysły kryjące się za jego uproszczoną strukturą.

Uruchamiając stronę, nie przypuszczali jednak z Markiem, jak bardzo okaże się uzależniająca. Nie można było na nią wejść po prostu raz; człowiek zaglądał na nią codziennie, nieustannie wracając, uzupełniając profil, zmieniając zdjęcie, zainteresowania, a przede wszystkim uzupełniając listę przyjaciół. Facebook przeniósł sporą część życia towarzyskiego uniwersytetu do Internetu i naprawdę je zmienił.

Wszystko to nie czyniło z niego jeszcze maszynki do zarabiania pieniędzy - Facebook był zaledwie nowinką, która się przyjęła. Eduardo przygotował kilka propozycji rozwiązań tej sytuacji. Po wykładzie Billa Gatesa mieli z Markiem wrócić do jego pokoju i je omówić. Eduardo zamierzał przede wszystkim przekonać Marka, że powinni zacząć szukać reklamodawców. To właśnie oni mieli zapewnić Facebookowi sukces finansowy. Eduardo wiedział, że rozmowa nie będzie łatwa, ponieważ Mark chciał zachować rozrywkowy charakter strony, pamiętał również, że w szkole średniej Mark odrzucił milionową propozycję Microsoftu. Nie wiadomo, czy w ogóle będzie chciał zarabiać na Facebooku.

Eduardo miał w tej sprawie przeciwne zdanie. Facebook wymagał nieustannych zastrzyków finansowych. Niezbyt dużych, bo chodziło o koszt serwerów, ale w miarę przybywania nowych użytkowników opłaty musiały wzrastać. Tysiąc dolarów, które Eduardo przeznaczył na stronę, w końcu się wyczerpie.

Dopóki ich firma nie stworzy czegoś w rodzaju planu finansowego, dopóki nie znajdą sposobu zarabiania pieniędzy, strona pozostanie zwykłą

ciekawostką. Jej wartość bez wątpienia wzrastała, ale do przekucia jej na żywą gotówkę potrzebowali reklamodawców. Należało zatem opracować plan działalności gospodarczej, co wymagało jednakże poświęcenia czasu na spokojne omówienie tych spraw. Przede wszystkim Mark musiał pozwolić Eduardowi na zrobienie tego, na czym ten znał się najlepiej - na opracowanie dalekosiężnej wizji.

- Miło was poznać - wyszeptał w końcu Eduardo do dziewczyn, które ponownie zachichotały. Wyższa z nich - Kelly - nachyliła się jeszcze bardziej, tak że niemal dotykała ustami ciała Eduarda.

- Wyślij mi zaproszenie, kiedy wrócisz do domu. Moglibyśmy wybrać się kiedyś na drinka.

Eduardo poczuł, że się rumieni. Odwrócił się do Marka, który patrzył w jego stronę. Musiał zauważyć dziewczyny, ale nawet nie próbował nawiązać z nimi rozmowy. Uniósł tylko na sekundę brwi, a następnie odwrócił się w stronę swojego idola Gatesa, zapominając całkowicie o dziewczynach.

Dwie godziny później rozsiedli się wygodnie w przegrzonym pokoju Marka w akademiku Kirkland. Eduardo przeglądał w roztargnieniu stos podręczników do informatyki leżący na małym telewizorku w narożniku pokoju. Mark wyciągnął się na starej zniszczonej kanapie stojącej pośrodku tanio urządzonego pokoju wspólnego. Bose stopy oparł na niskim stoliku i po raz pierwszy nawiązał do spotkanych na wykładzie dziewczyn.

- Te Azjatki były całkiem fajne.

Eduardo przytaknął, oglądając pokrytą równaniami tylną okładkę jednej z książek. Wiedział, że nigdy ich nie zrozumie.

- No pewnie. Chcą się z nami spotkać dziś wieczorem.
- To może być interesujące.
- Może być... Mark, co to, do cholery, jest?

Spod książki wysunęła się kartka papieru i wylądowała zapisaną stroną do góry na włoskich skórzanych butach Eduarda. Nawet z tak niewygodnej pozycji natychmiast rozpoznał nagłówek i czcionkę typowe dla dokumentów prawnych. Był to list z kancelarii adwokackiej z Connecticut i wyglądał naprawdę poważnie. Zaadresowano go do Marka Zuckerberga, ale rzut oka wystarczył Eduardowi do zrozumienia, że sprawa dotyczy także również jego. Trudno było przegapić takie słowa, jak: „Thefacebook”, „szkody” i „sprzeniewierzenie”.

Od: Cameron Winklevoss

Data: wtorek, 10 lutego 2004, 9:00 PM

Do: Mark Elliot Zuckerberg

Temat: Ważne zawiadomienie

Mark, Zauważyliśmy (Tyler, Divya i ja), że uruchomiłeś stronę internetową o nazwie TheFacebook.com. Zanim do tego doszło, ustaliliśmy, że pomożesz nam stworzyć stronę opartą na naszym autorskim pomysle (Harvard Connection) oraz że wykonasz swoją pracę dość szybko (zwłaszcza biorąc pod uwagę krótki czas, jaki pozostał nam do uruchomienia strony). W ciągu ostatnich trzech miesięcy, wbrew wcześniejszym uzgodnieniom, wstrzymałeś prace nad naszą stroną, narażając nas na szkody wynikające z przekazywania nam nieprawdziwych informacji, oszustwa i/lub innych podlegających zaskarżeniu działań. Jesteśmy w stanie przedstawić konkretne wyliczenie owych szkód. W tym samym czasie stworzyłeś własną stronę, dopuszczając się tym

samym nieuczciwej konkurencji oraz podejmując działania bez naszej wiedzy i zgody. Sprzeniewierzyłeś również owoce naszej pracy, w tym idee, przemyślenia, pomysły i wyniki badań. Powiadomiliśmy o sprawie naszego adwokata i jesteśmy gotowi podjąć działania w oparciu o przedstawione powyżej względy prawne. Rozważamy również powiadomienie Rady Administracyjnej Uniwersytetu Harvarda, że złamałeś etyczne normy postępowania zawarte w Karcie Studenta. Zważ proszę, że w uzasadnieniu napiszemy o: naruszeniu obowiązującej na naszej uczelni zasady uczciwości i szczerości w kontaktach z innymi studentami, naruszeniu standardu poszanowania cudzej własności i praw oraz braku poszanowania dla godności innych. Sprzeniewierzenie przez Ciebie naszych idei, przemyśleń, pomysłów i wyników badań podlega zaskarżeniu w świetle naruszenia wymienionych powyżej norm etycznych, jak również norm prawnych.

Czasowe wstrzymanie przez nas powyższych kroków prawnych, do czasu dokonania pełnej oceny Twojej strony i rozważenia przez nas innych możliwości prawnych, będzie wymagało:

1. Zaprzestania jakiegokolwiek dalszego rozwoju i uaktualniania strony TheFacebook.com;

2. Przesłania do nas pisemnego potwierdzenia tego faktu; oraz

3. Przesłania do nas pisemnego oświadczenia, że nie przekażesz osobom trzecim projektu naszej strony oraz że nie poinformujesz osób trzecich o naszej wcześniejszej umowie lub o niniejszym nakazie.

4. Powyższe żądania muszą zostać spełnione do godziny siedemnastej w środę jedenastego lutego 2004 roku. Nawet w razie spełnienia powyższych żądań zastrzegamy sobie prawo do podjęcia innych działań mających na celu ochronę naszych praw i uzyskanie zadośćuczynienia za wyrządzone nam szkody. Współpraca z Twojej strony pomoże zapobiec dalszemu naruszaniu naszych praw i powiększeniu poniesionych przez nas strat. Niespełnienie jakiegokolwiek z powyższych żądań grozi podjęciem przez nas

natychmiastowych działań, zarówno w wymiarze prawnym, jak i etycznym. Jeżeli masz jakiegokolwiek pytania, chętnie odpowiemy na nie drogą mailową lub osobiście.

Cameron Winklevoss

Wydruk niniejszego pisma został również wysłany Pocztą Uniwersytecką.

- To się chyba nazywa nakaz zaprzestania działalności - wymamrotał Mark, wyciągając się na kanapie z rękami założonymi za głowę. - Jak miały na imię te dziewczyny? Podobała mi się ta niższa.

- Kiedy dostałeś to pismo? - spytał Eduardo, ignorując pytanie Marka. Poczł, jak krew odpływa mu z twarzy. Schylił się, podniósł pismo i szybko je przeczytał. Sprawa wyglądała poważnie. List był pełen oskarżeń, a na samym końcu wymieniał z imienia i nazwiska jego autorów. Tyler i Cameron Winklevoss, autorzy strony internetowej Harvard Connection, oskarżali Marka o kradzież ich pomysłu i kodu oraz grozili, że jeśli Mark i Eduardo nie zamkną strony, podejmą wobec nich stosowne kroki prawne.

- Tydzień temu. Zaraz po tym, gdy uruchomiliśmy stronę. Przesłali również email z informacją, że powiadomią władze uczelni, ponieważ naruszyłem kodeks etyczny Harvardu.

Mój Boże! Eduardo wpatrywał się w Marka, ale jak zwykle nie potrafił niczego wyczytać z jego pozbawionej wyrazu twarzy. Bracia Winklevoss oskarżyli go o kradzież ich pomysłu? Ich serwisu randkowego? Chcieli zamknąć thefacebook.com?

Czy to w ogóle możliwe? Zgoda, Mark się z nimi spotkał, korespondował, a później zwodził. Ale przecież nie podpisał żadnej umowy ani niczego dla nich nie zrobił. W ocenie Eduarda thefacebook różnił się zasadniczo od Harvard Connection. Owszem, oba były portalami społecznościowymi, ale takich stron istniały dziesiątki, jeśli nie tysiące. Do licha, każdy student

informatyki na kampusie pracował nad własnym portalem społecznościowym. Aaron Greenspan nazwał nawet część swojego portalu „the facebook” albo jakoś podobnie. Czy w tej sytuacji wszyscy mogli sobie nawzajem powytaczać procesy? Tylko dlatego, że wpadli na podobne pomysły?

- Skonsultowałem się ze znajomym z wydziału prawa - powiedział Mark.
- Odpisałem na to pismo. Wysłałem też list do władz uczelni. Zajrzyj pod następną książkę.

Eduardo podniósł kolejny podręcznik i znalazł pod nim list, który Mark wysłał do władz uniwersytetu. Szybko go przejrzał. Był zdumiony - i odetchnął z ulgą - widząc, z jakim zaangażowaniem Mark odpowiedział na oskarżenia braci Winklevoss. Jasno i wyraźnie zapewnił władze uczelni, że thefacebook nie jest w żaden sposób powiązany z pracą, jaką wykonywał dla braci Winklevoss.

Początkowo ich projekt wzbudził moją ciekawość. Zostałem poproszony o ukończenie komunikacyjnej części ich strony [...]. Po tym spotkaniu, ale nie wcześniej, rozpocząłem pracę nad TheFacebook. Nie wykorzystałem istniejącego już kodu strony Harvard Connection ani zawartych w jej projekcie funkcji. Tworzenie mojej strony było odrębnym przedsięwzięciem, przy którym nie korzystałem z żadnych pomysłów omawianych w trakcie spotkań.

Mark wyraził również przekonanie, że na pierwszym spotkaniu został oszukany, a bliźniacy opisują jego rolę w ich projekcie w sposób nie do końca zgodny z rzeczywistością:

Od samego początku traktowałem ten projekt nie jako przedsięwzięcie biznesowe, ale takie, którego podstawowym celem będzie stworzenie interesującego produktu przydatnego dla studentów Harvardu. Z czasem zdałem sobie sprawę, że moja koncepcja strony różni się od sposobu, w jaki została

pierwotnie przedstawiona.

Co więcej, Mark zaprzeczał, jakoby ich zwodził:

Podczas spotkania w styczniu wyraziłem swoje wątpliwości odnośnie do strony (elementów graficznych; większej niż początkowo przypuszczałem ilości czasu, jaki należało poświęcić na jej oprogramowanie; niedostatków sprzętowych, z którymi musieliśmy sobie radzić; braku promocji, która przyciągnęłaby użytkowników po uruchomieniu strony etc.). Poinformowałem was, że pracuję nad innymi projektami i że są one dla mnie ważniejsze niż ukończenie waszej strony.

W podsumowaniu Mark stwierdził, że jest zbulwersowany „groźbami” mającymi oparcie wyłącznie w kilku spotkaniach w jadalni Kirklandu oraz kilku emailach wymienionych z Cameronem, Tylerem i Divyą. Napisał, że ich żądania go „irytują” i zamierza je „zignorować” jako przejaw bezwstydnego chciwości. Wyraził przekonanie, że jej ofiarą pada każdy, kto odniesie jakiś sukces.

Eduardo uznał ostatnie stwierdzenie za lekką przesadę, ponieważ thefacebook nie przynosił na razie żadnych dochodów, a bracia Winklevoss nie domagali się żadnych pieniędzy. Cieszyło go jednak, że Mark postanowił się bronić.

Częściowo uspokojony Eduardo odłożył list Marka oraz nakaz zaprzestania działalności z powrotem na stos książek. Jeżeli Mark nie wyglądał na wystraszonego, on również nie zamierzał się niepokoić, zresztą to nie on spotykał się z bliźniakami, to nie on był programistą, a w sprawie różnic między

obiema stronami musiał polegać na opinii Marka. Jak wynikało z jego wyjaśnień, żądania braci przypominały sytuację, w której jeden stolarz pozywałby innego stolarza za to, że zaprojektował nowy typ krzesła. Istniały tysiące rodzajów krzesel, a zaprojektowanie jednego z nich nie dawało nikomu patentu na wszystkie.

Nawet jeśli taką analogię należało uznać za pewne uproszczenie, to, do jasnej cholery, nie byli przecież prawnikami, ale zwykłymi studentami. Wplątanie się w jakąś popieprzoną wojnę prawną było ostatnią rzeczą, na jaką mieli ochotę. Zwłaszcza że jej przedmiotem byłaby strona internetowa, dzięki której prawdopodobnie mieli niedługo przespać się z nowo poznanymi dziewczynami.

- Mają na imię Kelly i Alice... - zaczął Eduardo, zanim jednak zdążył skończyć, drzwi do pokoju otworzyły się z hukiem, niemal trafiając go w plecy. Do pokoju weszli dwaj współlokatorzy Marka. Trudno było sobie wyobrazić bardziej różniącą się od siebie parę studentów.

Dustin Moskovitz miał twarz dziecka, ciemne włosy, gęste brwi i zdecydowane spojrzenie wyczernione z czarnych oczu. Był człowiekiem spokojnym, jakby zamkniętym w sobie. Studiował ekonomię, pasjonował się komputerami, a poza tym był niezwykle życzliwym, miłym facetem. Chris Hughes należał do ludzi zdecydowanie bardziej żywiołowych. Miał kudłate blond włosy i był gadatliwym ekstrawertykiem mówiącym z nieznacznym południowym akcentem pochodzącym z rodzinnej miejscowości Hickory w stanie Północna Karolina. W szkole średniej Chris przewodniczył Towarzystwu Młodych Demokratów i śmiało można go było określić mianem aktywisty działającego na rzecz wielu liberalnych postulatów. Lubił się modnie ubierać i wraz z Eduardem zdecydowanie odróżniali się pod tym względem od pozostałej dwójki. Eduardo wolał bardziej konserwatywne marynarki i krawaty, natomiast Chris preferował markowe koszule i spodnie. Z tego powodu Mark przezywał go niekiedy „Prada”.

Cała czwórka - Mark, Eduardo, Dustin i Chris - nie należała z pewnością do towarzyskiej elity Harvardu. Tak naprawdę do kategorii outsiderów trafiliby zapewne na każdym uniwersytecie, a nie tylko w Alma Mater Rockefellerów i Roosevelców. Wszyscy byli dziwakami - każdy na swój sposób - ale trzymali się razem.

Mark poprowadził rozmowę, ponieważ wszystko wcześniej dokładnie przemyślał. Eduardo po raz kolejny miał okazję się przekonać, że tak właśnie lubił działać Mark. Thefacebook rozrastał się szybko i Markowi z coraz większym trudem przychodziło pogodzenie wszystkich obowiązków. Istniało poważne ryzyko, że obleje kilka przedmiotów, więc jeśli strona miała się dalej rozwijać, konieczne było wciągnięcie do projektu nowych osób.

Dustin mógł pomóc mu w programowaniu, z kolei Chris jako świetny mówca - zdecydowanie najlepszy z nich wszystkich - mógłby zająć się reklamowaniem strony i pozyskiwaniem nowych użytkowników. Wielkim wsparciem był jak dotąd „Crimson”. Jak się okazało, na pierwszym roku Mark pomagał gazecie w jakichś sprawach związanych z komputerami; to tłumaczyło tak wielką liczbę entuzjastycznych artykułów. Niemniej dalszy rozwój wymagał opracowania spójnej polityki medialnej, jako że sukces Facebooka w dużej mierze opierał się na zachęcaniu jak największej liczby ludzi do wejścia na stronę i założenia konta.

Eduardo miał nadal kierować odcinkiem biznesowym, jeżeli oczywiście na stronie będzie można zrobić jakikolwiek biznes. We czwórkę stworzą zespół, który przeniesie Facebooka na wyższy poziom. Każdy z nich otrzyma odpowiednie stanowisko: Eduardo będzie dyrektorem finansowym, Dustin wiceprezesem i szefem działu informatycznego, Chris kierownikiem działu reklamy, a Mark założycielem, naczelnym wodzem i wrogiem publicznym. Tak to właśnie ujął, w swoim specyficznym poczuciu humoru.

Eduardo słuchał przemowy Marka, zastanawiając się cały czas nad jej znaczeniem. Wiedział, że wszystko było znacznie prostsze, kiedy kierowali

stroną tylko we dwóch, zdawał sobie jednak sprawę, że przedsiębiorstwo potrzebuje nowych pracowników. Problem w tym, że nie mieli jeszcze żadnych przychodów, które umożliwiałyby wynagradzanie ludzi za ich pomoc. Nie pozostawało nic innego, jak poszerzyć grono współników. Współlokatorzy Marka byli inteligentnymi, godnymi zaufania ludźmi. Wszyscy na swój sposób dziwni. A firma wciąż nie wyszła poza mury akademika.

Mark zgodził się przekształcić strukturę przywództwa, a także zmienić rozkład własności. Dustin miał dostać około 5% udziałów. Jeżeli chodzi o Chrisa, to decyzja w tej sprawie miała zapaść dopiero wtedy, gdy będzie można określić rzeczywisty wymiar jego obowiązków. Udziały Marka miały zmniejszyć się do 65%, a Eduarda pozostać na poziomie 30%. Układ wydawał się w pełni sprawiedliwy. Tak czy inaczej strona nie przynosiła jeszcze żadnych dochodów, więc jaki sens miałyby targi o procenty?

- A oto nasze pierwsze zadanie - powiedział Mark, kiedy już wszystko ustalili. - Moim zdaniem nadszedł czas, abyśmy uruchomili thefacebooka na innych uczelniach. Poszerzanie grona potencjalnych użytkowników wydaje się całkowicie naturalną strategią.

Podbili Harvard i chcieli sprawdzić, czy ich pomysł przyjmie się gdzie indziej. Ustalili, że zaczną od kilku innych elitarnych uniwersytetów: Yale, Columbia i Stanford. Korzystanie ze strony nadal będzie ograniczone - użytkownik będzie musiał mieć konto pocztowe na serwerze którejś z powyższych uczelni. Kiedy za jakiś czas grono użytkowników się powiększy, umożliwią krzyżowanie się grup użytkowników z różnych uczelni. Facebook musi się nieustannie rozrastać. - Tak czy inaczej trzeba od razu zacząć szukać reklamodawców - wtrącił Eduardo, nie chcąc, aby ta sprawa została pominięta. - Strona musi zacząć przynosić zyski.

Mark skinął głową, ale Eduardo czuł, że nie podziela jego stanowiska. Mark na pewno miał świadomość, że powinni zacząć zarabiać, aby pokryć koszty serwerów, ale w myśleniu o potencjalnych zyskach wyraźnie nie

wykraczał poza sumy potrzebne do bieżącego administrowania stroną. Eduardo miał w tej sprawie inny pogląd, zresztą był coraz bardziej przekonany, że thefacebook uczyni ich w przyszłości bogatymi ludźmi. Rozejrzał się dookoła. Widząc zespół zwariowanych dziwaków, nie wątpił, że poradzą sobie ze wszystkimi przeciwnościami losu.

Cztery godziny później Eduardo stał pochylony do przodu w kabinie publicznej toalety. Serce łomotało mu w piersi. Jego skórzane włoskie buty ślizgały się na wyłożonej płytkami z linoleum podłodze. Wysoka, szczupła Azjatka siedziała na nim okrakiem, obejmując go w pasie swoimi długimi, nagimi nogami. Spódniczkę miała podwiniętą do góry, drobne ciało wygięte w łuk. Przyciskał ją do tylnej ściany kabiny, tymczasem jego dłonie błądziły pod jej rozpiętą bluzką, gładząc delikatny materiał czerwonego stanika. Zatrzymywał palce na jędrnych, okrągłych piersiach, muskając aksamitnie gładką powierzchnię cudownej karmelowej skóry. Westchnęła, przycisnęła usta do jego szyi i zaczęła ją drażnić językiem. Eduardo zadrżał. Naparł mocniej; czuł wijące się ciało dziewczyny. Odszukał ustami jej ucho. Westchnęła po raz drugi.

W łazience dał się słyszeć inny dźwięk. Coś uderzało z drugiej strony o zimną powierzchnię aluminiowej ściany kabiny. Ktoś zaklął, rozległ się śmiech. Natychmiast ucichł, zastąpiły go ciche jęki i odgłos pocałunków.

Eduardo się uśmiechnął. Od tej chwili łączyła go z Markiem nie tylko strona internetowa, ale również wspólna przygoda. Męska łazienka w akademiku nie była może równorzędna z regałami w Bibliotece Widenera, ale od czegoś trzeba zacząć.

Eduardo skoncentrował się ponownie na siedzącej na nim okrakiem dziewczynie. Cudowna muzyka płynąca z sąsiedniej kabiny, gdzie szalał jego przyjaciel, dodała mu animuszu. Wtedy właśnie naszła go pewna myśl, po której ponownie nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

Mieli fanki.

Całkowicie się wcześniej mylili.

Program komputerowy naprawdę mógł pomóc w zdobywaniu dziewczyn.

ROZDZIAŁ 16 VERITAS

Kobieta za biurkiem starała się nie patrzeć w ich stronę, tylko udawała, że szuka czegoś w wizytowniku obrotowym. Jej spięte w kok ciemne włosy podskakiwały w rytm przierzucanych kolejno laminowanych kart. Tyler dostrzegał jednak, że co chwilę rzuca im ukradkowe spojrzenia swoimi jasnozielonymi oczami. Siedzieli z bratem na niewygodnej kanapie w sekretariacie dokładnie naprzeciwko jej biurka. Tyler nie miał jej tego za złe, bowiem wyglądała na potwornie znudzoną pracą, a jeśli razem z bratem mogli dostarczyć choćby niewielkiej rozrywki biednej, przepracowanej kobiecie, to spełnili tym samym dobry uczynek. Do licha, gdyby uznali, że może im to pomóc w załatwieniu sprawy, włożyliby z Cameronem - jak to robili we wczesnym dzieciństwie - identyczne ubrania. Niemniej stawienie się w biurze rektora Uniwersytetu Harvarda w piżamach w paski i czepkach mogłoby zostać odebrane jako przejaw braku szacunku. Czarne marynarki i krawaty wydawały się stosowniejsze i najwyraźniej nie przeszkadzały sekretarce - nieustannie na nich zerkająca, choć usilnie starała się tego nie robić. A tak w ogóle, to kto jeszcze używa wizytowników obrotowych?

Po wydarzeniach minionego tygodnia Tyler nie zamierzał narzekać na jakiegokolwiek przejawy zainteresowania. Miał już serdecznie dość bycia ignorowanym. Najpierw starszy opiekun akademika Pforzheimer zapewnił, że się z nimi solidaryzuje, ale ograniczył się do przesłania skargi do biura komisji dyscyplinarnej. Dziekani wchodzący w jej skład, którzy także wydawali się życzliwie nastawieni, przeczytali dziesięciostronicową skargę, po czym z jakiegoś tajemniczego powodu uznali, że sprawa wykracza poza ich kompetencje. Z kolei sam Zuckerberg odpowiedział na ich nakaz zaprzestania działalności listem pełnym bzdurnych argumentów. Utrzymywał, że nad

thefacebook.com zaczął pracować dopiero po ostatnim spotkaniu, które miało miejsce piętnastego stycznia. Wydawało się to o tyle dziwne, że domenę thefacebook.com zarejestrował już trzynastego stycznia. Zuckerberg twierdził również, że chciał tylko pomóc kolegom z kampusu - za darmo, w geście wspaniałomyślności - i że jego strona w żaden sposób nie przypomina ich projektu.

Odpowiedź Zuckerberga do tego stopnia wzburzyła Tylera, Camerona i Divyę, że postanowili skontaktować się z Markiem osobiście. Próbowali go do tego na mówić drogą mailową oraz podczas kilku rozmów telefonicznych. Raz nawet zgodził się na rozmowę twarzą w twarz, ale z niewiadomego powodu wyłącznie z Cameronem. Spotkanie i tak nie doszło do skutku, a kontakt z Markiem się urwał. Tyler w sumie ucieszył się z takiego rozwoju wypadków, ponieważ stracił do niego zaufanie. Jaki pożytek miałyby wynikać z bezpośredniej rozmowy, skoro jego zdaniem Zuckerberg nie zawahałby się go okłamać?

Po tych wszystkich perypetiach trafili na kanapę w sekretariacie rektora, która wydawała się równie stara jak sam budynek Massachusetts Hall, na której teraz siedzieli, obrzucani ciekawskimi spojrzeniami sekretarki. Tylerowi całe to miejsce wydawało się potwornie stare. Massachusetts Hall został zbudowany w 1720 roku i był najstarszym budynkiem przy głównym dziedzińcu Harvardu oraz jednym z dwóch najstarszych budynków uniwersyteckich w Stanach Zjednoczonych. Wejście było ustawione prostopadle do University Hall, przy którym stał legendarny posąg Johna Harvarda. Wszyscy przewodnicy oprowadzający po uniwersytecie wycieczki złożone z młodzieży wyglądającej na przyszłych studentów określali go mianem „posągu trzech kłamstw”, jako że słowa wyryte na podstawie - JOHN HARVARD, ZAŁOŻYCIEL, 1638 - nie miały nic wspólnego z prawdą: posąg nie przedstawiał Johna Harvarda, John Harvard nie był założycielem Harvardu, a uniwersytet został założony w 1636 roku. Mimo to posąg stawał się częstym obiektem żartów studentów innych

prestizowych amerykańskich uczelni. Dzieciaki z Dartmouth College malowały go na zielono, kiedy ich drużyna futbolowa przyjeżdżała do Cambridge; studenci Yale próbowali tego samego z niebieską farbą albo kładli mu na kolanach replikę buldoga. Każda szkoła hołdowała własnym tradycjom. Nawet studenci Harvardu mieli w zwyczaju przychodzić pod posąg w środku nocy i oddawać mocz na jego stopy - podobno przynosiło im to szczęście. Tyler rozmyślał, czy nie powinni byli z bratem odprawić tego rytuału przed wejściem do wypełnionego martwym powietrzem wnętrza Massachusetts Hall. Musieli przecież liczyć na każdy możliwy uśmiech losu. Nie lada wyczynem było w ogóle załatwienie audiencji u rektora. Wykorzystali w tym celu wszystkie dostępne znajomości - rodzinę, kolegów z Porc oraz znajomych swoich znajomych. Teraz siedzieli w poczekalni przed gabinetem najpotężniejszego człowieka na kampusie. Trudno w takiej sytuacji opanować dojmujące poczucie lęku.

Kiedy telefon na biurku sekretarki niespodziewanie ożył, Tyler niemal spadł z kanapy. Kobieta podniosła słuchawkę, skinęła głową i zerknęła w ich stronę.

- Rektor teraz panów przyjmie.

Wskazała dłonią na drzwi po swojej prawej stronie. Tyler wziął głęboki oddech, podniósł się z miejsca i ruszył za bratem. Kiedy Cameron nacisnął klamkę, Tyler uśmiechnął się do kobiety, prosząc ją bezgłośnie, by życzyła im szczęścia. Odpowiedziała uśmiechem.

Gabinet rektora był mniejszy niż Tyler mógł przypuszczać, za to jego wystrój znakomicie odpowiadał temu, co sobie wyobrażał. Regały z książkami, wielkie drewniane biurko, zabytkowe stoliki oraz kilka foteli ustawionych na orientalnym dywanie. Na biurku stał komputer marki Dell, co akurat w tej sytuacji miało spore znaczenie, jako że był to pierwszy komputer, jaki kiedykolwiek znalazł się w gabinecie rektora. Neil Rudenstine, poprzednik Larry'ego Summersa, nienawidził komputerów i zabronił wnoszenia ich do

swojego gabinetu. Biegłość Summersa w posługiwaniu się nowymi technologiami była dobrym znakiem - bracia mogli liczyć przynajmniej na to, że rektor zrozumie problem, jaki zamierzali mu przedstawić.

Poza komputerem wiele mówiące były przedmioty ustawione na zabytkowych stolikach. Obok obowiązkowych zdjęć dzieci stały oprawione w ramki zdjęcia Summersa z Billem Clintonem i Alem Gorem. Towarzyszył im oprawiony banknot jednodolarowy z podpisem samego Summersa, pamiątka po czasach, gdy między 1999 a 2000 rokiem pełnił funkcję sekretarza skarbu Stanów Zjednoczonych. Summers był absolwentem MIT, zrobił doktorat z ekonomii na Harvardzie, a następnie w wieku dwudziestu ośmiu lat został jednym z najmłodszych etatowych profesorów tego uniwersytetu. Po zakończeniu służby w Waszyngtonie wrócił na Harvard jako jego dwudziesty siódmy rektor. Miał imponujący życiorys zawodowy i Tyler wiedział, że jeśli ktokolwiek mógł im pomóc, tą osobą był właśnie Summers.

Kiedy weszli do gabinetu, rektor siedział na obitym skórą krześle za biurkiem; przy uchu trzymał słuchawkę telefonu. Towarzyszyła mu asystentka, sympatycznie wyglądająca Afroamerykanka w wieku około czterdziestu pięciu lat, ubrana w klasyczny kostium ze spodniami pasujący do wystroju pomieszczenia. Przywołała ich gestem ręki, wskazując na krzesła przed biurkiem.

Nie przerywając rozmowy, Summers obserwował ich, dopóki nie spoczęli, po czym przez kilka kolejnych minut kontynuował przyciszonym głosem rozmowę telefoniczną. Tyler wyobraził sobie, że jego rozmówcą jest Bill Clinton siedzący na pokładzie samolotu w drodze na jakiś wykład. Albo Al Gore wędrujący po lesie i przyglądający się ze współczuciem drzewom.

Summers w końcu odłożył słuchawkę i spojrzał na braci. Rektor miał okrągłą twarz, rzadzące włosy i był praktycznie pozbawiony podbródka. Oстрыm jak brzytwa spojrzeniem wodził na przemian po Tylerze i Cameronie.

Powoli nachylił się do przodu, przesuwając pulchną dłoń po blacie biurka.

Sięgnął po plik zadrukowanych kartek i uniósł je, chwytając za róg strony. Tyler natychmiast dostrzegł, że była to dziesięciostronicowa skarga, w której szczegółowo opisali z Cameronem swoje rozmowy z Markiem Zuckerbergiem, oraz kalendarium ich współpracy od pierwszego emaila wysłanego przez Divyę do dnia opublikowania przez „Crimsona” artykułu o uruchomieniu Facebooka. Przygotowanie tych dziesięciu stron wymagało od nich sporego wysiłku, dlatego budujący był fakt, iż dotarły aż na biurko rektora.

Wtedy jednak Summers całkowicie zaskoczył Tylera i Camerona. Bez słowa podniósł plik kartek za róg i przytrzymał go przed sobą w powietrzu z taką miną, jakby były pokryte gównem. Odchylił się na krześle, położył nogi na biurku i wbił w braci wzrok pełen odrazy.

- Po co tu przyszliście?

Tyler odkaszlnął, czując, że robi się czerwony na twarzy. Zerknął na Afroamerykankę, która sumiennie protokołowała spotkanie. Zdążyła już zapisać pytanie Summersa w pierwszej linijce na pustej stronie notatnika.

Tyler przeniósł wzrok z powrotem na rektora. Sądząc po głosie, Summers był wyraźnie zdegustowany. Tyler wskazał dłonią na kartki wiszące między pulchnymi palcami rektora. Na pierwszej stronie znajdował się napisany przez niego i Camerona list z opisem sprawy:

List do Lawrence’a H. Summersa, Rektora Uniwersytetu
Harvarda

Szanowny Panie Rektorze, My, Cameron Winklevoss, rocznik 2004, Divya Narendra, rocznik 2004, i Tyler Winklevoss, rocznik 2004, zwracamy się z prośbą o spotkanie, na którym moglibyśmy osobiście przedstawić Panu Rektorowi skargę, której rozpatrzenia odmówiła Komisja Dyscyplinarna. Skarga

dotyczy dobrze udokumentowanego przypadku studenta drugiego roku, który postąpił niehonorowo, łamiąc zasadę uczciwości i szczerości w kontaktach z członkami Akademickiej Wspólnoty Uniwersytetu Harvarda.

„Od wszystkich studentów oczekuje się uczciwości i szczerości w kontaktach z członkami wspólnoty akademickiej”

(Karta Studenta).

Oto skrótowy opis sprawy: kilka miesięcy temu zwróciliśmy się do owego studenta z prośbą o pomoc w napisaniu naszej strony internetowej (bo nie był to pierwszy przypadek, kiedy chcieliśmy skorzystać z czyjejś pomocy). Student ów przystał na naszą propozycję i w ten sposób rozpoczęła się trwająca trzy miesiące współpraca. W ciągu tych trzech miesięcy złamał on postanowienia naszej umowy i naraził nas na szkody materialne, hamując prace nad stroną, a jednocześnie przystępując do tworzenia własnej witryny (thefacebook.com). Działania te podjął bez naszej wiedzy i zgody, dopuszczając się nieuczciwej konkurencji. Choć sprawa ta wykracza poza sferę życia akademickiego, naszym zdaniem student ów naruszył Kartę Praw i Obowiązków Wydziału Nauk Humanistycznych i Ścisłych z dnia 14 kwietnia 1970 roku, która stwierdza, co następuje:

„Podejmując naukę na Uniwersytecie, jednostka przystępuje do wspólnoty, której ideałami są swoboda wypowiedzi, swoboda badań naukowych, uczciwość intelektualna, szacunek dla godności innych i gotowość do przyjmowania konstruktywnej krytyki”.

Uważamy, że jako zwierzchnik naszego Uniwersytetu powinien Pan być informowany o przypadkach naruszenia kodeksu honorowego i norm, jakimi rządzi się wspólnota akademicka. Sądzymy, że niepodjęcie przez Uniwersytet Harvarda kroków w tej sprawie będzie miało dla niej negatywne konsekwencje. W związku z tym zwracamy się z prośbą o spotkanie w najbliższym dogodnym dla Pana terminie. Dziękujemy.

Z wyrazami szacunku

Cameron Winklevoss, rocznik 2004

Divya Narendra, rocznik 2004

Tyler Winklevoss, rocznik 2004

Tyler dał rektorowi kilka chwil, aby ten mógł przynajmniej udać, że ponownie zapoznaje się z treścią listu, po czym odkaslnął.

- Myślę, że sprawa jest jasna. Mark ukradł nasz pomysł.

- A czego w tej sytuacji oczekujecie ode mnie?

Tyler wpatrywał się ze zdumieniem w mężczyznę. Zerknął na brata. Cameron sprawiał wrażenie równie osłupiałego; z otwartymi ustami obserwował, jak kartki kołyszą się między zaciśniętymi niczym kleszcze palcami rektora.

Tyler zamrugął, próbując ochłonać. Miejsce początkowego szoku zajął narastający gniew. Wskazał na regał z książkami za plecami rektora, na którym wyraźnie dostrzegł egzemplarze Kart Studenta z poprzednich lat. Otrzymywali je wszyscy pierwszorocznicy, a zawierały one spis reguł obowiązujących na uczelni oraz norm, na których straży powinna stać jej administracja.

- Okradanie innych studentów jest sprzeczne z regułami obowiązującymi na uniwersytecie - stwierdził w końcu Tyler, po czym zacytował z pamięci fragment informatora: - „Od wszystkich studentów oczekuje się uczciwości i szczerości w kontaktach z członkami wspólnoty akademickiej. Wszyscy studenci powinni szanować własność prywatną i publiczną. Przypadki kradzieży, sprzeniewierzenia, bezprawnego korzystania lub zniszczenia własności lub innych materiałów skończą się postępowaniami dyscyplinarnymi, których skutkiem może być nakaz opuszczenia uniwersytetu”. Gdyby Mark wszedł do naszego pokoju i zabrał stamtąd komputer, wyrzuciłby go pan z uczelni. Tak się składa, że dopuścił się czegoś gorszego. Ukradł nasz pomysł i naszą pracę. Dlatego właśnie uważamy, że uniwersytet powinien podjąć

odpowiednie kroki, broniąc swojego kodeksu etycznego.

Summers westchnął i wypuścił kartki spomiędzy palców, pozwalając im opaść na biurko. Wylądowały obok stosu jaskrawo kolorowych kul do zonglowania. Po uniwersytecie krążyła pogłoska, że rektor otrzymał je od poprzednika jako symbol pracy, którą przyjdzie mu wykonywać: zonglowanie sprawami, ludźmi, projektami, problemami. Wyraz twarzy Summersa wskazywał, że Tyler i Cameron zostaną za chwilę wyzonglowani z gabinetu.

- Zapoznałem się z waszą skargą. Przeczytałem również wyjaśnienia Marka. Moim zdaniem uniwersytet nie ma nic do tego.

- Ale przecież istnieje kodeks etyczny - przerwał mu Cameron, zapominając na chwilę, że rozmawia z rektorem, a nie z tęgawym facetem, który miał w dupie ich ciężką pracę. - Istnieje coś takiego jak kodeks honorowy. Jaki pożytek z kodeksu, jeśli nikt go nie przestrzega?

Summers pokręcił głową. W obwisłe policzki wstąpiło nagle życie, zupełnie jakby po ich powierzchni przeszedł sztorm, wzbudzając fale skóry.

- Mówicie mi tu o kodeksie etycznym uniwersytetu... tymczasem to jest sprawa między wami a Markiem Zuckerbergiem.

Tyler poczuł, że zapada się w krzesło. Czuł się... zdradzony. Przez tego człowieka, przez system, przez uniwersytet. Zawsze uważał się za przedstawiciela akademickiej wspólnoty Harvardu, tego honorowego, uporządkowanego świata. A teraz jego nominalny władca poinformował go, że ta wspólnota nie istnieje - że każdy musi dbać sam o siebie. Mark naruszył reguły tego systemu, ale Summers nie zamierzał poświęcać temu uwagi.

- Ale przecież uniwersytet ma obowiązek stać na straży kodeksu honorowego...

- Uniwersytet nie ma możliwości zajmowania się tego typu sprawami. Mamy tu do czynienia z technicznym sporem między studentami.

- Co w takim razie radzi nam pan zrobić? - spytał Tyler. Wiedział, że tu nic już nie wskórają.

Summers wzruszył pulchnymi ramionami, które przypominały dwa potwory uwięzione pod koszulą. Milczenie świadczyło dobitnie o tym, że nie obchodzi go, w jaki sposób Tyler i Cameron rozwiążą ten problem.

- Dogadajcie się jakoś z nim. Albo znajdźcie inny sposób, na przykład drogę prawną.

Tyler rozumiał znaczenie słów rektora. Spotkanie z Markiem, które do niczego nie doprowadzi, ponieważ chłopak będzie im kłamał w żywe oczy, albo pozew sądowy - co wydawało się jeszcze gorszym rozwiązaniem.

Wszystko to było niezwykle przygnębiające. Rektor uniwersytetu poinformował ich właśnie, że muszą radzić sobie sami. Administracja umyła ręce. Thefacebook cieszył się na kampusie ogromną popularnością, Mark zdobywał sławę, jego strona rozrastała się z dnia na dzień, a rektor w zasadzie wyrażał dla tej sytuacji aprobatę.

Być może Summers tak naprawdę nie wierzył w zasadność oskarżeń braci Winklevoss. Być może uważał stronę Marka za wystarczająco oryginalną, a postępowanie bliźniaków za podszyte zawiścią, że dali się wyprzedzić. A może po prostu miał to wszystko gdzieś.

Tyler podniósł się z krzesła; Summers w zasadzie ogłosił koniec spotkania machnięciem ręki.

Jedyną, co im pozostało, uświadomił sobie Tyler, to ścigać Marka na własną rękę. Wychodząc z gabinetu rektora, zerknął przez ramię. Pulchny mężczyzna ponownie rozmawiał przez telefon. Tyler wiedział, że na zawsze zapamięta tę chwilę, ponieważ miał silne poczucie, że został właśnie pozbawiony ostatnich złudzeń, jak naprawdę funkcjonuje świat.

W ocenie Tylera Winklevossa - słusznej czy niesłusznej - ten pieprzony dzieciak ukradł im pomysł i wykorzystał go dla własnych potrzeb.

A gdyby rozwiązanie problemu pozostawić władzom Harvardu, Markowi Zuckerbergowi miało to ujść na sucho.

ROZDZIAŁ 17 MARZEC 2004 ROKU

„To była długa, dziwna podróż...”

Nietrudno wyobrazić sobie szczegóły owego marcowego poranka 2004 roku, choć historycznego wymiaru nabrał dopiero z perspektywy czasu: Sean Parker otworzył gwałtownie oczy. Do jego świadomości przedostała się właśnie myśl, która rozbrzmiewała już od jakiegoś czasu w jego głowie; mały szalony robaczek wkręcił się przez membranę kanału słuchowego i skaził substancję szarą, rozbudził synapsy oraz przełączył wszystkie czerwone światełka na zielone. Sean uśmiechnął się - jak to zwykł czynić o poranku - wpatrując się w pusty biały sufit i próbując sobie przypomnieć, kim jest. „To była długa, dziwna podróż”. Przetarł oczy, pozbywając się resztek senności. Wyciągnął ramiona nad głowę i poczuł chłodny, pluszowy materiał dużej poduszki - i wtedy wszystko sobie przypomniał.

Z głową zanurzoną głęboko w poduszce leżał na łóżku przylegającym do pomalowanej na blade kolory ściany małej sypialni. Jego ciemnoblond włosy rozchodziły się promieniście na delikatnym materiale poduszki. Miał na sobie podkoszulek i spodnie od dresu, choć taki strój miewał na sobie jedynie w nocy. Marynarka od Armaniego, wąskie czarne dżinsy DKNY i szyta na miarę koszula Prady wisiały na haczyku na drzwiach do łazienki.

„To była długa, dziwna podróż”. Uśmiech zaczął powoli znikać, kiedy rozciągał kąciki ust do punktu, w którym niemal poczuł ból. O tak, wiedział dokładnie, gdzie się znajduje, a było to doprawdy zajebiste miejsce.

Rozejrzał się po sypialni. Dostrzegł małą drewnianą komodę, regał wypełniony podręcznikami do informatyki, stojącą w kącie lampę i zahibernowanego laptopa na maleńkim stoliku przy łóżku. Wszędzie dookoła wałały się ubrania - na podłodze, na regale z książkami, a nawet na lampie - ale

Sean niespecjalnie się tym przejmował, ponieważ większość należała do niego, a te pozostałe wyglądały cholernie podniecająco. Stanik z falbankami, króciutka spódniczka, koszulka bez rękawów i elegancki pasek - tak ubierały się studentki na kampusach w całej Kalifornii, nawet tu, w północnej części, gdzie palmy częściej otaczała mgła niż przejrzyste, skąpane w promieniach słońca powietrze. Na szczęście na Uniwersytecie Stanforda, mimo jego elitarnego charakteru, dziewczyny ubierały się po kalifornijsku. I oczywiście wszystkie były blondynkami. Niech lodowate brunetki zostaną na najbardziej prestiżowych uczelniach - na zachodnim wybrzeżu rządzą blondynki i ślicznotki.

Sean uniósł się na łokciu. Nie był pewien, czyją własnością były biustonosz, spódniczka, koszulka i pasek. Przypuszczał, że należały bądź do jakiejś panienki goszczącej u któregoś z jego współlokatorów, bądź do dziewczyny, która nocowała u niego. Nie był również pewien, dlaczego ubrania te znajdowały się akurat w jego pokoju, bo równie dobrze mogły należeć do osoby, której zupełnie nie znał. Tak czy inaczej ona zapewne znała jego, a przynajmniej tak jej się zdawało. Wszyscy na Stanfordzie zdawali się znać Seana Parkera, co było o tyle zabawne, że nie uczęszczał na tę uczelnię. Mieszkał w budynku tuż przy kampusie będącym w zasadzie dodatkowym akademikiem dla studentów Stanforda. Sean nie uczęszczał na Stanford ani na żaden inny uniwersytet. Mimo to na kampusie miał status bohatera. Nie był może tak znany, jak jego współnik - Shawn Fanning - ale kto znał ich historię, znał również Seana. Tych dwoje nastolatków zmieniło historię branży muzycznej, tworząc serwis wymiany plików Napster, który umożliwiał każdemu studentowi ściągnięcie za darmo dowolnego utworu muzycznego wprost z pokoju w akademiku. Napster cieszył się ogromnym powodzeniem i wywrócił do góry nogami dawny porządek. Owszem, ostatecznie upadł, ale cóż to była za piękna katastrofa!

Sean i Fanning poznali się na czacie jeszcze w szkole średniej i razem stworzyli Napstera, który wszakże okazał się w mniejszym stopniu prawdziwym

biznesem, a bardziej rewolucją. Jako pierwszy zapewnił darmowy dostęp do muzyki i umożliwił ściąganie jej z Internetu, zapewniając wolność wyboru każdej osobie posiadającej dostęp do komputera. Wolność - czyż to nie o nią chodziło w rock and rollu? Czy nie miała być najważniejszą wartością Internetu?

Koncerny muzyczne oczywiście inaczej na to patrzyły. Pieprzone koncerny muzyczne rzuciły się na dwóch Seanów niczym mściwe harpie. Chłopaki się bronili, ale wynik starcia był z góry przesądzony. Zdaniem niektórych winę za ostateczny upadek serwisu ponosił Parker. W prasie pojawiły się informacje, że napisał kilka emaili, które w ostatecznym rozrachunku pomogły koncernom muzycznym wygrać proces. Podobno do porażki Napstera doprowadziła jakaś idiotyczna, dziecinna nieostrożność. Nie wolno jednak zapominać, że niedyskrecja zawsze była problemem Seana - oraz jego atutem. Mówił, co myślał, niczego nie zachowywał dla siebie.

Niczego również nie żałował. Ani jednej pieprzonej decyzji. To nie było w jego stylu.

Po upadku Napstera mógł położyć uszy po sobie albo wrócić do rodziców. Zamiast tego ponownie wskoczył na silikonowego konia. Kilka lat później wraz z dwoma najbliższymi przyjaciółmi wpadł na pomysł, aby wykorzystać mechanizm wymiany informacji; tym razem skupił się na emailach i danych kontaktowych. Razem stworzyli skromny program umożliwiający darmowe wysyłanie próśb o aktualne dane, a po jakimś czasie przekształcili go w nieustannie ulepszany odpłatny system wymiany wizytówek. Swoją firmę nazwali Plaxo.

I to przedsięwzięcie zakończyło się, zdaniem Seana, porażką. Nie z powodu upadku firmy - Plaxo nadal radziło sobie znakomicie i prawdopodobnie było warte miliony dolarów - ale dlatego, że Sean przestał uczestniczyć w jej działalności. W jego ocenie został pozbawiony wpływów we własnej firmie, co więcej, doszło do tego w wyjątkowo paskudnych okolicznościach.

Paskudnych, ponieważ jego zdaniem za całą sprawą stał prawdziwy czarny charakter (w typie przeciwników Jamesa Bonda): dziwaczny, tajemniczy Walijczyk o ego równie wielkim jak konto bankowe. Sean sam zresztą sprowadził do firmy tego potworainwestora, bowiem uznał, że Plaxo potrzebuje zastrzyku finansowego. Był pewien, że poradzi sobie z tego rodzaju partnerem. Okazało się jednak, że Michael Moritz nie był pierwszym lepszym inwestorem, ale współwłaścicielem Sequoia Capital i człowiekiem o statusie boga wśród finansistów z Doliny Krzemowej. Moritz zainwestował wcześniej w Yahoo oraz Google i dorobił się takiej fortuny, że nikt nie próbował kwestionować jego metod.

Według Seana Moritz był tajemniczym samotnikiem o maniakalnych skłonnościach. Od samego początku ścierali się w niemal każdej sprawie. Sean był młodym, zwariowanym przedsiębiorcą z mnóstwem pomysłów. Moritza interesowały pieniądze i nic więcej. Nie minął rok od chwili, gdy Sequoia zainwestowała w jego firmę, a Sean nabrał przekonania, że Moritz chce się go pozbyć - z firmy, którą przecież sam założył! Oczywiście nie miał zamiaru się poddawać. Rozpoczęła się wojna pozycyjna, inwestor próbował dokonać zamachu stanu. W końcu Sean zaczął sobie uświadamiać, że nie ma żadnych szans na ostateczne zwycięstwo. Najbliżsi przyjaciele, z którymi założył firmę, ulegli, w ocenie Seana, naciskom Moritza oraz rady nadzorczej. Według niektórych relacji Sequoia wypowiedziała mu wojnę dopiero wtedy, gdy postawił następujący warunek: odejdzie z firmy, jeżeli będzie mógł natychmiast sprzedać znaczną część swoich udziałów. Według Seana Moritz postąpił w sposób, jakiego można by się spodziewać po czarnym charakterze z filmów o Jamesie Bondzie: zatrudnił prywatnego detektywa, aby śledził Seana i znalazł w jego życiu jakieś brudy, które pomogłyby w zmuszeniu go do odejścia.

Sean zauważył, że po wyjściu z mieszkania jest śledzony przez samochody z przyciemnionymi szybami. Słyszał dziwne mechaniczne odgłosy podczas rozmów telefonicznych, a na jego komórkę przychodziły rozmowy z

niezidentyfikowanych numerów. Sean zaczął się bać.

Być może rzeczywiście coś na niego znaleźli. Jak wszyscy ludzie w jego wieku Sean - korzystając dodatkowo ze sławy zdobytej dzięki Napsterowi i Plaxo - lubił imprezować. Lubiał dziewczyny. A już na pewno nie był świętoszkiem. Niedawno skończył dwadzieścia lat i w Dolinie Krzemowej miał status swego rodzaju gwiazdy rocka. Poza tym bardzo szybko mówił i myślał. Cechowała go swego rodzaju nerwowość i szaleństwo, które łatwo można było zinterpretować w niewłaściwy sposób.

Być może zatem coś na niego znaleźli. Tak czy inaczej Sean nabrał przekonania, że Moritz się go pozbył, zmusił do odejścia z firmy. Zmusił go do oddania sterów jego własnej pieprzonej firmy. Sean miał równocześnie poczucie, że poza firmą stracił dwóch najlepszych przyjaciół. Cała sprawa skończyła się w sposób niesmaczny, żaloszny, a zdaniem Seana również niesprawiedliwy. Cóż jednak mógł poradzić? Nie był pierwszym, któremu się to przydarzyło - w Dolinie Krzemowej takie sytuacje zdarzały się bez przerwy.

Na tym polegał problem z kapitałem wysokiego ryzyka. Wszystko było wspaniale dopóty, dopóki przestawało być wspaniale.

Samo Plaxo źle skończyło - w odróżnieniu od Seana Parkera. Co to, to nie. Po dublecie Napster-Plaxo brukowce z Doliny Krzemowej z jeszcze większym animuszem kreowały go na swojego bohatera. Zaczęły mu przypinać łątkę lokalnego rozrabiaki. Panienki. Markowe ciuchy. I oczywiście niepotwierdzone opowieści o narkotykach. Kokaina, tabletki i Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze. Sean nie zdziwiłby się specjalnie, gdyby jakiś poważny blog napisał, że szprycuje się krwią młodych fok.

Nowy wizerunek w pewnym sensie go bawił. Podejrzewał, że osoby znające go z czasów dzieciństwa w Chantilly w stanie Virginia musiały pokładać się ze śmiechu podczas lektury drukowanych przez brukowce opowieści. Jako dziecko był chudzielcem, był uczulony na orzeszki ziemne, pszczoły i owoce morza, i z tego powodu zawsze miał przy sobie

autostrzykawkę z adrenaliną. A ponieważ chorował także na astmę, nosił przy sobie również inhalator. Włosy miał zawsze tak rozwichrzone, że czasami tworzyły coś w rodzaju afro. No dobrze, „chudzielec” to lekka przesada. Po prostu nie wyglądał na twardziela. Ćwiczenia gimnastyczne mógł spokojnie wykonywać na podwójnym łóżku. Rozrabiaka z Doliny Krzemowej? To brzmiało niemal groteskowo.

Spojrzał na koronkowy biustonosz leżący na podłodze jego pokoju i ponownie się uśmiechnął.

No dobra, może jednak mieli rację. Kiedyś przez krótki czas wiódł życie rozpustnika. Jak pewnie zauważył przy watny detektyw, lubił towarzystwo dziewczyn. Czasami kilku jednocześnie. Lubiał wychodzić z domu późno wieczorem i nie stronił od alkoholu. Wyrzucono go z paru nocnych klubów. Poza tym nie poszedł na studia. Rzucił szkołę średnią, kiedy Napster stał się popularny, i nie zamierzał do niej wracać.

Nie był jednak złą osobą. Był porządnym człowiekiem, a nawet swego rodzaju superbohaterem. Choć nazwisko predestynowałoby go raczej do roli Spidermana, wolał myśleć o sobie jak o Batmanie. Za dnia Bruce Wayne prowadzący interesy z dyrektorami i przedsiębiorcami. W nocy zamaskowany Mściciel próbujący zmienić świat kolejnej wyzwolonej studentki.

Problem w tym, że w przeciwieństwie do Bruce’a Wayne’a nie dorobił się jeszcze fortuny. Stworzył dwie największe firmy internetowe w historii, a został bez centa. Owszem, Plaxo miało być kiedyś sporo warte, co oznaczało, że otrzyma kilkadziesiąt milionów dolarów. A może nawet kilkaset. Poza tym nawet jeśli Napster nie uczynił go bogatym, to na pewno przyniósł mu rozgłos. Niektórzy porównywali go już do Jima Clarka, założyciela Silicon Graphics i człowieka odpowiedzialnego za powstanie takich marek jak Netscape i Healthon. Sean miał już na koncie dwa jeszcze większe dzieła i teraz potrzebował tylko trzeciego, aby udowodnić, że porównanie do Jima Clarka ma sens.

Dlatego też nieustannie szukał nowego projektu, w który mógłby się zaangażować. Tym razem rozglądał się za czymś naprawdę przełomowym. Wszyscy rzecz jasna czekali na nadejście nowej rewolucji, ale przewaga Seana polegała na tym, że on w i edz i a ł, na czym będzie ona polegała. Wiedział z całkowitą, niemal religijną pewnością.

Portale społecznościowe.

Kilka miesięcy wcześniej nawiązał znajomość z serwisem Friendster. Załatwił im inwestorów, poznał ich ze swoimi kumplami, zwłaszcza Peterem Thielem, współtwórcą PayPal, który również miał starcie z szajką z Sequoi.

Friendster nie mógł stać się kolejnym triumfem Seana Parkera - projekt znajdował się na zbyt zaawansowanym etapie rozwoju, Sean zainteresował się nim po prostu zbyt późno. Poza tym bądźmy szczerzy: Friendster miał ograniczone możliwości. Tak naprawdę był to serwis randkowy. Dobry serwis randkowy, nie tak ostentacyjny jak Match lub JDate, ale jego główną funkcją było poznawanie lasek i wyciąganie od nich adresów email.

Był jeszcze MySpace, nowo powstały i wciąż udoskonalany serwis o szybko rosnącej popularności. Sean przyjrzał mu się dokładnie i ostatecznie zrezygnował. MySpace sam w sobie był znakomity, ale trudno go było nazwać portalem społecznościowym. Ludzie nie wykorzystywali MySpace do komunikowania się z innymi, ale do autopromocji. Strona przypominała wielki narcystyczny plac zabaw. Patrzcie na mnie! Patrzcie na mnie! Obejrzyjcie moją amatorską kapelę, próbkę mojego aktorstwa, galerię zdjęć itd. Strona umożliwiała umieszczenie w Internecie jakiejś marki - później można było tylko czekać, aż ktoś ją zauważy.

Jeśli zatem Friendster był serwisem randkowym, a MySpace narzędziem do autopromocji, czego dokładnie powinien szukać? Sean nie był pewien, wiedział jednak, że jakiś Fanning ślęczy właśnie nad Napsterem portali społecznościowych. Sean musi tylko wykazać się czujnością.

Zdawał sobie sprawę, że poprzednimi projektami zawiesił sobie

poprzeczkę cholernie wysoko. Jeżeli miał się w coś zaangażować, to wyłącznie w projekt wart wiele miliardów dolarów - w coś na miarę YouTube'a lub Google'a. Cały czas miał jednak w pamięci niezbyt przyjemną przygodę z Plaxo.

Ma dostać miliard dolarów albo mogą go pocałować.

Sean usiadł i poczuł, że rozpiera go energia. Czas wyruszyć na poszukiwania. Zerknął w stronę stolika znajdującego się tuż przy składanym łóżku. Obok różowego kobiecego zegarka stał otwarty laptop. Nie należał do niego, musiał być zatem własnością któregoś z jego współlokatorów lub ich koleżanek. Tak czy inaczej Sean mógł go dosięgnąć z łóżka, co przesądzało sprawę. Chciał sprawdzić skrzynkę pocztową, a następnie rozpocząć dzień w sposób, w jaki zwykł to czynić.

Sięgnął po laptopa i położył go sobie ostrożnie na kolanach. Kilka sekund później komputer wybudził się ze stanu hibernacji. Sean natychmiast zauważył, że jest już podłączony do Internetu za pośrednictwem sieci Uniwersytetu Stanforda i ma uruchomioną przeglądarkę stron www. Najwyraźniej właściciel laptopa korzystał z niego poprzedniego wieczoru. Sean z ciekawości zaczął oglądać stronę, która wyświetliła się na ekranie.

Pierwszy raz widział coś podobnego. Co było o tyle dziwne, że znał praktycznie cały Internet.

Od góry i od dołu witrynę zamykały jasnoniebieskie paski. Był to bez wątpienia portal. Po lewej stronie ekranu znajdowało się zdjęcie jakiejś dziewczyny. Sean przyjrzał się dokładnie jej pięknym blond włosom, cudownemu uśmiechowi i niesamowitym niebieskim oczom. Wtedy zauważył, że pod zdjęciem znajdują się informacje na jej temat.

Płeć: kobieta. Była singlem. Interesowali ją mężczyźni. Szukała przyjaciół. Poniżej widniała lista tych, których już miała - sieć jej znajomych. Ulubione książki. Kursy, na jakie chodziła na Stanfordzie.

Profil dopełniało wybrane przez nią motto życiowe oraz komentarze jej

kolegów ze studiów. Wszyscy chodzili najwyraźniej na Stanford, ponieważ mieli adresy mailowe z końcówką tej uczelni. Byli jej prawdziwymi przyjaciółmi. Ludźmi, których znała z realnego świata, a nie osobami, które chciały tylko się z nią przespać, jak to miało miejsce na Friendsterze. Nie próbowali również prezentować swoich nowych kapel rockowych ani linii mody, jak to się działo na MySpace. Strona przedstawiała krąg jej prawdziwych znajomych przeniesionych do Internetu i ze sobą połączonych. Nieustannie połączonych. Nawet kiedy komputer znajdował się w stanie hibernacji, krąg cały czas funkcjonował. Nie był statycznym bytem.

Był czymś dynamicznym.

Prostym.

Pięknym.

- Mój Boże - wyszeptał Sean.

Zamrugał. Strona pozwalająca stworzyć sieć społeczną skierowana do studentów. Pomysł genialny w swojej prostocie. Jedyne niezagospodarowanym obszarem rynku społecznościowego były właśnie uczelnie, które stanowiły przecież dla niego znakomity potencjalny grunt. Kontakty towarzyskie odgrywały ogromną rolę w życiu studentów. Człowiek nawiązywał więcej przyjaźni na studiach niż w jakimkolwiek innym okresie życia. MySpace i Friendster nie próbowały dotrzeć do grupy w największym stopniu zainteresowanej portalem społecznościowym, tymczasem ta strona najwyraźniej odwoływała się wprost do niej.

Sean błędził wzrokiem po stronie, aż wreszcie zatrzymał się na dole ekranu, gdzie dostrzegł dziwną linijkę tekstu napisanego drobną czcionką.

„Produkcja Mark Zuckerberg”. Sean się uśmiechnął. Niezłe. Naprawdę niezłe. Twórca witryny umieścił swoje nazwisko na dole każdej strony.

Sean nacisnął kilka klawiszy, otworzył wyszukiwarkę Google i rozpoczął poszukiwania. Ku swojemu zaskoczeniu znalazł sporo informacji. Wiele z nich pochodziło z jednego źródła: uniwersyteckiej gazety „Harvard Crimson”.

Strona nosiła nazwę thefacebook i została uruchomiona sześć do ośmiu tygodni wcześniej przez pewnego studenta drugiego roku Uniwersytetu Harvarda. W ciągu czterech dni zarejestrowała się na niej większość studentów z tamtejszego kampusu. Po dwóch tygodniach miała już prawie pięć tysięcy użytkowników. Później twórcy udostępnił ją studentom innych uczelni. Obecnie liczba zarejestrowanych użytkowników była oceniana na blisko pięćdziesiąt tysięcy. Stanford, Columbia, Yale...

Chryste! To się działo naprawdę szybko.

Sean siedział przed monitorem, mruczając pod nosem słowo „Thefacebook”. Dlaczego nie po prostu „facebook”? Tego typu rzeczy doprowadzały Seana do szału. Nie potrafił się powstrzymać: jego umysł odruchowo usuwał niepotrzebne elementy, wygładzając wszelkie niezręczności. Sean zauważył, ku swojemu zaskoczeniu, że w tym samym czasie wodził bezwiednie palcami po prześcieradle, wygładzając zmarszczki. Uśmiechnął się do siebie. Listę jego neuroz należało uzupełnić o zaburzenie obsesyjnokompulsyjne. Czas zadzwonić do Valleywag, plotkarskiego bloga z Doliny Krzemowej: „rozrabiaka, astmatyk, alergik uczulony na orzeszki ziemne, neurotyk dręczony zaburzeniem obsesyjnokompulsyjnym Sean Parker zamierza zaangażować się w kolejny projekt”...

Właśnie to zamierzał zrobić. Znajdzie tego całego Marka Zuckerberga i sprawdzi, czy dzieciak jest rzeczywiście taki dobry. A jeśli jego przypuszczenia się sprawdzą, pomoże mu przekształcić Facebooka w coś naprawdę wielkiego.

O wartości rzędu miliardów dolarów - albo niech dadzą mu spokój. Żaden skromniejszy rezultat nie zostanie przez niego uznany za sukces.

Sean miał już za sobą dwa sukcesy: Napstera i Plaxo.

Czy Facebook stanie się trzecim?

ROZDZIAŁ 18 NOWY JORK

- Daj spokój, Eduardo. Naprawdę sądzisz, że ktokolwiek będzie sprawdzał, ile mamy lat? W tym miejscu?

Dziewczyna wzniosła oczy do nieba, co tylko pogorszyło sytuację. Eduardo spiorunował ją wzrokiem, ale ona zdążyła już wsadzić nos w listę drinków. Markowi nie pozostawało nic innego, jak pójść za jej przykładem. Być może Kelly miała rację i nikt nie zażąda od nich dowodów tożsamości. Co innego go jednak irytowało. Ani ona, ani Mark nie traktowali całej sprawy poważnie, jakby nie wiedzieli, w jakiej restauracji się znajdują. Przez całą podróż do Nowego Jorku Mark się wygłupiał, zupełnie jakby wszystko to było jakimś wielkim żartem. Kelly można było wybaczyć, ponieważ ona trafiła do restauracji niejako przy okazji wizyty u rodziny w Queens, ale Mark przyjechał do Nowego Jorku w interesach.

Chociaż zatrzymali się u znajomych, a nie w hotelu, Eduardo gromadził rachunki za podróż, jedzenie i taksówki. Za wszystko płacili z funduszy thefacebooka, szybko zużywając tysiąc dolarów, jaki Eduardo zainwestował w stronę trzy i pół miesiąca wcześniej. Wyprawę do Nowego Jorku należało zatem uznać za podróż służbową i Mark powinien traktować ją z należytą powagą.

Tymczasem nie miał w ogóle zamiaru tego robić. Eduardo zdołał zorganizować kilka spotkań z potencjalnymi reklamodawcami, ale żadne z nich nie wypadło szczególnie dobrze. Może stałoby się inaczej, gdyby Mark nie przespał połowy z nich i nie przemilczał pozostałych, zmuszając Eduarda do odwalania całej czarnej roboty. Mimo że wszyscy rozmówcy byli pod wrażeniem liczby użytkowników thefacebooka - siedemdziesięciu pięciu tysięcy, według najbardziej aktualnych obliczeń - nikt nie miał ochoty wykupić za poważne pieniądze reklam na ich portalu. W tamtym czasie niewielu

biznesmenów dostrzegało sens umieszczania reklam w Internecie, uważając je za zbyt ryzykowne. Trudno było wytłumaczyć potencjalnym klientom, co dokładnie wyróżniało thefacebooka spośród innych stron. Nie rozumieli, że użytkownicy serwisu przebywają na nim dłużej niż na praktycznie jakiegokolwiek innej stronie, a już zupełnie nie przemawiała do nich statystyka - która powinna robić jeszcze większe wrażenie - z której wynikało, że 67% użytkowników odwiedza stronę codziennie. Gdyby Mark nieco bardziej zaangażował się w spotkania, być może przyniosłyby one większe efekty. Najlepszy przykład: siedzieli właśnie w jednej z najpopularniejszych restauracji w Nowym Jorku, a on miał na sobie ten swój cholerny polar z kapturem oraz klapki, którymi stukał pod stołem, uderzając jednym o drugi. Nie umówili się może na spotkanie z potencjalnym reklamodawcą, niemniej przyszli w interesach i Mark powinien się stosownie do tego zachowywać. A przynajmniej postarać się włożyć na siebie coś modniejszego, ponieważ w tym stroju pasował do tego lokalu jak pięść do nosa.

Restauracja 66 mieściła się na parterze Textile Building w dzielnicy Tribeca i była najnowszym projektem słynnego kucharza Jeana Georgesego Vongerichtena oraz prawdopodobnie najsympatyczniejszą chińską restauracją, do jakiej kiedykolwiek trafił Eduardo. Elegancki, urządzonego w minimalistycznym stylu lokal prezentował się niezwykle nowocześnie: od wysokiej na cztery metry, zaokrąglonej szklanej ściany, która odgradzała większą część wejścia, do wielkiego akwarium między kuchnią a częścią jadalną. Podłogę wykonano z bambusa, a otoczone skórzanymi kanapami stoliki porozieli panelami z matowego szkła. W restauracji znajdował się również wielki stół na czterdzieści osób. Za przylegającą do niego ścianą z matowego szkła biegali nieustannie kelnerzy, a goście siedzący na sali mogli obserwować ich tańczące cienie. Z sufitu zwisały czerwone chińskie proporce z jedwabiu, ale, przynajmniej jak na gust Eduarda, restauracja miała raczej klimat sprzyjający kuchni *fusion* niż azjatyckiej. Ponieważ ich gość się spóźniał,

zamówi już coś z menu. Lakierowaną wieprzowinę z konfitem szczypiorkowoimbrowym. Tuńczyka na surowo. Szczypce homara ugotowane w imbirze i winie. Ogromne kluski krewetkowe nadziewane *foie gras*. Dziewczyna Eduarda nie okazywała specjalnego entuzjazmu dla tych potraw i widać było, że nie może się doczekać deseru - domowej roboty lodów na wynos w małych chińskich pojemniczkach. Gdyby jednak udało się namówić któregoś z kelnerów do podania im alkoholu bez sprawdzania dowodów tożsamości, natychmiast zapomniałaby o lodach.

Eduardo wiedział, że nie jest ona raczej „tą jedyną”, ale była wysoka i ładna, poza tym od czasu epizodu w łazience udawało mu się utrzymywać jej zainteresowanie. Mark już od dawna nie był z Alice, ale najwyraźniej się tym kompletnie nie przejmował. Tak czy inaczej Kelly nie była w tej chwili największym problemem zaprzatającym myśli Eduarda. Znacznie bardziej interesował go powód, dla którego w ogóle znaleźli się w tej restauracji - człowiek, z którym byli umówieni.

Eduardo nie wiedział może zbyt wiele o Seanie Parkerze, ale nie spodobały mu się informacje, które znalazł o nim w Internecie. Parker był ważną osobistością w Dolinie Krzemowej, doświadczonym przedsiębiorcą, który wyleciał z dwóch największych firm internetowych w, jak się zdawało, dość dramatycznych okolicznościach. Eduardo wyobrażał go sobie jako człowieka odrobinę szalonego, być może nawet groźnego. Nie miał pojęcia, dlaczego zaprosił ich na spotkanie ani czego od nich chciał. Eduardo był niemal pewien, że on nie chce niczego od Parkera.

O diable mowa... Eduardo dostrzegł Parkera, kiedy ten wyłonił się zza zakrzywionej szklanej ściany przy wejściu. Tak czy inaczej trudno byłoby go nie zauważyć - wszedł do lokalu z wielkim hukiem, odbijając się od ścian jak animowana postać z kreskówki, diabeł tasmański przetaczający się przez restaurację. Kiedy tak szedł przez salę, wydawało się, jakby znał wszystkich dookoła. Najpierw pozdrowił hostessę, przytulając się jednocześnie do którejś z

kelnerek. Później zatrzymał się przy jednym ze stolików, aby uścisnąć rękę mężczyźnie w garniturze i poczochnąć włosy na głowie jego dziecka, zupełnie jakby był przyjacielem rodziny. Chryste, kim jest ten człowiek?

Dotarł do ich stolika i wyszczerzył zęby w uśmiechu; przypominał przez to nieco wilka.

- Sean Parker. Wy musicie być Eduardo i Kelly. No i oczywiście Mark.

Sean nachylił się nad stołem i wyciągnął rękę wprost do Marka. Eduardo dostrzegł natychmiast ten nagły rumieniec na policzkach i błysk w oczach Marka. Czyste uwielbienie. Eduardo zrozumiał, że Sean Parker był dla Marka bogiem.

Eduardo powinien był się tego domyślić wcześniej. Napster był najważniejszą marką dla wszystkich komputerowców, polem, na którym hakerzy stoczyli swoją największą bitwę. Ostatecznie ponieśli porażkę, ale nie miało to znaczenia - wcześniej udało im się odstawić największy numer w historii. Sean Parker przetrwał tę burzę, założył Plaxo i po raz drugi wyrobił sobie nazwisko. Eduardo nie musiał sobie przypominać informacji znalezionych przez Google, ponieważ Sean natychmiast zaczął opowiadać o sobie - zaraz po tym, jak zajął miejsce obok Kelly i zamówił dla wszystkich drinki u kelnerki, którą oczywiście znał z jednej z poprzednich wizyt.

Sean z ogromną werwą sypał kolejnymi historiami jak z rękawa. Opowiadał o Napsterze, o bitwach, które stoczyli. O Plaxo i jeszcze potworniejszych bitwach, które ledwo przeżyli. Z ogromną otwartością opowiadał o życiu w Dolinie Krzemowej, imprezach na Stanfordzie i w Los Angeles, przyjaciółach, którzy zostali miliarderami, i tych, którzy wciąż poszukiwali klucza do bogactwa. Odmalował przed nimi fascynujący obraz świata, w którym żył. Eduardo widział, że Mark wprost chłonie każde wypowiedane przez Seana słowo. Wyglądał, jakby miał zaraz wybiec z restauracji, żeby zarezerwować bilet do Kalifornii.

Kiedy Sean skończył opowiadać o sobie - przynajmniej na chwilę,

pomyślał Eduardo - zaczął wypytywać o najnowsze wieści dotyczące thefacebooka.

Eduardo zaczął tłumaczyć, że rozszerzyli działalność na dwadzieścia dziewięć szkół, ale Sean natychmiast odwrócił się w stronę Marka i zapytał go, jaką strategię przyjęli, aby zachęcić inne szkoły do przyłączenia się do programu.

Eduardo poczuł się lekko urażony, tymczasem Mark podniosłym głosem opisywał ich strategię na konkretnych przykładach. Opowiedział o małym teksańskim uniwersytecie Baylor, który początkowo nie chciał włączyć się do sieci thefacebooka, ponieważ posiadał własny portal społecznościowy. W tej sytuacji zamiast bezpośrednio naciskać na uniwersytet, aby otworzył się na thefacebooka, stworzyli listę wszystkich uczelni w promieniu stu mil od Baylora i zwrócili się najpierw do nich. Kiedy po niedługim czasie studenci z Baylora zdali sobie sprawę, że wszyscy ich przyjaciele mają konta na thefacebooku, zaczęli dosłownie błagać, aby serwis objął również ich szkołę. Kilka dni później portal społecznościowy Baylora przeszedł do historii.

Sean z wyraźnym entuzjazmem wysłuchał tej historii i zacytował fragment artykułu opublikowanego piątego marca w „Stanford Daily”: „Studenci opuszczają zajęcia. Nie odrabiają zadań domowych. Godzinami przesiadują przed monitorami w całkowitym zafascynowaniu. Szaleństwo na punkcie thefacebook.com rozlewa się po kampusie”. Dwadzieścia cztery godziny po opublikowaniu artykułu 85% studentów Uniwersytetu Stanforda założyło konta na thefacebooku.

Mark wyraźnie był w siódmym niebie, gdy usłyszał, że Sean przeczytał o nim artykuł. Z kolei Sean wyglądał na uszczęśliwionego, że Mark jest jego fanem. Natychmiast znaleźli wspólny język. A jeśli chodzi o Eduarda, to cóż... Sean nie ignorował go może celowo, ale bez wątplenia poświęcał więcej uwagi Markowi. Być może dlatego, że obaj mieli głowę do spraw komputerowych, choć Sean nie sprawiał na Eduardzie wrażenia zwariowanego informatyka.

Niewątpliwie był zwariowany, ale w bardziej elegancki sposób, zupełnie jakby grał dziwaka w porządnym serialu telewizyjnym. Nie objawiało się to wyłącznie ubiorem czy entuzjazmem, ale sposobem, w jaki jego osobowość rzutowała na całą salę, a nie tylko ich stół. Był showmanem, i to cholernie dobrym.

Kolacja minęła dość szybko, choć dla Eduarda ciągnęła się w nieskończoność. Kiedy Kelly dostała wreszcie lody, niemal zaczął bić brawo. Zjedli lody, Sean zapłacił rachunek, podziękował za wieczór i zapewnił Marka, że się do niego odezwie. Nie minęła chwila, a wirujący derwisz zniknął równie szybko, jak się pojawił.

Dziesięć minut później Eduardo stał obok Marka na chodniku przed restauracją. Uniósł rękę, próbując przywołać taksówkę. Kelly postanowiła dołączyć do Seana i jego dziewczyny, którzy w pobliskim barze umówili się ze wspólnymi znajomymi. Eduardo miał do nich dołączyć później, teraz jednak musiał wykonać kilka telefonów związanych ze spotkaniami z potencjalnymi reklamodawcami. Mimo kolejnych niepowodzeń nie zamierzał się poddawać.

Z ręką uniesioną w powietrze Eduardo zerknął na Marka. Na twarzy przyjaciela wciąż malował się rumieniec. Parker zniknął, ale jego aura wciąż działała na niego.

- Przypomina sprzedawcę, który potrafi wcisnąć klientowi dowolny produkt - stwierdził Eduardo, próbując rozproszyć urok. - Na pewno zmienia partnerów biznesowych jak rękawiczki. W ogóle go nie potrzebujemy.

Mark wzruszył ramionami, ale nie odezwał się ani słowem. Eduardo zaczął się niepokoić, ponieważ widział, że jego słowa trafiają w próżnię. Mark lubił Parkera - wręcz go uwielbiał - a Eduardo nic na to nie mógł poradzić.

Uznał jednak, że przynajmniej na razie nie ma to większego znaczenia. Parker nie zamierzał zarzucić ich pieniędzmi, ponieważ jak oceniał Eduardo nie dysponował realną gotówką. Tymczasem thefacebook potrzebował zastrzyku finansowego. Rozwój witryny oznaczał konieczność wykupienia dostępu do większych serwerów. Mark i Eduardo uzgodnili również, że muszą zatrudnić kilku informatyków. Choć określali ich mianem stażystów, wiedzieli, że trzeba im będzie wypłacać niewielkie wynagrodzenia.

Z tego powodu następnego dnia chcieli otworzyć nowe konto bankowe i zainwestować nieco więcej pieniędzy w projekt. Eduardo uruchomił kolejne dziesięć tysięcy dolarów. Mark nie dysponował żadnymi funduszami, co oznaczało, że jeszcze przez jakiś czas będą uzależnieni od pieniędzy Eduarda.

Chociaż Parker sam nie dysponował dużymi pieniędzmi, które mógłby zainwestować w ich projekt, znał zapewne wielu poważnych inwestorów. Na szczęście - przynajmniej ten jeden raz - niewielka waga, jaką Mark przywiązywał do pieniędzy, czyniła całą sprawę bezprzedmiotową. Thefacebook miał służyć przede wszystkim zabawie i utrzymać status modnej strony. Reklamy nie były modne. Podobnie jak inwestorzy. Faceci w marynarkach i krawatach, faceci z pieniędzmi nigdy nie będą modni. Eduardo nie musiał się obawiać, że Mark zacznie w najbliższym czasie na własną rękę szukać inwestorów.

A jednak nieustannie dręczyła go myśl, że Sean Parker, mimo wszystkich przyjaciół z branży finansowej, był dla Marka u osob i en i em tego, co modne. Zachował jednak tę ocenę dla siebie. Na razie wszystko układało się po jego myśli i o nic nie musiał się martwić. Wszyscy kochali thefacebooka.

Prędzej czy później wymyślą sposób na zarobienie na nim pieniędzy i nie będzie im do tego wcale potrzebny Sean Parker. Eduardo miał przecucie, że Sean Parker nie jest jedynym człowiekiem, który zwrócił uwagę na ich stronę. Z czasem zgłoszą się do nich poważni inwestorzy, których będzie stać na coś więcej niż obiad w modnej nowojorskiej restauracji.

ROZDZIAŁ 19 SEMESTR WIOSENNY

- No tak. Pojawił się kolejny.
- Chrzanisz.
- Wcale nie. Sam zobacz.

Eduardo nie miał ochoty oglądać się za siebie. Próbował skoncentrować się na tym, co mówił brodaty, szpakowaty mężczyzna krążący pośrodku średniej wielkości sali. Eduardo nie był pewien, czego dotyczy wykład, domyślał się tylko, że ma coś wspólnego z nieznanym mu zaawansowanym językiem programowania. Po raz kolejny zakradł się na jeden z wykładów Marka. Thefacebook zupełnie zdeorganizował im życie na uczelni. O interesach rozmawiali nawet podczas zajęć. W tej chwili w interesie Eduarda leżało, aby się nie odwracać, nie potrafił się jednak w żaden sposób powstrzymać.

Niemal od razu wyłowił z tłumu mężczyznę - po trzydziestce, garnitur i krawat, teczka pod pachą - który zupełnie nie pasował do sali wykładowej. Siedział między dwoma studentami drugiego roku ubranymi w bluzy tenisowe z logo uniwersytetu. Do twarzy miał przyklepiony głupi uśmiech. Rozpromienił się jeszcze bardziej, gdy zauważył, że Eduardo patrzy w jego stronę.

Mój Boże, te podchody wyglądały doprawdy komicznie. Nie był to pierwszy inwestor, który próbował ich znaleźć na kampusie. Pojawiali się w zatrważających ilościach, zwłaszcza kiedy semestr wiosenny, a zarazem rok akademicki, powoli zaczął dobiegać końca. Do Harvardu przybywali nie tylko inwestorzy, ale również przedstawiciele największych producentów oprogramowania i firm internetowych. Faceci w garniturach podchodzili do nich w jadalni w Kirklandzie i w bibliotece. Jeden z nich odnalazł nawet pokój Marka i sterczał pod drzwiami przez trzy godziny, czekając, aż ten wróci z seminarium na wydziale informatyki.

Zainteresowanie tego typu ludzi było szalenie miłe, problem w tym, że nie oferowali Markowi i Eduardowi prawdziwych pieniędzy, a jedynie dawali do zrozumienia, że inwestycja mogłaby nastąpić w przyszłości. Kilku z nich mówiło o konkretach - padały duże, okrągłe sumy z siedmioma zerami - ale żaden nie złożył prawdziwej propozycji. Dlatego też Mark i Eduardo nie traktowali ich zbyt poważnie. Nie ustalili nawet między sobą, czy interesowałyby ich w przyszłości sprzedaż udziałów. Tymczasem Facebook miał już ponad sto pięćdziesiąt tysięcy użytkowników, a każdego dnia przybywały tysiące nowych. Eduardo był przekonany, że jeśli strona nadal będzie rozwijać się w takim tempie, stanie się w końcu warta naprawdę wielkie pieniądze. A ponieważ rok akademicki dobiegał końca, musieli wkrótce podjąć kilka ważnych decyzji dotyczących przyszłości.

Mimo ogromnej pomocy Dustina i Chrisa thefacebook stawał się powoli dla Marka i Eduarda pełnoetatowym zajęciem. Podczas wakacji na pewno będzie im łatwiej pogodzić wszystkie obowiązki, niemniej Eduardo zdawał sobie sprawę, że i tak poświęcą thefacebookowi większą część lata. W ciągu minionego miesiąca nie udało się poczynić znaczących postępów w rozmowach z reklamodawcami. Eduardo starał się docierać do przedsiębiorców działających zarówno w skali lokalnej, jak i ogólnokrajowej. Tymczasowo umieścił na thefacebooku testowe reklamy kilku dużych firm w rodzaju AT&T Wireless, America Online i Monster.com, sprzedał także powierzchnię reklamową kilku organizacjom studenckim z Harvardu. Na stronie znalazły się ogłoszenia kursu dla barmanów, Balu Klubu Seneki i dorocznej „skórzanej” potańcówki w Mather House. Uniwersyteccy Demokraci płacili trzydzieści dolarów dziennie za umieszczoną na stronie informację o zbliżającej się wyprawie do New Hampshire. Thefacebook uzyskiwał zatem niewielkie dochody, nie starczały one jednak na pokrycie szybko rosnących kosztów związanych z wynajmowaniem serwerów oraz uaktualnianiem i poprawianiem witryny, z której przez całą dobę korzystało mnóstwo ludzi. Od czegoś jednak trzeba było zacząć.

Eduardo dopilnował, aby uregulować sprawy związane ze strukturą firmy. Razem z Markiem oficjalnie rozpoczęli działalność gospodarczą trzynastego kwietnia, tworząc firmę TheFacebook Sp. z o.o. Zarejestrowali ją na Florydzie, gdzie mieszkała rodzina Eduarda. Zgodnie z wcześniejszymi uzgodnieniami Mark posiadał 65% udziałów, Eduardo 30%, a Dustin 5%. Chris miał otrzymać bliżej nieokreślony procent udziałów w przyszłości. Tak czy inaczej samo zalegalizowanie firmy uczyniło ją czymś bardziej realnym, nawet jeśli nie przynosiła jeszcze żadnych dochodów.

Mimo zarejestrowania działalności gospodarczej i nieustannego wzrostu liczby użytkowników strony zbliżający się koniec roku akademickiego zmuszał ich do podjęcia kilku trudnych decyzji. Zarówno Mark, jak i Eduardo stwarzali pozory, że szukają pracy na wakacje. Mark nie znalazł dla siebie niczego interesującego, za to Eduardo - dzięki kontaktom w Phoenixie i przyjacielom rodziny - dostał się na dość prestiżowy staż w jednym z nowojorskich banków inwestycyjnych. Eduardo wielokrotnie omawiał sprawę stażu ze swoim ojcem, który miał łatwy do przewidzenia pogląd na tę sprawę. Thefacebook cały czas się rozwijał i zdobywał popularność, ale nadal nie przynosił prawdziwych zysków. Staż w banku oznaczał konkretną pracę i ogromną szansę na przyszłość. Większość potencjalnych reklamodawców, których Eduardo próbował pozyskać, miała siedziby w Nowym Jorku, wydawało się zatem rozsądne, aby pójść na staż, a wolny czas poświęcić theface bookowi.

Zanim Eduardo zdążył opowiedzieć o swoich planach Markowi, ten niespodziewanie ogłosił, że zaczął pracę nad nowym projektem o nazwie Wirehog, choć oczywiście cały czas priorytetowo traktował thefacebooka. Przy Wirehogu pomagali mu dwaj informatycy: Adam D'Angelo, kolega ze szkoły średniej, z którym napisał Synapse, oraz Andrew McCollum, który również studiował informatykę na Harvardzie.

Wirehog miał być zasadniczo skrzyżowaniem Napstera i Facebooka, programu do wymiany plików z elementami portalu społecznościowego. Mark

wyjaśnił, że każdy będzie mógł ściągnąć Wirehoga z Internetu, zainstalować go na swoim komputerze i wymieniać się ze znajomymi dowolnego typu plikami - od muzyki, przez zdjęcia do filmów - za pośrednictwem spersonalizowanych profili powiązanych w zarządzaną przez jednostkę sieć. Po ukończeniu Wirehoga Mark zamierzał uczynić go jedną z funkcji thefacebooka. Jednocześnie razem z Dustinem mieli cały czas uaktualniać theface booka, liczyli również, że do końca wakacji zwiększą liczbę korzystających z niego szkół z trzydziestu do ponad stu.

Były to niezwykle ambitne plany, zwłaszcza ze względu na perspektywę połączenia thefacebooka z Wirehogiem, ale Mark nie zważał na potencjalne trudności i tryskał optymizmem. Deklaracja Marka, że zamierza realizować jednocześnie dwa projekty, ułatwiała Eduardowi podjęcie decyzji o pójściu na staż.

Lekki niepokój poczuł dopiero wtedy, gdy Mark przedstawił mu drugą część swoich planów. Tak się złożyło, że Eduardo zdążył już do tego czasu zapisać się na staż, rozpoczął nawet poszukiwanie mieszkania w Nowym Jorku.

Mark wyjaśnił, że kilka tygodni wcześniej siedział sobie w swoim pokoju z sześciopakiem piwa Beck's i doszedł do wniosku, że kilka najbliższych miesięcy powinien spędzić w Kalifornii i kontynuować prace nad Wirehogiem i thefacebookiem w Dolinie Krzemowej. Dla informatyka, jakim był Mark, było to miejsce owiane legendą, w którym żyli wszyscy jego bohaterowie. Tak się składało, że Andrew McCollum dostał pracę u producenta gier komputerowych EA Sports z siedzibą w Dolinie Krzemowej, a Adam D'Angelo również zamierzał się tam przeprowadzić. Znaleźli już sobie nawet tani dom na ulicy La Jennifer Way w Palo Alto, nieopodal kampusu Stanforda. Mark uważał przeprowadzkę do Kalifornii za idealne rozwiązanie. Zabierze ze sobą Dustina, stworzą centrum komputerowe w jakimś wynajętym lokalu i w ten sposób thefacebook i Wirehog trafią w miejsce, w którym powinny się znajdować. Do Kalifornii. Doliny Krzemowej. Centrum internetowego świata.

Minął dzień, a Eduardo wciąż nie potrafił pogodzić się z decyzją Marka. Prawdę mówiąc, jego plan w ogóle mu się nie podobał. Kalifornia leżała po przeciwnej stronie Stanów Zjednoczonych, zresztą Eduardo uważał ją za miejsce niebezpieczne i karmiące ludzi złudzeniami. Kiedy on będzie uganiał się po Nowym Jorku za reklamodawcami, faceci w garniturach - jak ten siedzący kilka rzędów za nimi - będą uganiać się za Markiem. Jeszcze gorsi od facetów w garniturach byli ludzie pokroju Seana Parkera, którzy doskonale wiedzieli, w jaki sposób przeciągnąć Marka na swoją stronę. Tymczasem plan zakładał, że firma na stałe przeniesie się do Kalifornii. Mark i Dustin będą zajmowali się programowaniem, a Eduardo biznesowym aspektem całego przedsięwzięcia. Jeżeli zamieszkają w różnych miastach, w jaki sposób Eduardo będzie kierować finansami firmy?

Eduardo przedstawił swoje obawy Markowi, ale ten je zbagatelizował. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby pracowali w różnych miastach, stwierdził. Mark i Dustin będą czuwać nad stroną techniczną serwisu, a Eduardo znajdzie reklamodawców i zajmie się finansami spółki. Tak czy inaczej dyskusja nie miała większego sensu, ponieważ Mark podjął już decyzję, a Eduardo miał rozpocząć staż w Nowym Jorku. Będą po prostu musieli wypracować skuteczną formę współpracy.

Chociaż Eduardo nie popierał planów Marka, uznał, że wszystko potrwa zaledwie kilka miesięcy, po których obaj wrócą na uczelnię, gdzie ponownie będą się musieli opędzać od facetów w szarych garniturach.

- Chyba powinienem z nim porozmawiać - wyszeptał Eduardo, odwracając wzrok od mężczyzny o stuwatowym uśmiechu. - Idziesz ze mną? Zawsze miło zjeść darmowy lunch.

Mark pokręcił głową.

- Urządzamy dziś nabór na stażystów.

Mark i Dustin uznali, że jeśli chcą do końca wakacji poszerzyć zasięg serwisu na sto szkół, muszą zabrać do Kalifornii co najmniej dwóch stażystów.

Wiązało się to oczywiście z dodatkowymi kosztami, bowiem trudno było oczekiwać, że ktokolwiek pojedzie z nimi na drugi koniec kraju za darmo. Ogłosili na wydziale informatyki, że za trwający całe lato staż są gotowi zapłacić osiem tysięcy dolarów oraz zapewnić wyżywienie i mieszkanie w wynajętym domu na La Jennifer Way. Wynagrodzenie było dość wysokie - biorąc pod uwagę, że firma nie przynosiła żadnych dochodów - ale Eduardo zgodził się zainwestować w firmę trochę więcej zarobionych na giełdzie pieniędzy. Za kilka dni otworzył nowe firmowe konto w Bank of America, przeleje na nie osiemnaście tysięcy dolarów i da Markowi książeczkę czekową, aby miał z czego sfinansować działalność w Kalifornii. Jako osoba odpowiedzialna za finanse przedsiębiorstwa uznał, że tak właśnie powinien postąpić.

- Gdy tylko spławię tego palanta - powiedział Eduardo - przyjdę wam pomóc w prowadzeniu rozmów kwalifikacyjnych.

- Powinny być interesujące - stwierdził Mark, a Eduardo był niemal pewien, że dostrzegł cień lekko ironicznego uśmiechu.

W osobliwym świecie Marka słowo „interesujący” mogło oznaczać praktycznie wszystko.

-...start!

Możemy sobie tylko wyobrazić, co zobaczył Eduardo po przekroczeniu progu sali wykładowej w piwnicy jednego z budynków na kampusie. Dokładnie w tej samej chwili zgromadzonych w środku ludzi ogarnęło kompletne szaleństwo i do uszu Eduarda dobiegły ogłuszające ryki, rehotliwe śmiechy i brawa. Aby zobaczyć, co się stało, musiał najpierw przedrzeć się przez tłum

złożony głównie z mężczyzn, przeważnie studentów pierwszego i drugiego roku, bez wyjątku informatyków. Świadczyły o tym zarówno ich ziemista cera, jak i swoboda, z jaką zachowywali się w supernowoczesnej pracowni komputerowej. Dopiero kiedy Eduardo przedarł się na przód tłumu, zrozumiał, dlaczego nikt nie zwraca na niego uwagi. Wszyscy kibicowali rozgrywce, która była zdecydowanie bardziej „interesująca”, niż mógł przypuszczać.

Pośrodku pracowni komputerowej zrobiono wolne miejsce, na którym ustawiono obok siebie pięć stolików. Na każdym stał laptop, a obok niego rząd szklanek wypełnionych whisky marki Jack Daniel's.

Siedzący za stolikami chłopcy walili jak szaleni palcami w klawiatury. Obok stał Mark ze stoperem w ręku.

Ze swojego miejsca Eduardo widział ekrany laptopów, jednak dla niego wypełniały je przypadkowe szeregi cyfr i liter. Uczestnicy gry bez wątplenia zmagali się z jakimś skomplikowanym kodem komputerowym, zapewne zaprojektowanym przez Marka i Dustina w celu przetestowania umiejętności kandydatów. W pewnym momencie ekran jednego z laptopów zamigotał. Siedzący przed nim chłopak podniósł głowę i wypił zawartość jednej ze szklanek z whisky. Tłum nagroził go burzą oklasków, a chłopak wrócił do programowania.

Eduardo natychmiast przypomniał sobie „regaty wioślarskie”, w których brał udział podczas ceremonii inicjacyjnej w Phoenixie. To również była swego rodzaju inicjacja - do świata Marka, do bractwa stworzonego dzięki jego wyobraźni i biegłości w programowaniu. Był to wyścig, test, a zarazem prawdopodobnie najdziwniejsza rozmowa kwalifikacyjna, w jakiej ludzie ci mieli kiedykolwiek wziąć udział. Nawet jeśli im to przeszkadzało, żaden tego po sobie nie pokazywał. Ich twarze wyrażały czyste zadowolenie. Łamali kod i jednocześnie strzelali co chwilę po głębszym, demonstrując nie tylko umiejętność programowania w sytuacji stresowej, ale również gotowość do całkowitego podporządkowania się Markowi - podążenia za nim nie tylko do

Kalifornii, ale we wszystkich innych zamierzeniach. Nie traktowali go jak zwykłego kolegi z zajęć - Mark błyskawicznie zdobywał status boga.

Po kolejnych dziesięciu minutach okrzyków, walenia w klawisze i opróżniania szklanek z whisky dwóch chłopaków poderwało się na nogi - niemal równocześnie - przewracając krzesła, na których siedzieli.

- Mamy zwycięzców! Gratulacje!

W tym samym momencie ktoś uruchomił odtwarzacz plików mp3 i z głośników w kącie pomieszczenia popłynęła piosenka Dr. Dre: *California, it's time to party...*

Eduardo nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Otaczający go tłum zgęstniał, wypełniając szczelnie środek pomieszczenia. Wszyscy chcieli pogratulować zwycięzcom. Tłum wypchnął Eduarda w tył, ale on nie zamierzał z nim walczyć, ciesząc się z sukcesu Marka. Zobaczył, że Mark i Dustin podeszli do stażystów i zaczęli z nimi rozmawiać. U boku Marka pojawiła się ładna Azjatka - wysoka Chinka o kruczoczarnych włosach i prześlicznym uśmiechu. Miała na imię Priscilla, a u boku Marka pojawiała się często w ostatnich kilku tygodniach. Eduardo zaczynał podejrzewać, że może wkrótce zostać dziewczyną jego przyjaciela. Jeszcze cztery miesiące wcześniej wydawałoby mu się to całkowicie nieprawdopodobne.

Ich sytuacja bez wątpienia uległa zmianie. Stojąc pośrodku kłębówiska darzących go uwielbieniem informatyków, Mark sprawiał wrażenie autentycznie szczęśliwego. Eduardo również był szczęśliwy, choć tylko przyglądał się całej sytuacji z boku.

Właśnie wtedy doszedł do wniosku, że plan Marka może się jednak powieść. On będzie zarządzał firmą z Nowego Jorku, podczas gdy Mark, Dustin, McCollum i stażyści zajmą się programowaniem w Kalifornii. Być może podczas pobytu w Dolinie Krzemowej uda im się nawiązać ciekawe kontakty, które Eduardo mógłby później wykorzystać. Tworzyli zespół, a on zamierzał grać zespołowo. Nawet jeśli miało to oznaczać pilnowanie

pozostałych zawodników z odległości pięciu tysięcy kilometrów.

Zresztą za trzy miesiące i tak mieli wszyscy wrócić na uczelnię. Eduardo zacznie ostatni rok, Mark trzeci, a życie będzie toczyło się dalej. Może staną się do tego czasu bogaci, a może będą znajdowali się w tym samym punkcie, co obecnie. Tak czy inaczej ich świat uległ zasadniczej przemianie od rozpoczęcia projektu. Eduardo był pewien, że czeka ich wspaniała przyszłość. Odsunął od siebie wszelkie wątpliwości, ponieważ uznał, że tak powinien postąpić człowiek grający zespołowo. Nie należy wpadać w paranoję.

Koniec końców, zapytał sam siebie w myślach, cóż złego może się wydarzyć w ciągu kilku miesięcy?

ROZDZIAŁ 20 MAJ 2004 ROKU

- Trzy.
- Dwa.
- Jeden...

Tyler zacisnął palce na kryształowym kieliszku do szampana. Obok niego Divya i Cameron pochylali się nad komputerem. Divya zawiesił palec nad klawiaturą; przeciągał ten moment, jak tylko mógł najdłużej, aby uczynić go bardziej podniosłym. Teoretycznie chwila r zeczyw i ś c i e była podniosła: uruchamiali stronę, nad którą pracowali od 2002 roku, czyli niemal przez dwa lata. Zmienili nazwę na ConnectU, co miało przede wszystkim pomóc im zapomnieć o koszmarze, przez jaki przeszli w ciągu ostatnich kilku miesięcy, ale również dlatego, że sukces thefacebooka dowiódł, iż portal oparty na tym samym pomysle co Harvard Connection może sprawdzić się na wielu uczelniach jednocześnie. Po wielu godzinach dyskusji, planowania i obaw, po dniach niepokoju o szatę graficzną i funkcje ich strona była nareszcie gotowa. Cóż za niezwykła chwila.

A jednak nie wydawała im się ani niezwykła, ani podniosła. Być może dlatego, że w niemal pustym pokoju w akademiku młody Hindus w obecności dwóch bliźniaków jednojajowych miał właśnie nacisnąć klawisz na klawiaturze komputera.

Tyler spakował większość swoich rzeczy do kartonów, które opisane stały teraz w kątach tego niewielkiego pomieszczenia. Ojciec Tylera i Camerona miał przyjechać za kilka godzin, aby pomóc im w przeprowadzce. Opuszczali Harvard na zawsze, wracali do realnego świata - choć być może nie było to najodpowiedniejsze sformułowanie. Rozpoczynali ostre treningi, na których miał obowiązywać jeszcze bardziej surowy reżim niż na uczelni. Ojciec

przerobił specjalnie w tym celu hangar na łódzie w Connecticut. Wynajęli trenera i chcieli na poważnie powalczyć o miejsce w kadrze na igrzyska olimpijskie w Pekinie. Od zrealizowania tego celu dzieliły ich tysiące godzin treningów; ciężkiej, bolesnej i niekiedy niesamowicie frustrującej harówki.

Plan był taki, że w tym samym czasie ConnectU będzie się powolutku rozwijać. Tyler i Cameron mieli nadzieję, że zdobędzie użytkowników na uczelniach w całym kraju i być może stanie się alternatywą dla thefacebooka, MySpace, Friendstera i innych portali społecznościowych, które niczym wirus podbijały Internet.

Tyler zdawał sobie sprawę, że uruchamiali stronę w niezwykle niekorzystnych okolicznościach. Znał doskonale handlową zasadę „kto pierwszy, ten lepszy”; jego ojciec, właściciel firmy konsultingowej, od dwunastu lat wykładał w Wharton Business School i wielokrotnie wyjaśniał mu tę prawidłowość. W niektórych branżach nie liczyła się jakość produktu czy nawet strategia handlowa, ale pierwszeństwo. Wygrywał ten, kto zaraz na początku odkroił sobie największy kawałek tortu, tymczasem ConnectU spóźnił się na przyjęcie.

Właśnie z tego powodu sprawa Marka Zuckerberga była tak cholernie frustrująca. Zdaniem Tylera Mark nie tylko ukradł im pomysł, ale na dwa miesiące zahamował prace nad Harvard Connection. Gdyby w miarę szybko poinformował ich, że nie będzie dla nich pracował, znaleźliby kogoś innego. Byliby pewnie wkurzeni na Marka, ale przynajmniej sprawy posuwałyby się naprzód i nie mieliby powodu, aby oskarżać go o zniszczenie ich marzenia. Być może uruchomiliby swoją stronę wcześniej od niego i wszyscy studenci w Stanach Zjednoczonych mówiliby teraz o ConnectU, być może to ConnectU zmieniałoby życie towarzyskie tysięcy ludzi.

Trudno o bardziej frustrujące uczucie. Dzień w dzień Tyler, Cameron i Divya słyszeli kolegów rozmawiających o thefacebooku. Nie tylko na zajęciach - to cholerstwo panoszyło się wszędzie. Było na laptopach we wszystkich

sypialniach w akademikach. Mówiono o nim w telewizyjnych serwisach informacyjnych niemal w każdym tygodniu. Pisano o nim w gazetach - czasami codziennie.

Mark Zuckerberg. Mark Zuckerberg. Pieprzony Mark Zuckerberg!

No dobrze, być może Tyler miał na tym punkcie lekką obsesję. Zdawał sobie sprawę, że z perspektywy Marka on, Cameron i Divya stanowili zaledwie okamgnienie w historii thefacebooka. Mark sądził pewnie, że przepracował kilka godzin dla jakichś tam sportowców z uczelni, ale projekt go znudził i dał sobie z nim spokój. Nie podpisali żadnej umowy, nie ustalili żadnego harmonogramu, nie zobowiązali się do zachowania tajemnicy ani nie zabronili mu stworzenia konkurencyjnego projektu. Owszem, w wysyłanych do nich emailach Mark cały czas ściemniał, ale zapewne nie czuł się w żaden sposób zobowiązany wobec dwóch osiłków, którzy nie mieli pojęcia o programowaniu. Kimże oni byli, żeby ściągać go na ziemię, kiedy wzlatywał tak wysoko?

Tyler przeczytał oczywiście list, który Mark skierował do władz uczelni w odpowiedzi na nakaz zaprzestania działalności wysłany do niego przez Camerona. „Początkowo - napisał Mark do Camerona - projekt wzbudził moją ciekawość. Zostałem poproszony o ukończenie komunikacyjnej części strony, co zrobiłem. Po tym spotkaniu, ale nie wcześniej, rozpocząłem pracę nad TheFacebook. Nie wykorzystałem istniejącego już kodu strony Harvard Connection ani zawartych w jej projekcie funkcji. Strony łączy jedynie to, że ich użytkownicy mogą umieszczać na nich informacje o sobie i zdjęcia oraz że można przeszukiwać profile innych osób ze względu na jakiś parametr”.

Zapoznał się również z bardziej uszczypliwym pismem, jakie Mark wysłał do władz uczelni po tym, jak Tyler i Cameron postanowili zainteresować sprawą komisję dyscyplinarną:

Zazwyczaj nie angażuję się w projekty innych studentów, ponieważ są

one najczęściej zbyt czasochłonne, odtwórcze i nie pozwalają mi na realizację własnych zainteresowań w takim wymiarze, jakiego bym sobie życzył. Staram się jednak wykorzystywać swoje umiejętności do pomagania innym w tworzeniu stron internetowych. W tym wypadku zaszło być może nieporozumienie; rozumiem, że ich niezadowolenie wzięło się z faktu, iż uruchomiłem moją stronę w czasie, gdy oni wciąż pracowali nad swoją. Mogę jednak zapewnić, że niczego im nie obiecywałem. Biorąc pod uwagę, że udzieliłem im za darmo pomocy w kilku sprawach, jestem, prawdę mówiąc, lekko zniesmaczony groźbami wysuwanymi pod moim adresem. Muszę jednak przyznać, że mnie one specjalnie nie zaskakują, ponieważ miałem już do czynienia z ludźmi nadzianymi i powiązаныmi ze środowiskiem prawników, między innymi przedstawicielami Microsoftu.

Tylera zirytowała tak naprawdę dopiero ostatnia linijka listu skierowanego do komisji dyscyplinarnej. Po zmieszaniu z błotem ich strony Mark napisał w podsumowaniu: „Przyzwyczałem się już, że ilekroć jakiś mój projekt odniesie sukces, natychmiast pojawiają się zastępy interesownych ludzi, którzy próbują się na nim wzbogacić”.

Tyler uważał list Marka za stek bzdur. Jemu, Cameronowi i Divyi w ogóle nie chodziło o pieniądze. Od początku nie chodziło im o pieniądze. Tyler miał w dupie to, czy strona zacznie przynosić zyski. Na litość boską, pochodził przecież z niezwykle zamożnej rodziny. Dla nich liczył się honor. Sprawiedliwość. Być może w biznesie te wartości można zepchnąć na drugi plan. Być może w świecie hakerów ważniejsze jest osiągnięcie jakiegoś celu i wykazanie się większym sprytem od innych. Dla Tylera nie istniało nic ważniejszego niż honor.

Najwyraźniej Mark miał na ten temat inne zdanie. W ciągu ostatnich kilku tygodni Tyler miał parę razy ochotę po prostu pójść do pokoju Marka i

porozmawiać z nim w cztery oczy. Za każdym razem rezygnował, ponieważ czuł, że nic z tego dobrego nie wyniknie.

Tydzień wcześniej Cameron wyszedł pewnego wieczoru z imprezy w jednym z akademików nad rzeką i zobaczył po drugiej stronie ulicy Marka. Kiedy ruszył w jego stronę - chciał tylko porozmawiać - chłopak odwrócił się i uciekł.

Według Tylera nie istniała szansa na rozwiązanie konfliktu za pomocą zwykłej rozmowy. Sprawy przybrały zbyt nieprzyjemny obrót, aby mogło się to udać. Nie pozostawało im zatem nic innego, jak zapomnieć o sprawie i robić dalej swoje.

Kiedy Divya skończył odliczanie, Tyler odsunął od siebie wszystkie przepełnione frustracją myśli. Skupił uwagę na bracie i przyjacielu, którzy siedzieli przed komputerem. Ta chwila nie należała do Marka Zuckerberga czy do thefacebooka. Świątowali uruchomienie ConnectU z nadzieją, że rozpoczynają nowy rozdział w życiu.

- No to zaczynamy - obwieścił Divya podniesionym głosem. - Poszło!

Opuścił palec na znajdujący się poniżej klawisz. Ekran zamigotał - ConnectU został uruchomiony. Trafił do Internetu i pozostawało tylko mieć nadzieję, że zostanie zauważony, że zarejestrują się na nim studenci, a strona zacznie zyskiwać popularność.

Tyler uniósł szklankę i trącił się z Cameronem i Divyą. Wychylił okazały łyk, rozkoszując się bąbelkami. Mimo radosnej atmosfery bezwiednie zauważył, że w ustach czuje narastającą gorycz.

W głębi duszy wiedział, że nie ma ona nic wspólnego z szampanem.

ROZDZIAŁ 21 SZCZĘŚLIWY TRAF

Zasadniczo o wszystkim decydowały prawa fizyki. Zderzenie równych i przeciwnych sił. Obiekt pozostający w ruchu próbuje pozostać w ruchu, niezależnie od tego, że ów ruch jest nietypowy, niepożądany lub po prostu irytujący. Siła równa się masa razy prędkość - tego rodzaju praw nie da się zmienić. Z tego powodu Sean Parker, sześćdziesiąt siedem ociekających wodą kilogramów, nawet nie próbował zatrzymać wielkiej mahoniowej komody, która stoczyła się z trzaskiem po schodach werandy małego bungalowu.

Stał nieruchomo, kręcąc tylko głową i obserwując, jak to cholerstwo przewraca się na bok i ląduje z głuchym trzaskiem na trawniku obok podjazdu. Odczekał kilka sekund, na szczęście z wnętrza domu nie dobiegły żadne narzekania. Jego dziewczyna najwyraźniej nic nie usłyszała, a więc jeśli uda mu się wrzucić lekko uszkodzony mebel na tył zaparkowanego kilka metrów dalej bmw, ona nigdy się nie dowie o tym wypadku.

Przykląkł na jedno kolano, chwycił od spodu komodę i spróbował ją poruszyć. Jego drogie włoskie buty zagłębiły się kilka centymetrów w trawie. Poczzerwieniał na twarzy z wysiłku, poczuł lekki ucisk w płucach, odkaszlnął i zrezygnował. Przyszło mu do głowy, by użyć inhalatora, ale ostatecznie uznał, że nie pomoże mu to w wykonaniu zadania. Prawdopodobnie będzie musiał schować do kieszeni swoją męską dumę i poprosić dziewczynę o pomoc. Nocował u niej przez ostatni semestr jej studiów na Stanfordzie, a teraz, kiedy przeprowadzała się z powrotem do domu, uznał, że powinni mieć jakieś wspomnienie z czasu wspólnego mieszkania pod jednym dachem - nawet jeśli miałyoby to być przetaszczenie pięćdziesięciokilogramowej komody przez kawałek trawnika.

- Sean Parker?

Głos dobiegał z nieokreślonego kierunku, wrywając Seana z rozmyślań na temat komody. Podniósł wzrok, odwrócił się w stronę ulicy i zmrużył oczy - słońce świeciło mu teraz prosto w twarz. Znajdowali się w spokojnej dzielnicy Palo Alto, miejscowości, w której mieszkała rodzina jego dziewczyny.

Kiedy jego wzrok dostosował się do nowego oświetlenia, dostrzegł czterech chłopaków zmierzających w jego kierunku. Nieczęsto widywało się młodych ludzi w tej sennej dzielnicy, która z pewnością nie mogła uchodzić za najmodniejszą część przedmieść. Był to po prostu sympatyczny labirynt uliczek i ciągnących się wzdłuż nich niskich domów z basenami i wypielegnowanymi trawnikami. Tu i ówdzie rosła jakaś stara palma. Sean ocenił, że statystyczny mieszkaniec musiał być co naj mniej trzydzieści lat starszy od tych chłopaków. Ich stroje, bluzy sportowe, dzinsy i (u jednego z nich) szary polar z kapturem wskazywały, że byli studentami.

W pierwszej chwili wydawali się Seanowi zupełnie obcy, jednak kiedy podeszli bliżej, zdał sobie sprawę, że jednego z nich skądś zna.

- Cóż za niezwykły zbieg okoliczności - mruknął pod nosem, gdy tylko przypomniał sobie nazwisko chłopaka.

Mark Zuckerberg wydawał się równie zaskoczony, choć trudno było cokolwiek wyczytać z jego twarzy. Szybko przedstawił pozostałą trójkę jako swoich współlokatorów i wyjaśnił, że od niedawna mieszkają w okolicy. Mark wskazał nawet palcem na dom stojący kilkadziesiąt metrów od mieszkania dziewczyny Seana. Ten z kolei nie wierzył w przypadkowe spotkania. Przeznaczenie, los - nazwijcie to sobie, jak chcecie. Czasami miał poczucie, że jego całe życie jest serią takich zdarzeń.

Tyle się wcześniej namęczył, aby odszukać Marka Zuckerberga w Nowym Jorku, a teraz ten mały geniusz wpadł mu prosto w ręce. Od czasu spotkania w restauracji 66 wymienili kilka emaili, próbując umówić się na kolejne. Zaledwie kilka tygodni wcześniej mieli się nawet zobaczyć w Las Vegas przy okazji jakiejś imprezy poświęconej nowoczesnym technologiom, ale

nic z tego nie wyszło. Wszystko jednak ułożyło się znacznie lepiej. Znacznie lepiej.

Kiedy Sean wyjaśnił, że pomaga swojej dziewczynie przeprowadzić się z powrotem do rodziców oraz że może jeszcze u niej pomieszkać przez kilka najbliższych dni, natomiast później będzie musiał sobie znaleźć nowe lokum, zobaczył, że Markowi zaświeciły się oczy. Chłopak przybył do Doliny Krzemowej, ponieważ uznał ją za najwłaściwsze miejsce do rozwinięcia działalności. Czy mogło mu się zatem przydarzyć coś lepszego niż przypadkowe spotkanie z twórcą dwóch najgłośniejszych firm w historii miasta? Mark nie złożył mu żadnej oficjalnej propozycji, ale Sean był pewien, że jeżeli tylko będzie zainteresowany - a wiedział, że będzie - może na nią liczyć.

Chciał się zaangażować w thefacebooka od chwili, gdy po raz pierwszy go zobaczył. Teraz zrozumiał, że ma spore szanse zamieszkać w jednym domu z człowiekiem, który go stworzył.

To się dopiero nazywa zaangażowanie.

Chłopak sunął w powietrzu niczym Piotruś Pan z jakiejś dziwacznej szkolnej produkcji; nie miał na sobie co prawda uprzęży i nie wisiał na linkach, ale trzymał się kurczowo prowizorycznej tyrolki rozpiętej między kominem na dachu budynku a słupem telefonicznym po drugiej stronie basenu. Wrzeszczał, niemniej Sean podejrzewał, że jest bardziej pijany niż przerażony. Mimo to zdołał puścić linę w odpowiednim momencie, wykonać fikołka w powietrzu i wpaść dokładnie w środek basenu. Woda rozprysła się na wszystkie strony, zalewając stojący obok basenu grill oraz drewniany taras znajdujący się z tyłu domu na La Jennifer Way - spokojnej podmiejskiej uliczce odległej o zaledwie

kilka mil od centrum Palo Alto.

Sean był ogromnie zadowolony z nowego miejsca zamieszkania - dom był piękny, na dodatek, choć Mark i jego kumple niewiele wcześniej się do niego wprowadzili, panowała w nim już ta cudowna atmosfera zażyłości typowa dla akademików. Tyrolkę kupili za sto dolarów w pobliskim sklepie żelaznym i sami ją rozpięli. Przynajmniej na razie udało im się nie uszkodzić komina ani słupa telefonicznego.

Dom w zasadzie nie wymagał renowacji. Był już umeblowany, a Mark i jego znajomi nie przywieźli ze sobą zbyt wielu rzeczy. Każdy miał jedną, dwie torby, coś do spania i tyle. Rodzice Marka przysłali mu sprzęt do szermierki, więc w domu można się było natknąć na florety i maski. Kupili też kilka tablic w pobliskim sklepie budowlanym, które zdążyli zagryzmolić plątaniną różnokolorowych linijek kodu komputerowego. Na podłodze wały się puste pudełka po pizzy, puszki po piwie i mnóstwo podartych kartonów po sprzęcie komputerowym. Wielki salon przypominał skrzyżowanie pokoju w akademiku i pracowni komputerowej. O każdej porze dnia i nocy można było tam spotkać przynajmniej jedną osobę przyklepioną do któregoś z licznych laptopów czy komputerów stacjonarnych; kable wiły się po całej podłodze niczym wnętrzności rozbitego statku kosmicznego obcych. W tle rozbrzmiewała zawsze mieszanka alternatywnego i hard rocka. Sean zauważył, że jego współlokatorzy często puszczali Green Day, co wydawało się stosownym podkładem muzycznym dla grupy hakerów o anarchistycznych skłonnościach.

Seana cieszyło również, że Markowi udało się stworzyć zespół niezwykle kompetentnych ludzi. Nawet stażyści, Stephen DawsonHaggerty i Erik Shilnick, studenci pierwszego roku informatyki, byli specjalistami od Linuxa i kodowania typu frontlevel. Razem mieli zadatki, aby stworzyć w przyszłości znakomity zespół specjalistów. Ich zaangażowanie w projekt było niezwykle - pracowali niemal dosłownie całymi dniami i nocami; również Mark, a dokładniej mówiąc, zwłaszcza Mark. Pomijając czas poświęcany na spanie, jedzenie i zeskakiwanie

do basenu z tyrolki, siedzieli bez przerwy przy komputerach. Od południa do piątej nad ranem programowali, dodawali nowe uniwersytety do thefacebooka, rozwiązywali niezliczone problemy, rozszerzali funkcjonalność portalu i pracowali nad Wirehogiem. Tworzyli pierwszorzędną zespół, być może najlepszy zespół nowicjuszy, jaki Sean kiedykolwiek widział.

Jedyną osobą, której Sean n i e widywał, był Eduardo Saverin. Początkowo wydawało mu się to nieco dziwne, jako że podczas spotkania w Nowym Jorku Eduardo został mu przedstawiony jako osoba odpowiedzialna za finanse thefacebooka, sam zresztą podkreślał kilka razy, że będzie się zajmować wszystkimi handlowymi aspektami funkcjonowania portalu. Tymczasem od pierwszego dnia, jaki Sean spędził w domu przy La Jennifer Way, było jasne, że Eduardo nie bierze udziału w codziennym życiu thefacebooka.

Kiedy Mark wyjaśnił, że Eduardo pojechał do Nowego Jorku na staż w banku inwestycyjnym, w głowie Seana natychmiast zapaliła się czerwona lampka. Jako współzałożyciel dwóch wielkich firm - i świadek znacznie większej liczby sukcesów i porażek - wiedział, że o powodzeniu projektu decyduje przede wszystkim zapał i ambicja ludzi, którzy przy nim pracują. Jeżeli ktoś zakładał tego rodzaju biznes - podchodził do niego poważnie i chciał odnieść sukces - musiał mu się całkowicie oddać. Musiał mu poświęcać każdą wolną chwilę.

Mark Zuckerberg poświęcił się thefacebookowi całkowicie. Miał odpowiedni zapał, determinację i umiejętności. Bez wątpienia był geniuszem, co więcej, posiadał tę specyficzną, wyjątkową umiejętność koncentracji, bez której sukces w tego rodzaju przedsięwzięciu byłby niemożliwy. Widząc zapał, z jakim programował o czwartej, piątej nad ranem - dzień w dzień - Sean był pewien, że Mark może zrobić jedną z najpiękniejszych karier w historii nowej, przebudowanej Doliny Krzemowej.

Gdzie tymczasem podziewał się Eduardo Saverin? A mówiąc dokładniej - czy Eduardo Saverin był nadal elementem całej układanki?

Podczas spotkania w Nowym Jorku Eduardo sprawiał wrażenie sympatycznego chłopaka, poza tym brał udział w projekcie od samego początku. Wyłożył tysiąc dolarów na wykupienie dostępu do serwerów. Nawet obecnie cały projekt był finansowany z jego pieniędzy. Wszystko to czyniło go ważną postacią, jak każdego inwestora finansującego początkowy rozwój jakiegoś projektu. Jaką jednak rolę miał pełnić Eduardo w przyszłości?

Eduardo uważał się za biznesmena. No dobrze, ale co to dokładnie oznaczało? W Dolinie Krzemowej nie robiło się interesów, ale bezustannie toczyło wojny. One z kolei wymagały podejmowania działań, o których nie uczono na żadnych kursach zarządzania. Sean nie poszedł przecież na studia, tylko założył Napstera jeszcze w szkole średniej. Bill Gates nie skończył Harvardu. Żaden z ludzi, którzy odnosili w Dolinie Krzemowej największe sukcesy, nie zawdzięczał tego szkole. Odnieśli sukces, ponieważ przyjechali w to miejsce - czasami po prostu z plecakiem i laptopem pod pachą.

Eduardo tego nie zrobił, a Sean nabrał przekonania, że chłopak najwyraźniej w ogóle nie jest zainteresowany przeprowadzką do Doliny Krzemowej. Z tego powodu Sean przestał się nim przejmować. Miał Marka, miał zespół Marka - miał thefacebooka. Był szczerze przekonany, że dzięki jego pomocy zdołają przekształcić swoją firmę w wielomiliardowy projekt, którego tak intensywnie poszukiwał. Po raz trzeci los postawił go w odpowiednim miejscu - spał na materacu w pustym pokoju, ponieważ nie zdążył nawet sprowadzić większości swoich rzeczy - i zamierzał wykorzystać tę szansę.

Po pierwsze, chciał pomóc chłopakom w zrozumieniu, na czym dokładnie polega tworzona przez nich rewolucja. Zdaniem Seana Parkera właśnie na tym polegała istota Doliny Krzemowej - na nieustannej, nieprzerwanej rewolucji. Zamierzał pokazać im mechanizmy rządzące tym światem, o których nie usłyszeli by od nikogo innego.

Po drugie, obserwując chłopaków, ich sprzęt do szermierki i puste pudełka po pizzy, uznał, że należałoby nauczyć ich nieco bardziej estetycznego

trybu życia. Ostatecznie tworzyli właśnie wielką sieć kontaktów towarzyskich, powinni zatem przynajmniej rozumieć, na czym polegają normy życia społecznego. Sean wiedział, że nikt lepiej od niego nie pokaże im świata Doliny Krzemowej. W tym mieście był gwiazdą rocka, nic nie stało wszakże na przeszkodzie, aby nie mogła go pewnego dnia przyćmić gwiazda Marka Zuckerberga. Thefacebook bez wątpienia miał być hitem, co oznaczało, że Mark - mimo swoich wszystkich dziwactw i wad - znajdzie się na ustach całego miasta. Imprezy, eleganckie restauracje, panienki - we wszystko Sean mógł go wprowadzić.

A jeśli chodzi o Eduarda, to Sean z przykrością stwierdzał, że ominie go następny etap rozwoju firmy. Takie sytuacje zdarzały się nieustannie. Początkowo Eduardo był we właściwym miejscu o właściwym czasie, ale teraz miejsce się zmieniło, a czas biegł do przodu z prędkością światła. Eduardo mógł jeszcze podjąć próbę utrzymania się w firmie, ale jego dotychczasowe zachowanie dowodziło, że nie podoła temu wyzwaniu.

Szkoda chłopaka, pomyślał Sean.

Co się stanie, jeśli człowieka stojącego tuż obok ciebie trafipiorun? Czy wzlecisz na nim do stratosfery?

A może po prostu spalisz się na popiół, próbując się przy nim utrzymać?

ROZDZIAŁ 22 KALIFORNIJSKI SEN

Deszcz lał się strumieniami z szarego nieba, kiedy szeroki kadłub boeinga 757 American Airlines zaczął kołować w stronę pasa startowego. Eduardo siedział z twarzą przyciśniętą do okrągłego okna, ale deszcz uniemożliwiał zobaczenie czegokolwiek. Nie był nawet w stanie określić, ile samolotów stało przed nimi w kolejce, lecz deszczowy piątkowy wieczór na nowojorskim lotnisku JFK nie mógł dawać nadziei na szybki start. Oznaczało to, że do Los Angeles przyleci dobrze po dwudziestej drugiej. Ze względu na różnicę czasu będzie się czuł, jakby była pierwsza w nocy, więc kiedy Mark i pozostali odbiorą go z lotniska, będzie wykończony. Wiedział jednak, że nie powinien sobie tym zawracać głowy, ponieważ zgodnie z zapowiedziami mieli się natychmiast rzucić w wir pracy.

Warkot silników rozgrzewających się podczas powolnego kołowania w stronę pasa startowego wprawiał w drgania jego zmęczone mięśnie. Usadowił się w fotelu w klasie turystycznej, próbując znaleźć wygodną pozycję. Mimo że tradycyjnie miał na sobie marynarkę i krawat, przypuszczał, że bez większego problemu prześpi sześciogodzinny lot. Przez ostatni miesiąc mocno się naharował. Codziennie przez dziesięć godzin przemierzał ulice, spotykał się z reklamodawcami, potencjalnymi inwestorami, producentami oprogramowania, z każdym, kto z jakichś powodów okazywał zainteresowanie thefacebookiem. Do tego dochodziły kolacje i wypadki do nowojorskich klubów nocnych, głównie ze znajomymi z Phoenixa, którzy również spędzali tam wakacje. No i oczywiście czas, jaki poświęcał Kelly, która sama zaczęła mówić, że jest jego dziewczyną. W sumie miała rację, niemniej Eduardo zaczynał sobie powoli zdawać sprawę, że jest lekko szurnięta.

Ani przez chwilę nie żałował, że już pierwszego dnia zrezygnował ze

stażu. Wystarczyło, że przez kilka minut posiedział w małym boksie, który przez kolejnych dziesięć tygodni miał być jego miejscem pracy, wpatrując się w stos wycen akcji, które miał przeanalizować, aby zdał sobie sprawę, że jeśli zaniedba thefacebooka, nigdy nie zostanie prawdziwym biznesmenem, jak jego ojciec. A jednak często dręczył go niepokój, kiedy najczęściej późno w nocy rozmyślał o tym, jak Markowi i reszcie zespołu układa się w Kalifornii, co porabiają, jakie zrobili postępy i - przede wszystkim - dlaczego częściej do niego nie dzwonią.

Wzniósł oczy do nieba, próbując znaleźć wygodną pozycję na twardym, zbyt dla niego małym fotelu. Chyba zaczynał przypominać swoją zwariowaną dziewczynę, którą już w zasadzie postanowił rzucić. Jak inaczej wytłumaczyć zarezerwowanie w ostatniej chwili lotu do Kalifornii? Chciał się przecież na własne oczy przekonać, czy jego podejrzenia są bezpodstawne.

Był pewien, że jeszcze tej nocy niektóre wątpliwości związane z thefacebookiem uda się rozwiązać. On, Mark i pozostali spędzą miło wieczór, trochę popracują i wszystko wróci do normy. Niemniej wcześniej czekały ich jeszcze inne atrakcje.

Mark mówił, że Sean Parker zdobył dla nich zaproszenia na jakąś charytatywną popijawę, na którą wybierali się wszyscy ważniejsi przedsiębiorcy z okolicy. Będą mieli okazję do niezłej zabawy, a jednocześnie poznania inwestorów, w tym kilku głównych graczy w Dolinie Krzemowej, a nawet jakichś gwiazd świata Internetu. Parker podobno zabrał ich już na kilka podobnych przyjęć. W ciągu miesiąca, jaki spędzili w Kalifornii, Mark zdołał zobaczyć wszystko, co było tam warte obejrzenia. W San Francisco wkręcili się w środowisko ludzi związanych z nowoczesnymi technologiami, pojechali nawet kilka razy do Los Angeles na imprezy, w których brały udział ważne osobistości z Hollywoodu.

Sean Parker znał wszystkich, a wszyscy znali Seana. Dzięki niemu poznawali również Marka. Thefacebook nie znajdował się może jeszcze w

centrum uwagi, ale ludzie powoli zaczęli o nim mówić i najwyraźniej wszyscy chcieli poznać błyskotliwego chłopaka odpowiedzialnego za niezwykle popularny portal społecznościowy. Eduardo odczuwał coraz większy niepokój po każdej kolejnej rozmowie z Markiem, po każdej opowieści o następnym osiągnięciu, imprezie czy kolacji, w jakich nie mógł uczestniczyć, siedząc w Nowym Jorku. Co gorsza, Mark pozostał sobą - nawet w rozmowie bezpośredniej był człowiekiem trudnym do rozgryzienia, a przez telefon pozostawał całkowitą zagadką. Eduardo miał niekiedy poczucie, jakby rozmawiał z komputerem. Mark rejestrował jego wypowiedzi, przetwarzał je i odpowiadał tylko wtedy, gdy uznał to za konieczne. Czasami nie odpowiadał w ogóle.

Jeżeli Mark był podekscytowany wymiernymi postępami, jakie Eduardo poczynił w rozmowach z reklamodawcami - zwłaszcza dobijając targu z Y2M i uzyskując od kilku innych ważnych graczy poważne obietnice przyszłej współpracy - z pewnością tego po sobie nie pokazywał. Eduardo musiał przyznać, że Mark i jego zespół pracowali dwadzieścia cztery godziny na dobę, wzbogacając stronę o nowe funkcje i włączając do sieci kolejne uniwersytety. Przy utrzymaniu obecnego tempa pod koniec sierpnia liczba użytkowników miała przekroczyć pół miliona. Ta liczba robiła spore wrażenie, niemniej niesamowitemu rozwojowi towarzyszyły coraz to nowe problemy.

Przede wszystkim w najbliższym czasie potrzebny stanie się kolejny zastrzyk finansowy. Firma wciąż funkcjonowała dzięki osiemnastu tysiącom dolarów, które Eduardo wpłacił na konto w Bank of America; Mark korzystał z nich za pomocą książeczki czekowej. Dotychczasowe przychody z reklam nie wystarczały na pokrycie wszystkich kosztów - obsługa pięciuset tysięcy użytkowników wymagało serwerów o dużej mocy. Poza tym zbliżała się chwila, gdy pomoc dwóch stażystów przestanie wystarczać i trzeba będzie zatrudnić prawdziwych pracowników, otworzyć prawdziwe biuro, wynająć prawdziwych prawników etc., etc., etc.

Eduardo był przygotowany do rozmowy na wszystkie wymienione tematy, chciał tylko mieć możliwość porozmawiania z Markiem w cztery oczy. Parker nie musiał w tym uczestniczyć, ponieważ w żaden sposób go to nie dotyczyło - niezależnie od tego, na ile imprez ich zabrał.

Poczuł wibracje w kieszeni i zdezorientowany rozejrzał się po samolocie. Sekundę później podskoczył wystraszony, ponieważ przypomniał sobie, że nie wyłączył komórki. W drodze na lotnisko nie mógł złapać zasięgu w taksówce, a telefon musiał dopiero teraz znaleźć się w zasięgu nadajnika. Eduardo wyjrzał przez okno - wciąż kołowali - i wyszarpnął komórkę z kieszeni.

Ledwie spojrzał na ekran, jego twarz natychmiast stężała.

Dwadzieścia trzy esemesy - wszystkie od Kelly. Po prostu cudownie.

Kelly przebywała nadal w Bostonie, mieszkała w akademiku i chodziła na wakacyjne kursy. Poprzedniego wieczoru zupełnie niepotrzebnie powiedział jej przez telefon, że jedzie na kilka dni do Kalifornii odwiedzić Marka i resztę chłopaków. Zareagowała fatalnie, zarzucając mu natychmiast, że na pewno będzie tam imprezować z dziewczynami, które poznał na thefacebooku. Zarzut był idiotyczny, choć Eduardo musiał przyznać, że faktycznie i e poznał na thefacebooku kilka dziewczyn, nie wspominając o tym, że dzięki stronie stawali się coraz bardziej rozpoznawalni zarówno na kampusie, jak i poza nim. No, może Mark stawał się coraz bardziej rozpoznawalny. Ostatecznie to jego imię widniało na każdej stronie.

Niemniej Kelly po prostu odbiło. Nie będą przecież imprezowali z jakimiś przypadkowo poznanymi dziewczynami, tylko spróbują wyrobić sobie pozycję w środowisku ludzi załatwiających interesy w Dolinie Krzemowej. Eduardo napisał do Kelly esemesa, prosząc, żeby się uspokoiła. Przypomniał sobie, że podczas ostatniej wizyty zostawił dla niej w szafie prezent - nowy zakiet w ozdobnym pudełku ze sklepu Saks na Piątej Alei. Napisał, aby go otworzyła, że o niej myśli i żeby przestała się martwić.

Następnie wyłączył telefon i wsunął go z powrotem do kieszeni. Siła

ciągu silników popchnęła samolot do przodu, wciskając go w twarde oparcie fotela. Czy i bez tego nie miał wystarczająco wielu powodów do zmartwień?

Ostatnią rzeczą, jaką chciał sobie teraz zawracać głowę, była zazdrosna dziewczyna.

- Nie ma powodów do obaw. Chociaż kto wie. Ale jeździ zupełnie dobrze.

Eduardo uniósł brwi i podążył za Markiem. Wyszli z terminala. Tuż przy krawężniku stał zaparkowany samochód. Eduardo nie potrafił nawet rozpoznać marki, ale auto było naprawdę stare i po uruchomieniu silnika zaczęło się całe telepać. Jedna z opon była chyba nieco większa od pozostałych, co powodowało lekki przechył podwozia. Inaczej mówiąc, Mark jeździł kupą złomu. Co akurat nie powinno specjalnie dziwić, ponieważ kupił go zaledwie kilka dni wcześniej z ogłoszenia umieszczonego na portalu Craigslist. Aby uruchomić samochód, nie trzeba było nawet wkładać kluczyków do stacyjki - wystarczyło ją kilka razy przycisnąć. Ale przynajmniej nie należało się obawiać, że ktoś go ukradnie.

Eduardo wrzucił worek ze swoimi rzeczami do bagażnika i wślizgnął się na tylne siedzenie. Dustin prowadził, tymczasem Eduardo natychmiast zauważył, że w samochodzie nie ma Seana Parkera. Mark wyjaśnił, że Sean pojechał już na imprezę swoim bmw klasy I, żeby zarezerwować stół dla VIPów. Zostawił kartkę z ich nazwiskami portierowi, więc powinni bez problemu dostać się do środka.

Eduardo ucieszył się z takiego obrotu sprawy, ponieważ zyskał czas na odnowienie zażyłości z Markiem.

W drodze z lotniska na imprezę głównie on mówił, a Mark słuchał - jak zresztą zazwyczaj bywało w przeszłości. Opisał szczegółowo umowę z Y2M i

postępy, jakie poczynił w rozmowach z innymi reklamodawcami. Wspomnił o kilku możliwych scenariuszach finansowych i pomysłach na pozyskanie większej liczby lokalnych reklamodawców w ośrodkach akademickich, w których thefacebook już funkcjonował. Następnie opowiedział o swojej zwariowanej dziewczynie, która podczas lotu z Nowego Jorku zostawiła mu na komórce kolejnych dwanaście wiadomości tekstowych.

Mark słuchał, jak się zdawało, uważnie, ale monosylabiczne odpowiedzi nie dawały Eduardowi żadnych wskazówek, co tak naprawdę myśli. Kiedy zapytał Marka o ich dokonania w ciągu minionego miesiąca, Seana Parkera, stażystów i lokalne warunki, usłyszał stan dardową odpowiedź: „To było interesujące”. Nic mu to nie powiedziało.

Za oknami samochodu przesuwało się położone na wzgórzu, mieniące się tysiącami światełek miasto. Sunęli powoli przez zatłoczone, wąskie ulice. Eduardo doszedł do wniosku, że jest to jedno z najpiękniejszych, a jednocześnie najdziwniejszych miejsc, jakie kiedykolwiek widział. Domy wydawały się wybudowane jedne na drugich. Kręte ulice - niektóre brukowane lub wyposażone w trakcję dla trolejbusów - pięły się w górę, a niektóre były tak strome i wysokie, że przypominały górskie zbocza. W niektórych miejscach napotykali przylegające do siebie narożniki ulic, z których jeden wyglądał tak elegancko i uroczo, jakby został żywcem przeniesiony z pocztówki, a przy drugim grupka zabiedzonych bezdomnych ogrzewała się przy płonącym pojemniku na śmieci.

Kiedy w końcu przecięli Geary Boulevard i wjechali w dzielnicę Tenderloin, urokliwe zakątki zdarzały się coraz rzadziej, a coraz częściej widzieli bezdomnych. Klub, do którego zmierzali, znajdował się za O'Farrell Street i leżał w obskurnej okolicy pełnej punktów realizacji czeków, fast foodów i salonów masażu. Kiedy zatrzymali się przed nieoznakowaną bramą, Eduardo dostrzegł stojącą na zewnątrz długą kolejkę oraz zagradzającego drzwi wielkiego mężczyznę w czarnym garniturze ze słuchawkami na uszach.

- Obiecujący widok - stwierdził, kiedy Dustin zaparkował samochód obok sterty śmieci, która zakrywała sporą część krawężnika. Stojący nieopodal bezdomny obrzucił ich przelotnym spojrzeniem, po czym zupełnie przestał się nimi interesować. - W kolejce stoi znacznie więcej dziewczyn niż facetów. To dobry znak. Podeszli do drzwi prowadzących do klubu. Mark tradycyjnie trzymał się z tyłu, więc Eduardo przejął inicjatywę i podszedł do wielkiego bramkarza ze słuchawkami na uszach. Mężczyzna przyjrzał mu się dokładnie - zatrzymując wzrok na marynarce i krawacie - następnie rzucił okiem na stojących tuż za nim Marka i Dustina, którzy wyglądali jak typowi informatycy. Twarz mężczyzny zdawała się mówić: „Czy tym dzieciakom naprawdę się wydaje, że wejdą do środka?”. Może to było San Francisco, ale nawet tam obowiązywały pewne standardy. Eduardo powiedział, jak się nazywają, a mężczyzna sumiennie powtórzył nazwiska do mikrofonu połączonego ze słuchawkami. Chwilę później zaskoczony wzruszył ramionami i uchylił przed nimi drzwi.

Lokal tonął w ciemnościach i pulsował od muzyki. Zajmował dwa poziomy, pomieszczenia miały niskie sufity, były wypełnione lampami stroboskopowymi, a wiszące nad barem kręcone schody prowadziły do sekcji dla VIPów ozdobionej aksamitnymi linami i obitymi skórą okrągłymi stołami. Z głośników ryczała na cały regulator mieszana muzyka alternatywnej i dance. Kelnerki w krótkich spódniczkach i odsłaniających brzuchy topach paradowały po sali z tacami pełnymi jasnokolorowych martini w kieliszkach przypominających kształtem kobiece narządy płciowe. Lokal był wypełniony po brzegi i kelnerki dokonywały cudów ekwilibrystyki, próbując nie pozrzucić kieliszków na ziemię.

Eduardo i jego przyjaciele zdołali wejść na niecałe trzy metry w tłum, kiedy ktoś ich zawołał, starając się przekrzyczeć muzykę. Głos dobiegał od strony schodów prowadzących do sekcji VIPów. Eduardo dostrzegł stojącego w połowie schodów Seana Parkera, który energicznie do nich machał.

- Tutaj!

Niemal pięć minut zajęło im dojście do podnóża schodów, gdzie musieli podać swoje nazwiska kolejnemu bramkarzowi. Następnie podążyli za Seanem do części dla VIPów i usiedli z nim przy jednym z okrągłych, obitych skórą stołów. Nalał im po kieliszku jakiejś potwornie drogiej wódki.

Kiedy już się wygodnie rozsiedli i zaczęli pić, Sean natychmiast powiedział, że ostatni raz przyszedł do tego klubu z założycielami PayPala po ceremonii wręczenia jakichś nagród. Mówił naprawdę szybko, w typowy dla siebie ekscentryczny sposób i sprawiał wrażenie zupełnie roztrzepanego. Rozlewał alkohol po stole, stukał w podłogę swoimi małymi skórzanymi butami. Eduardo wiedział, że Sean zawsze tak się zachowywał - jego umysł pracował na wyższych obrotach niż mózgi pozostałych ludzi.

Przysłuchując się opowieści Seana, Eduardo przeniósł wzrok na sąsiedni stolik, przy którym siedziały cztery najseksowniejsze dziewczyny, jakie kiedykolwiek widział - jedna piękniejsza od drugiej. Dwie blondynki w czarnych koktajlowych sukienkach miały tak długie nogi, że wydawało się, jakby pochodziły z innej planety. Pozostałe dwie były brunetkami o nieokreślonych korzeniach etnicznych. Klatkę piersiową jednej okrywał superobcisły top bez ramiączek, a druga miała na sobie cienką letnią sukienkę, która była tak powycinana, że mogłaby uchodzić za bieliznę.

Dopiero po chwili Eduardo uświadomił sobie, dlaczego wydają mu się znajome. Nic nie przesadził, myśląc, że są to najładniejsze dziewczyny, jakie kiedykolwiek widział, były to bowiem modelki Victoria's Secret jakby żywcem wyjęte z katalogu. Chwilę później zobaczył coś, co zszokowało go jeszcze bardziej: kiedy Sean zaczął głądzić na jakiś inny temat, jedna z dziewczyn przechyliła się w stronę ich stolika i zaczęła rozmawiać z Markiem.

Eduardo wpatrywał się w tę scenę z niedowierzaniem. Dziewczyna wychyliła się tak bardzo, że jej obfity biust niemal w całości wylał się z obcisłej koszulki. Jej opalona skóra połyskiwała, a nagie ramiona błyszczały w świetle

lamp stroboskopowych. Wyglądała precyzyjnie. Poza tym rozmawiała z Markiem.

Eduardo nie potrafił sobie wyobrazić, czego może dotyczyć rozmowa. Albo dlaczego w ogóle do niej doszło. Niemniej dziewczyna najwyraźniej nieźle się bawiła, z kolei Mark przypominał przerażone zwierzę, które niespodziewanie trafiło w snop światła reflektorów nadjeżdżającego samochodu. Ale cóż za wspaniały to był widok! Nie reagował niemal na nic, co mówiła, sam w zasadzie się nie odzywał, co jednak zdawało się zupełnie nie przeszkadzać dziewczynie. Siedziała uśmiechnięta, a w pewnym momencie wyciągnęła rękę i dotknęła nogi Marka.

Eduardo westchnął. Siedzący obok niego Parker cały czas nawijał. W tej chwili snuł opowieść o bitwie z Sequoia Capital, jak to, jego zdaniem, ten szalony Walijczyk chciał się go pozbyć, wynajął prywatnego detektywa i zadreżował go tak długo, aż w końcu zmusił do odejścia z Plaxo. Trudno powiedzieć, ile w tym było prawdy, ale bez wątplenia doszło między nimi do ostrego konfliktu. Sean poprzysiągł sobie, że się odegra - któregoś dnia, w taki czy inny sposób. Potem zaczął mówić o thefacebooku - że to niezwykle pomysł i że według niego stanie się ogólnoswiatowym przebojem. Wydawał się szczerze w to wierzyć. Tak naprawdę jedyną rzeczą, jaka mu się nie podobała, był rodzajnik „the” w nazwie. Uważał go za zbędny dodatek, a on nienawidził zbędnych rzeczy.

Sean nawijał bez końca, a Eduardo siedział i słuchał, zerkając cały czas na Marka i dziewczynę...

W pewnym momencie Mark niespodziewanie wstał. Modelka Victoria's Secret wzięła go pod rękę i wyprowadziła z sekcji dla VIPów. Zeszli schodami na dół i gdzieś zniknęli.

Eduardowi zakręciło się w głowie. Czy scena, której właśnie był świadkiem, naprawdę się zdarzyła? Czy Mark rzeczywiście opuścił klub? Czy nie chodził wciąż z tą Azjatką z Harvardu?

A niech to! Eduardo był praktycznie pewien, że Mark poszedł właśnie do domu z modelką Victoria's Secret.

Trudno było o lepsze potwierdzenie słów Seana Parkera: thefacebook miał się stać ogólnoswiatowym przebojem.

Cztery dni później Eduardo siedział znów w tym samym boeingu 757 American Airlines z głową przyciśniętą do okrągłego okna po jego prawej stronie. Choć tym razem nie padało, nieprzerwana, gwałtowna i szalejąca ściana szarości zalewała Eduarda - tym razem tylko w jego głowie - krusząc wszystkie myśli niczym mikser nastawiony na wysokie obroty.

Cierpiał. Ciało bolało go niemal równie mocno jak głowa, a za ten stan mógł winić tylko siebie. Przez tych kilka dni wpadł w wir spotkań biznesowych, narad dotyczących strategii i ostrego picia. Naprawdę ostrego picia. Wszystko zaczęło się od tej cholernej imprezy w klubie, z której wyszli dobrze po czwartej, kilka godzin po zamknięciu lokalu. Mark pojawił się dopiero następnego dnia i chociaż nie chciał powiedzieć niczego konkretnego na temat modelki Victoria's Secret, Eduardo był pewien, że do czegoś między nimi doszło. Im mocniej naciskał, tym bardziej Mark zamykał się w sobie - był to wyraźny znak, że coś się stało. Eduardo był pod wrażeniem całej sytuacji. Miał poczucie, jakby cały świat stanął na głowie, a wszyscy spadli na dno króliczej nory.

W następnych dniach sprawy przybrały jeszcze bardziej zwariowany obrót. Korzystając z obecności Eduarda, Sean zaaranżował kilka obiadów, spotkań i koktajli z inwestorami, przedstawicielami producentów oprogramowania oraz wszystkimi innymi nadzianymi ludźmi, którzy okazywali

zainteresowanie thefacebookiem. A jak się okazało, zainteresowanie było spore. Na tyle duże, iż o spotkanie z nimi ubiegali się wszyscy ważniejsi gracze w mieście. Sytuacja wyraźnie uległa zmianie; ludzie składali poważne oferty, szepecząc im na ucho wielomilionowe kwoty.

Obżarstwu i opilstwu nie było końca. Zapraszano ich do najbardziej eleganckich, najdroższych restauracji w San Francisco. Niekiedy rozmówcy wysyłali po nich limuzynę lub odbierali ich lśniącymi SUVami. Kiedy któregoś poranka Mark nie mógł zapalić swojego gruchota, przez co spóźnili się na umówione śniadanie, inwestor, z którym mieli się spotkać, zaproponował, że kupi im SUVa. Eduardo wiedział, że mężczyzna nie żartuje, i nie zdziwiłby się, gdyby następnego dnia zobaczył Marka w nowym samochodzie.

Najdziwniejsze spotkanie miało miejsce w wieczór poprzedzający powrót Eduarda do Nowego Jorku. Razem z Markiem zostali zaproszeni na jacht jednego z założycieli Sun Microsystems. Mężczyzna okazał się amatorem dziwacznych, egzotycznych potraw. Po kilku godzinach rozmowy o interesach jeden z członków załogi jachtu przyniósł lśniąca srebrną tacę, na której znajdował się kawałek włóknistego mięsa. Eduardo bał się zapytać, co to jest, ale mężczyzna sam pośpieszył od razu z wyjaśnieniem: na tacy leżało mięso koali, co w ocenie Eduarda czyniło tę potrawę nie tylko egzotyczną, ale również nielegalną. Mimo wszystko nietaktem byłoby odmówić.

Siedząc na pokładzie samolotu i czekając na uruchomienie silników, Eduardo wciąż nie potrafił uwierzyć we wszystko, czego był świadkiem przez kilka ostatnich dni. Jadł mięso koali na jachcie. Upił się w jednym z najbardziej ekskluzywnych lokali w północnej Kalifornii. Inwestorzy szeptali mu do ucha kwoty, które mogły uczynić jego i Marka bardzo, ale to bardzo bogatymi ludźmi.

Niezależnie od wysokości tych propozycji, Eduardo wiedział, że nie sprzedadzą thefacebooka. Jego zdaniem było na to zdecydowanie zbyt wcześnie. Wiedział, że w przyszłości thefacebook będzie wart znacznie więcej. Lada

chwila mieli osiągnąć pułap pięciuset tysięcy użytkowników, a ich liczba wzrastała z każdym dniem. A jeśli strona nie wygeneruje żadnych dochodów? A jeśli popadną w poważne długi, a firma ledwie będzie się w stanie utrzymać z osiemnastu tysięcy dolarów, jakie w nią zainwestował? Eduardo nie chciał jej sprzedawać. Mark nie chciał jej sprzedawać. Sean Parker? Kogo obchodziło, co on na ten temat myśli? Nie wchodził przecież w skład zarządu, a był jedynie doradcą. Nie brał udziału w podejmowaniu decyzji. Był nikim.

Eduardo się skrzywił, czując kolejną falę szarości przetaczającą się przez jego umysł. Poczul znajome wibracje i uświadomił sobie, że ponownie zapomniał wyłączyć ten cholerny telefon.

Wyciągnął go z kieszeni. Dzwoniła - jakżeby inaczej - Kelly, której unikał przez cały pobyt w Kalifornii.

Miał ochotę schować telefon do kieszeni, wiedział jednak, że samolot odlataje dopiero za kilka minut, więc równie dobrze może porozmawiać z nią od razu. Nacisnął klawisz odbioru i przyłożył telefon do ucha.

Szlochała. W tle słychać było głośne syreny. Eduardo natychmiast wyprostował się i poprawił w fotelu.

- Co się tam, u licha, dzieje?

Mówiła szybko, łkając przez cały czas. Kiedy nie dzwonił do niej przez kilka dni pobytu w Kalifornii, zrobiła to, co kazał - znalazła prezent, jaki zostawił dla niej w szafie. Właśnie wtedy przez przypadek ją podpaliła. Razem z większością jego ubrań, które u niej zostawił. Niemal cały pokój poszedł z dymem. Straż pożarna spryskała wszystko gaśnicami. Teraz groziło jej nawet, że zostanie aresztowana.

Eduardo zamknął oczy, kręcąc z niedowierzaniem głową. Po prostu cudownie. Jeden z uroków chodzenia z wariatką.

Nigdy nie wiadomo, co za chwilę zrobi.

ROZDZIAŁ 23 HENLEY NAD TAMIZĄ

Dwie sekundy.

Różnica między mistrzostwem a niebytem, między nazwiskiem wyrytym na tablicy pamiątkowej, pucharze i ścianie, a powrotem do domu ze wstążką i garścią wspomnień.

Dwie sekundy.

Tyler czuł, że słabnie. Wyczerpany pochylił się do przodu, ze stwardniałych dłoni wysunęły się wiosła. Ośmioosobowa łódź wciąż pruća niemal z maksymalną prędkością, ale wyścig już dobiegł końca. Nawet gdyby nie znał rezultatu - holenderska osada wyprzedziła ich o marne dwie sekundy - odgadłby go po okrzykach dobiegających z obu brzegów rzeki. To Holendrzy krzyczeli coś do swoich przyjaciół i kolegów z drużyny, a nie mała grupka Amerykanów, którzy przejechali pół świata, aby obejrzeć wyścig z udziałem Tylera i jego brata.

W głębi duszy wiedział, że sam udział w Królewskich Regatach w Henley jest zaszczytem, doświadczeniem, które będzie wspominał do końca życia. Od 1839 roku organizowano tam zawody na najdłuższym naturalnym akwenie w Anglii - na nieco ponad dwukilometrowym odcinku Tamizy przy uroczym, średniowiecznym miasteczku Henley, które założono w 1526 roku.

Samo miasteczko wyglądało, jakby zostało żywcem wyjęte z bajki. Zachowały się niektóre z najstarszych budynków, a Tyler i jego brat spędzili większość pięciodniowej imprezy, spacerując po wąskich uliczkach w towarzystwie gospodarzy, zaglądając do pubów, kościołów i sklepów. No dobrze, głównie do pubów.

Nie licząc atrakcji kulturalnych, jakich zaznawali przez cały tydzień, przybyli do Henley wyłącznie w jednym celu: aby zmierzyć się w wyścigu

Grand Challenge Cup z najlepszą osadą na świecie. Choć bardzo się starali, nie zdołali wygrać.

Przeegrali o dwie marne sekundy.

Zanim zdążyli wykaraskać się z łodzi i ustawić na brzegu do ceremonii wręczenia nagród, większość najwyżej postawionych widzów opuściła przeznaczony dla nich sektor - szeroki, ogrodzony odcinek brzegu ze wspaniałym widokiem na rzekę, do którego mogli się dostać wyłącznie członkowie klubu lub ich goście - i zgromadziła się wokół zawodników, czekając na przybycie księcia Alberta, który miał przewodniczyć ceremonii. Książę wydawał się znacznie niższy niż w telewizji, niemniej Tyler był pod ogromnym wrażeniem, kiedy przedstawiciel rodziny królewskiej uścisnął mu dłoń i z pamięci wypowiedział jego imię. Sama obecność księcia Alberta na ceremonii wręczenia nagród była sporym wydarzeniem, jako że zazwyczaj honory pełnił któryś z niżej postawionych członków rodziny królewskiej. Albert przybył z Monako, aby oddać hołd swojemu dziadkowi, jednemu z najlepszych wioślarzy swoich czasów. Jak na ironię, Jack Kelly otrzymał zakaz występów w Henley, ponieważ wykonywał zawód murarza. Albert chciał naprawić ten błąd, przewodnicząc uroczystościom.

Tyler i Cameron musieli się zadowolić uściskiem dłoni sztywnego księcia, bowiem prawdziwa nagroda powędrowała w ręce holenderskiej osady. Bracia ze smutkiem obserwowali przeciwników wznoszących puchar nad głowy, ale Tyler umiał przegrywać i bił im brawo razem z pozostałymi widzami.

Po ceremonii udali się do sektora dla VIPów - przepustki dostali od gospodarzy, u których mieszkali - i przez kilka minut z podziwem patrzyli na

niekiedy osobliwe stroje brytyjskich miłośników wioślarstwa: jaskrawe marynarki i krawaty, długie, powłóczyste suknie, letnie kapelusze - do wyboru, do koloru. Był pierwszy tydzień lipca, zawody odbyły się w palącym słońcu, ale nikt nie przejmował się upałem. Być może dlatego, że w sektorze znajdowały się cztery bary, zadaszona restauracja oraz namiot, w którym podawano herbatę.

- Każdy kiedyś przegrywa. Dobra robota, chłopaki. Wyprzedzili was zaledwie o włos.

Tyler zmusił się do uśmiechu, słysząc ojca ich gospodarza kuśtykającego w ich stronę z tylnej części sektora, gdzie zostawił swoich przyjaciół. Był to pękaty mężczyzna po pięćdziesiątce o delikatnie zaczerwienionych policzkach, dla których kontrpunkt stanowił perkaty nos i głęboko osadzone niebieskie oczy. Ten sympatyczny człowiek pracował obecnie w Londynie jako adwokat - dojeżdżał codziennie do pracy marne pięćdziesiąt sześć kilometrów - ale dwadzieścia pięć lat wcześniej występował w drużynie wioślarskiej Oxfordu. Od tego czasu uczestniczył jako kibic we wszystkich regatach w Henley, a od niemal dekady przyjmował w swoim domu wioślarzy zza wielkiej wody.

- Dzięki - odparł Tyler, próbując wykrzesać z siebie odrobinę optymizmu.
- Wyścig był zacięty, ale wygrali zasłużenie. Musieli ciężiej trenować.

Tyler mówił szczerze. Wyścigi wioślarskie rzadko były tak wyrównane, a jeśli osady przyplływały na metę w odstępie dwóch sekund, to - choć zabrzmiało to banalnie - wygrała po prostu ta, która wykazała się większą determinacją.

- Córka zrobiła kilka wspaniałych zdjęć - powiedział adwokat. - Niestety poszła już do domu.

- A mogłaby nam je przesłać emailem? - wtrącił się do rozmowy Cameron. Jakiś nieznajomy człowiek wcisnął im do rąk po kuflu ciepłego piwa. Cameron i Tyler cały czas mieli problem z przyzwyczajeniem się do tej tradycji, ale pracowali nad tym od przyjazdu do Henley.

- A macie może konta na thefacebooku?

Tyler zamarł z kuflem przyciśniętym do ust. Musiał się przesłyszeć.

Owszem, w ciągu ostatnich kilku miesięcy wiele osób wspominało przy nim o tej cholernej stronie, ale żadna z nich nie mówiła z angielskim akcentem. Nie przypuszczał, że usłyszy tę nazwę w średniowiecznym brytyjskim miasteczku położonym nad brzegiem Tamizy.

- Słucham? - wyjąkał, mając nadzieję, że po prostu zawiódł go słuch.

- No wiecie, na tej stronie internetowej. Córka twierdzi, że w Stanach korzystają z niej wszyscy studenci. Właśnie stamtąd wróciła. Przez rok chodziła na Amherst. Bez przerwy zagląda na tę stronę. Na pewno ją tam znajdziecie, więc po prostu wyślijcie do niej wiadomość, żeby przesłała wam zdjęcia.

Tyler zerknął na brata. W jego oczach dostrzegał te same uczucia, które targały i nim. Nawet tu, za oceanem, tysiące kilometrów od Harvardu, rozmowa zeszła na theface booka. Mimo że wciąż był dostępny wyłącznie dla amerykańskich studentów. A tak w ogóle to ile uczelni już obejmował? Trzydzieści? Czterdzieści? Pięćdziesiąt? Rozwijał się szybciej, niż którykolwiek z nich mógł przypuszczać.

Tymczasem ConnectU praktycznie został w blokach. Chociaż oferował mnóstwo funkcji i od razu pozwalał na rejestrację studentom z wielu uczelni, po prostu nie był w stanie konkurować z rozprzestrzeniającym się niczym wirus thefacebookiem. Niezależnie od tego, czy odpowiadała za to prawidłowość „kto pierwszy, ten lepszy”, czy po prostu ludziom bardziej podobał się thefacebook, ConnectU pozostawał małym punkcikiem na mapie portali społecznościowych.

Thefacebook był przy nim olbrzymem. Godzillą miażdżącą wszystko, co stało jej na drodze.

Tyler ponownie zmusił się do uśmiechu i przez chwilę gawędził z adwokatem na jakiś niezobowiązujący temat. Chciał zapomnieć o thefacebooku, ale w jego głowie cały czas kłębiły się myśli, które w ostatnich tygodniach próbował od siebie odpędzać.

On, Cameron i Divya próbowali zapomnieć o gniewie oraz frustracji i

mimo wszystkich przykrości, jakie ich spotkały, spróbować swoich sił w świecie portali społecznościowych. Niestety nie wiodło im się zbyt dobrze. Uruchomili swoją stronę, na różne sposoby próbowali przyciągnąć do niej potencjalnych użytkowników theface booka, ale w bezpośrednim starciu nie mieli żadnych szans. Studenci zakładali konta na portalu społecznościowym, z którego korzystali już ich znajomi, a nie na portalu, o którym nigdy nie słyszeli. Thefacebook wgniatał całą konkurencję w ziemię. Co tu dużo mówić - przegrali. Władze Harvardu umyły ręce. Mark ignorował ich emaile oraz nakaz zaprzestania działalności. Pozostawało im w zasadzie tylko jedno. Larry Summers niemal powiedział to na głos, ale oni nie mieli na razie ochoty uciekać się do tego rozwiązania. Tyler i Cameron nauczyli się co nieco o pozwach sądowych, obserwując działalność biznesową ich ojca. Wall Street była wypełniona po brzegi prawnikami, a Tyler i Cameron słyszeli wiele opowieści o sądowych wojnach między przedsiębiorstwami. Wiedzieli, że pozew sądowy to paskudna sprawa niezależnie od ostatecznego rozwiązania. Traktowali go jako ostateczność, czy jednak nie wyczerpali już wszystkich innych możliwości? Ostateczność? Przegrali o dwie sekundy z dzieciakiem wyposażonym w komputer - dzieciakiem, który nie okazywał żadnej skruchy i stawiał ich w sytuacji bez wyjścia.

Tyler zdawał sobie sprawę, że nieprzyjemne jest nie tylko samo postępowanie sądowe. Potrafił sobie wyobrazić, w jaki sposób sprawę będzie przedstawiała prasa. Zawsze umiał spoglądać z dystansu na sytuację, w której się znajdował, dlatego teraz potrafił przewidzieć, co dziennikarze będą o nich pisać, gdyby wytoczyli proces Markowi Zuckerbergowi. „Crimson” zdążył już nawet zaatakować ich w kilku komentarzach; w jednym określił ich nawet mianem „neandertalczyków”. Jak się okazało, autorką artykułu była dziewczyna, która kiedyś chodziła z jednym z współbraci Tylera z Porc. Przez cały czas trwania związku zadrezczała biednego chłopaka, powtarzając, że bractwa są z natury „złe”. Niemniej artykuł jej autorstwa pokazywał, co może

ich czekać, jeśli pozwą Marka Zuckerberga.

Gdyby byli bohaterami filmu z lat osiemdziesiątych, bez wątpienia zostaliby czarnymi charakterami. Przebrani za szkielety próbowaliby złapać bohatera *Karate Kid* podczas szkolnej potańcówki. Tyler i Cameron byli sportowcami z zamożnej, eleganckiej rodziny. Mark był fajtłapowatym informatykiem, który swoimi umiejętnościami zapracował na status gwiazdy. Tyler był pewien, że dziennikarze nie przegapią wątku walki klasowej: bogate, uprzywilejowane dzieciaki uważające, że establishment powinien bronić ich praw, kontra haker gotowy do łamania obowiązujących zasad. Kodeks honorowy kontra kodeks hakerski.

Tyler wiedział, w jaki sposób zostaną z bratem przedstawieni.

Jeśli jednak miało im to zapewnić choćby niewielką szansę na dojście sprawiedliwości, byli gotowi założyć kostiumy szkieletów i spróbować.

Mark Zuckerberg nie zostawił im wyboru.

ROZDZIAŁ 24 28 LIPCA 2004 ROKU

Oczy zamknięte.

Serce wali jak młotem.

Pot leje się strumieniami po plecach.

Eduardo był wściekły, to wiemy. Nie mamy pewności, gdzie się znajdował: czy rozgoryczony i otumaniony przemierzał ulice Nowego Jorku, a może uwięziony w wagoniku metra pędził z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, przyciśnięty mocno ramionami do lepkiego chromowanego drążka, rzuwany w przód i w tył oraz popychany przez napierający tłum. Gdziekolwiek się znajdował, gotował się ze złości i lada chwila miał zrobić coś, co na zawsze odmieni jego życie.

Wszystko zaczęło się trzy dni wcześniej. Wtedy jeszcze Eduardo był w znakomitej formie psychicznej. Odkąd wrócił z Kalifornii - i natychmiast zerwał z Kelly, kładąc kres festiwalowi historycznego komedianctwa - sprawy w Nowym Jorku układały się zupełnie nieźle, a Eduardo z zadowoleniem przyjmował postępy w rozmowach z Y2M i innymi firmami, które nakłonił do wykupienia reklam na thefacebooku. Zadzwoił do Marka na numer stacjonarny do domu przy La Jennifer Way, aby zdać mu ze wszystkiego relację - i właśnie od tamtej chwili sprawy przybrały niekorzystny obrót.

Powiedzieć, że Mark nie doceniał ciężkiej pracy, jaką Eduardo wykonywał w Nowym Jorku, to mało - podobno niemal w ogóle nie słuchał, kiedy Eduardo relacjonował swoje osiągnięcia, i natychmiast sam zaczął opowiadać o jakimś przyjęciu, na które poprzedniego wieczoru zabrał ich Sean Parker, w którym główne role grały dziewczyny z klubu studenckiego Uniwersytetu Stanforda i morze likieru Jägermeister.

Następnie Mark przeszedł do zwyczajowej w tamtym czasie śpiewki:

twierdził, że Eduardo powinien przeprowadzić się do Kalifornii, ponieważ tam dzieje się wszystko, co istotne dla losów firmy. Programowanie, nawiązywanie kontaktów towarzyskich z potencjalnymi inwestorami oraz szyciami z firm produkujących oprogramowanie. Ogólnie rzecz biorąc, Mark dawał Eduardowi do zrozumienia, że ten marnuje swój czas w Nowym Jorku, podczas gdy wszystko, czego thefacebook potrzebuje do rozwoju, znajduje się w Dolinie Krzemowej.

Eduardo próbował argumentować, że Nowy Jork również miał wiele do zaoferowania nowo powstałemu biznesowi - od reklamodawców do kontaktów w sferach bankowych - ale Mark nie miał w ogóle ochoty go słuchać. Co gorsza, w pewnej chwili do rozmowy włączył się Sean Parker i natychmiast zaczął opowiadać o dwóch potencjalnych inwestorach, których zamierzał przedstawić Markowi. Inwestorzy ci, twierdził Parker, są praktycznie zdecydowani, aby wyłożyć poważne pieniądze. Jeżeli spodobają się Markowi, a Mark spodobają się im, sprawy potoczą się szybko.

Eduardo niemal stracił nad sobą panowanie. Szybko wyjaśnił Parkerowi, że to on kieruje finansami thefacebooka i że powinien być obecny na wszystkich spotkaniach z inwestorami. A tak w ogóle, to dlaczego, do jasnej cholery, Parker aranżuje tego rodzaju spotkania? Eduardo uważał, że nawet Mark nie powinien zajmować się szukaniem potencjalnych inwestorów, tylko koncentrować się wyłącznie na informatycznym aspekcie projektu. A Parker nie należał przecież do władz firmy. Był gościem w ich domu. I tyle. Pierdolonym gościem. Po tej rozmowie frustracja Eduarda zaczęła się przeradzać we wściekłość. Dlatego właśnie dał się ponieść impulsowi - być może ze złości, a być może uznał, że powinien wyraźnie zakomunikować swoje odczucia i pokazać Markowi, że nie wolno go wyprowadzać z równowagi.

Sporządził list opisujący dokładnie biznesowe relacje, jakie łączyły go z Markiem. Przypomniał zwłaszcza umowę, jaką zawarli na samym początku, mówiącą że Eduardo będzie odpowiadał za finanse oraz że Mark w Kalifornii

zajmie się unowocześnianiem portalu. Eduardo zaznaczył, że jako posiadacz 30% udziałów w firmie może zablokować zawarcie każdej umowy finansowej, z którą się nie zgadza. Mark musi przyjąć to do wiadomości. Eduardo zażądał dodatkowo od Marka potwierdzenia na piśmie, że ma pełną kontrolę nad biznesowymi aspektami thefacebooka.

Eduardo zdawał sobie sprawę, że człowiek pokroju Marka Zuckerberga na pewno nie zareaguje dobrze na taki list, niemniej jednak chciał możliwie dobitnie przedstawić swoje stanowisko. Owszem, Sean Parker zaprowadził chłopaków na kilka odlotowych imprez, może nawet pomógł Markowi przespać się z modelką Victoria's Secret, jednak z punktu widzenia Eduarda nie należał do zespołu thefacebooka. Eduardo był dyrektorem finansowym, to dzięki jego pieniądzom thefacebook w ogóle powstał i to on nadal finansował ich działalność w Kalifornii. Dlatego właśnie powinien kierować tym aspektem działalności firmy, nawet jeśli przebywał w Nowym Jorku.

Po otrzymaniu listu Mark zostawił mu kilka wiadomości na poczcie głosowej: kolejne prośby, aby Eduardo przeprowadził się do Kalifornii, kolejne opowieści o urokach życia w Dolinie Krzemowej, kolejne zapewnienia, że ich firma ma się wspaniale i że nie mają żadnego powodu, aby sprzeczać się o głupoty, które - przynajmniej z jego osobliwej perspektywy - nie miały większego znaczenia. Eduardo po jakimś czasie do niego oddzwonił i sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót.

Mark poinformował go, że spotkał się z dwoma inwestorami, o których w poprzedniej rozmowie wspominał Sean Parker. Wykazali szczerze zainteresowanie sponsorowaniem thefacebooka, co w praktyce oznaczało przekazanie firmie pewnej sumy pieniędzy pozwalającej na utrzymanie dotychczasowego tempa rozwoju. Thefacebook potrzebował tych pieniędzy, ponieważ zaczynał popadać w coraz poważniejsze długi. Im więcej ludzi zakładało konto, tym większej mocy serwerów potrzebowali, aby obsłużyć ruch na stronie. Poza tym w najbliższej przyszłości powinni zatrudnić większą liczbę

pracowników, aby podolać wszystkim obowiązkom.

Eduardo uważał to wszystko za wtórne problemy. Według niego Mark świadomie zignorował jego list i pod nieobecność Eduarda nadal uczestniczył w spotkaniach biznesowych. Nie tylko zagrał Eduardowi na nosie, ale razem z Seanem Parkerem zdawał się dążyć do podcięcia mu skrzydeł.

Być może Mark nie potraktował listu Eduarda poważnie, uważając go za próbę wyładowania nagromadzonych frustracji. Może faktycznie tak było, niemniej postawa Marka mocno wkurzała Eduarda. W jego opinii Mark i pozostali żyli w Kalifornii na jego koszt. Dom w Kalifornii? Sprzęt komputerowy? Serwery? Za wszystko płacili z konta założonego przez Eduarda. Zasilonego pieniędzmi pochodzącymi z jego prywatnych zasobów finansowych. Eduardo uważał, że choć to on płaci za wszystko, Mark go ignoruje, traktuje jak rozzłoszczoną dziewczynę, którą ma już głęboko w dupie.

Być może Eduardo zareagował zbyt emocjonalnie, ale teraz, trzy dni później, gotując się ze złości gdzieś na ulicach Nowego Jorku, nabierał coraz większego przekonania, że musi wreszcie pokazać Markowi, co naprawdę czuje.

Musi wysłać komunikat, którego Mark po prostu nie będzie mógł zignorować.

Możemy sobie wyobrazić, co stało się później: Eduardo przechodzi przez obrotowe drzwi oddziału Bank of America. Na jego twarzy maluje się determinacja, a jego błękitna koszulka jest mokra od potu powstałego bądź podczas jazdy metrem, bądź w trakcie dwudziestominutowego kursu taksówką po zatłoczonych ulicach.

Mija kasy położone wzdłuż szerokiej, prostokątnej części banku i kieruje

się bezpośrednio do boksu jednego z pracowników. Łysiejący mężczyzna w średnim wieku, piastujący jedno z wyższych stanowisk w oddziale, przywołuje go do siebie gestem dłoni. Proszę usiąść, co mogę dla pana zrobić? Eduardo zdążył już wyciągnąć z kieszeni książeczkę bankową. Ciska ją na blat stołu i spogląda na mężczyznę swoim najpoważniejszym, dorosłym spojrzeniem.

- Chciałbym zamrozić moje konto, a także anulować wszystkie istniejące czeki oraz linie kredytowe powiązane z tym kontem.

Kiedy mężczyzna zabiera się do pracy, Eduardo bez wątplenia czuje, jak adrenalina zaczyna mu coraz szybciej krążyć w żyłach. Musi zdawać sobie sprawę, że przekracza pewną granicę. Tak czy inaczej chce, aby Mark zrozumiał wreszcie, jak poważnie Eduardo traktuje całą sprawę. Tak naprawdę, przychodzi mu na myśl, Mark sam jest sobie winien, że Eduardo może w ogóle zrobić coś takiego. Kiedy otwierał konto w Bank of America, wysłał Markowi książeczkę z czekami in blanco oraz formularze, po których wypełnieniu ten uzyskałby dostęp do konta. Mark, jak to Mark, nigdy nie wypełnił papierów. Nie zainwestował również nigdy w przedsiębiorstwo własnych pieniędzy i zadowolął się życiem z funduszy przekazywanych przez Eduarda. Traktował go jak swojego osobistego bankiera. Choć Eduardo był jego współnikiem, Mark zaczął podejmować decyzje, nie czekając na jego aprobatę. Eduardo musiał wyraźnie pokazać, że tak dalej być nie może. Eduardo musiał pokazać, co to znaczy być dobrym współnikiem. Eduarda nie interesowało, że każda podstrona thefacebooka była dziełem Marka Zuckerberga, bowiem przedsiębiorstwo powstało dzięki wspólnemu wysiłkowi dwóch osób. Eduardo był biznesmenem i jego postępowanie było motywowane wyłącznie względami biznesowymi.

Eduardo obserwuje, jak pracownik banku naciska kolejne klawisze i w rezultacie zamraża konto bankowe thefacebooka. Być może wtedy na ułamek sekundy ogarnęły go wątpliwości, czy nie posuwa się za daleko. Jeżeli doszedł do wniosku, że tak w istocie jest, natychmiast przywołał w myślach obraz Marka i Seana przemierzających Kalifornię w bmw Parkera, spotykających się z

inwestorami, a może nawet naśmiewających się z jego wcześniejszych prób powstrzymania ich od samodzielnego działania.

Ale na pewno nie będzie im do śmiechu, kiedy spróbują zrealizować następny czek.

ROZDZIAŁ 25 SAN FRANCISCO

Tym razem rewolucja miała mieć spokojny początek.

Sean Parker uświadomił sobie, że rozpocznie się od szumu supernowoczesnej windy pędzącej w górę ogromnego drapacza chmur w San Francisco oraz przesłodzonych akordów potwornie okaleczonej piosenki Beatlesów włączanych przez zamontowane nad fluorescencyjnymi lampami głośniki do sześciennego wnętrza wyłożonej wykładziną windy.

Sean musiał przyznać, że sytuacja ta miała swego rodzaju poetycki wymiar. Potencjalnie mogła dać początek wielkiemu cyfrowospołecznemu trzęsieniu ziemi, tymczasem sekundy przybliżające ich do tego epokowego wydarzenia odmierzała paskudna muzyka z puszek.

Miał ochotę się uśmiechnąć, ale się powstrzymał. Stali z Markiem pośrodku pustej windy, wpatrując się w małe świecące numery. Znajdowali się akurat między dziewiątym a dziesiątym piętrem pięćdziesięciodwupiętrowego drapacza chmur i sunęli w górę z nieprawdopodobną prędkością. Sean poczuł, że zmiana ciśnienia zatyka mu uszy, co akurat było korzystne, ponieważ przestał na chwilę słyszeć muzykę i mógł uporządkować myśli, a przynajmniej ułożyć je w na tyle względny porządek, na jaki pozwalała jego niezwykle pobudzona substancja szara w mózgu.

Wydarzenia toczyły się znacznie szybciej niż Sean mógł przypuszczać. Zaledwie kilka tygodni wcześniej wprowadził się do domu ekscentrycznego geniusza, a teraz zdążali razem na spotkanie mogące doprowadzić do nawiązania współpracy, która odmieni oblicze całego Internetu, a ich przybliży do miliardowej fortuny, jaką wyobraził sobie, gdy po raz pierwszy zobaczył thefacebooka w swoim pokoju w akademiku na kampusie Stanforda.

Sean zerknął na stojącego obok dwudziestoletniego chłopaka. Jeżeli Mark

był zdenerwowany, to tego po sobie nie pokazywał. Należałoby raczej powiedzieć, że nie wyglądał na bardziej skrepowanego lub zaniepokojonego niż zwykle. Twarz skrywał pod maską obojętności i spojrzenie utkwiał w rosnących numerach piętér wyświetlanych nad drzwiami windy.

Od czasu przypadkowego spotkania na ulicy pod Palo Alto Sean zdążył dość dobrze poznać tego ekscentrycznego chłopaka i zaczynał darzyć go autentyczną sympatią. Mark był z pewnością dziwny; określenie „nieprzystosowany społecznie” nie opisywało dostatecznie jego pełnej rezerwy do świata postawy. Niemniej mimo murów, jakie Mark wznosił dookoła siebie, Sean wiedział, że słusznie od samego początku uważał go za geniusza. Chłopak był błyskotliwy, ambitny i miał zjadliwe poczucie humoru. Najczęściej zachowywał się cicho i spokojnie. Sean zabrał go na wiele przyjęć, ale Mark nie czuł się swobodnie na żadnym z nich. Znacznie szczęśliwszy zdawał się przed ekranem swojego komputera, przed którym potrafił siedzieć nieprzerwanie przez dwadzieścia godzin. Mniej więcej raz w tygodniu spotykał się z dziewczyną, którą poznał jeszcze na uczelni, a kiedy ogarniało go zmęczenie, wybierał się na długie wycieczki samochodem. W pozostałych przypadkach przypominał maszynę kodującą. Siły witalne, powietrze i pokarm czerpał ze stworzonej przez siebie firmy.

Sean nie mógł trafić na lepszego przedsiębiorcównowicjusza. Czasami musiał wręcz przypominać sobie samemu w myślach, że chłopak ma zaledwie dwadzieścia lat. Mark prowadził może nieco dziecinny tryb życia, ale jego niezwykła determinacja mówiła Seanowi, że chłopak będzie gotów na wszelkie wyrzeczenia, aby tylko zapewnić dalszy rozwój strony. Właśnie z tego powodu Sean był pewien słuszności decyzji, jaką zamierzali właśnie podjąć. Spotkanie, na które zmierzali, miało stać się katalizatorem osiągnięcia miliardowych zysków. Tych zysków, które jak dotąd mu się wymykały, mimo że założył dwie wielkie firmy i przez pół dekady pływał w zdradliwym nurcie odrodzonej gospodarki Doliny Krzemowej.

W pewnym sensie Sean był wdzięczny Eduardowi Saverinowi za tak szybkie doprowadzenie do przesilenia. Gdyby nie jego działania z ostatnich kilku tygodni, być może przez całe lato musiałby przekonywać Marka, aby zdecydował się na znalezienie zewnętrznego inwestora. Tymczasem wyręczył go Eduardo - w przedziwny i cał kowicie niespodziewany sposób - zmuszając Marka do natychmiastowego podjęcia zdecydowanych kroków.

Najpierw przyszedł ten kretyński list. Seanowi skojarzył się z żądaniem okupu wysłanym przez porywacza. Dla lepszego efektu Eduardo powinien ułożyć wszystkie słowa z liter wyciętych z gazet i kolorowych magazynów. Groził, przymilał się, żądał - dzieciak miał jakieś poważne problemy osobowościowe. Szczytem absurdu był sam pomysł, że będzie kierował z Nowego Jorku handlową stroną przedsiębiorstwa internetowego, podczas gdy jego wspólnicy zajmą się programowaniem w Kalifornii. Eduardo udowodnił, że mu odbiło, kiedy próbował postawić Marka pod ścianą, wymachując swoimi 30% udziałów.

Mimo to Mark usiłował przemówić swojemu przyjacielowi do rozsądku. Sean stał u jego boku, starając się załagodzić konflikt. Uznali, że potraktują list po prostu jako desperackie, dziecinne błaganie o większy udział w bieżącej działalności firmy. Mark nie miałby przecież nic przeciwko temu.

Zanim obaj wspólnicy zdążyli wypracować porozumienie, Eduardo nieodwracalnie przekroczył granicę: zamroził firmowe konto bankowe, czym skutecznie podciął skrzydła Markowi i Dustinowi. Tym czynem zabił ducha samej firmy. Trudno powiedzieć, czy zdawał sobie z tego sprawę, ale jego działania mogły unicestwić wszystko, co stworzył Mark, ponieważ bez pieniędzy firma nie mogła funkcjonować. Gdyby została odcięta od serwerów choćby na jeden dzień, odbiłoby się to negatywnie na jej reputacji, a być może nieodwracalnie ją zniszczyło. Użytkownicy byli kapryśni, czego najlepszym przykładem był Friendster. Jeżeli ludzie przestają korzystać z jakiejś strony internetowej, to może się ona szybko znaleźć w dramatycznej sytuacji. Nawet

odejście relatywnie niewielkiej liczby użytkowników mogło odbić się głośnym echem wśród pozostałych, gdyż wszyscy byli ze sobą powiązani. Studenci siedzieli w Internecie, ponieważ ich znajomi siedzieli w Internecie; wystarczy przewrócić jeden klocek, a wywraca się całe domino.

Być może Eduardo nie zdawał sobie w pełni sprawy z konsekwencji swoich czynów; być może kierował nim gniew, frustracja i Bóg raczy wiedzieć, co tam innego, niemniej według Seana dziecinny manewr z zamrożeniem konta najzwyczajniej w świecie stawiał pod znakiem zapytania możliwość, aby Eduardo odgrywał w przyszłości w firmie jakąkolwiek poważną rolę. Sean uważał, że Eduardo postąpił jak dziecko, a nie jak biznesmen, za jakiego się uważał. Jak małe dziecko na placu zabaw wydzierające się na kolegów: „Jeżeli nie chcecie się bawić po mojemu, to zabieram zabawki i idę do domu!”. Tak więc Eduardo zabrał swoje zabawki, a Mark postanowił dokonać zmian w thefacebooku, o jakich Eduardowi nawet się nie śniło.

Najpierw, idąc za wskazówkami Seana, Mark zarejestrował firmę pod nową nazwą Delaware Sp. z o.o., aby zabezpieczyć się przed kapryсами Saverina, a jednocześnie rozpocząć proces restrukturyzacji spółki, który Sean uważał za konieczny dla pozyskania funduszy na dalszy rozwój. Jednocześnie Mark zgromadził wszystkie zasoby, jakimi dysponował, i wyłożył własne pieniądze na podtrzymanie funkcjonowania firmy do czasu rozwiązania kryzysu. Czerpiąc z własnych oszczędności - pieniędzy przeznaczonych na studia - Mark zebrał sumę wystarczającą na opłacenie serwerów. Mimo to firma nadal znajdowała się na granicy poważnych problemów finansowych, a nad tym Mark nie mógł już przejść do porządku dziennego.

Nie chodziło wyłącznie o serwery i konieczność zatrudnienia nowych pracowników. Kilka dni wcześniej otrzymali list z kancelarii adwokackiej wynajętej przez założycieli ConnectU, czyli braci Winklevoss, studentów czwartego roku, którzy w trakcie minionego roku akademickiego zatrudnili Marka do pracy nad swoim serwisem randkowym. List był pierwszym etapem

postępowania, które miało się zakończyć pozwem sądowym - swego rodzaju ostrzeżeniem, które według Seana miało za zadanie nastraszyć Marka.

Jeszcze przed otrzymaniem tego listu Sean omówił szczegółowo z Markiem sprawę ConnectU, a także na własną rękę rozeznał się w sytuacji. W jego ocenie bracia Winklevoss mogli okazać się uciążliwi, ale nie byli w stanie realnie zagrozić przyszłości firmy, bowiem, zdaniem Seana, zgłaszali nieuzasadnione i przesadne żądania. Co z tego, że Mark trochę im pomagał przy serwisie randkowym, zanim wymyślił thefacebooka? W Internecie funkcjonowały setki portali społecznościowych, a każdy zapalony informatyk pracował w swoim pokoju w akademiku nad witryną w jakimś stopniu przypominającą thefacebooka. Nie oznaczało to jednak, że musieli się obawiać pozwów sądowych. Zresztą wszystkie portale społecznościowe opierały się na identycznej idei, dlatego właśnie Seanowi tak bardzo podobał się argument Marka, że choć istnieje nieskończona liczba wzorów krzesel, nie oznacza to, że każdy producent krzesel kradnie pomysły innym. A wracając do sprawy portali społecznościowych, to w istocie wszyscy w jakimś stopniu wzorowali się na Friendsterze. W przeciwnym razie należałoby uznać, że bracia Winklevoss wynaleźli koło. Mark nie zrobił nic złego - nic, czego każdy przedsiębiorca działający w Dolinie Krzemowej nie zrobił sam kilka razy.

Gdyby jednak bracia nie chcieli ustąpić - a pismo z kancelarii prawnej wskazywało, że są zdeterminowani - obrona mogła kosztować Marka nawet dwieście tysięcy dolarów, co oznaczało, że musieli zdobyć więcej pieniędzy - i to szybko. A ponieważ sprzedaż firmy nie wchodziła w grę - przynajmniej Mark i Sean byli jej zdecydowanie przeciwni - musieli znaleźć inwestora, którego pieniądze pozwoliłyby im przetrwać do czasu, aż firma osiągnie wartość, przy której wszystkie obecne problemy tracą na znaczeniu. Sean żałował, że sam nie może pomóc, ale jego związki z Napsterem i Plaxo skończyły się w taki sposób, że nie dysponował pieniędzmi pozwalającymi zapewnić thefacebookowi dalszą działalność.

Sean zrobił zatem to, co potrafił najlepiej: nawiązał kontakt z odpowiednim człowiekiem, który jego zdaniem mógł zapewnić thefacebookowi taką przyszłość, na jaką zasługiwał.

Rosnące numery pięter wskazywały, że winda zbliża się do celu. Sean miał całkowitą pewność, że i tym razem postąpił słusznie. Wystarczy, aby Mark dobrze wypadł na spotkaniu, a będą mogli na poważnie przystąpić do budowania przyszłości firmy.

Raz jeszcze zerknął na stojące obok niego cudowne dziecko i ponownie nie wyczytał nic z jego twarzy. Napomniął się w myślach, że milczenie Marka o niczym nie świadczy. W odpowiednim momencie chłopak będzie się potrafił właściwie zachować. Wystarczy, jeśli zmobilizuje się na kwadrans.

- Wiedziałeś, że właśnie tu kręcili *Płonący wieżowiec*? - spytał Sean, próbując rozluźnić atmosferę. Wydawało mu się, że dostrzega na twarzy Marka cień uśmiechu.

- To bardzo pokrzepiające - stwierdził mechanicznie Mark. Sean był niemal pewien, że uwaga ta została wypowiedziana z ironią. Pozwolił, by na jego twarzy zagościł uśmiech, z którym od dłuższego czasu walczył.

Drapacz chmur, w którym się znajdowali, rzeczywiście był odpowiednim miejscem na spotkanie - nie z powodu *Płonącego wieżowca*, ale ponieważ uchodził za jeden z najbardziej charakterystycznych budynków w mieście. Kolos na California Street numer 555, dawna siedziba Bank of America, był cudem architektury, wielką wieżą z wypolerowanego granitu z tysiącami okien wykuszowych. Ta widoczna z daleka dwustudwudziestopięciometrowa iglica stała nieopodal dzielnicy finansowej.

Człowiek, z którym mieli się spotkać, był niemal równie fascynujący jak wieżowiec, zarówno ze względu na osobistą reputację, jak i osiągnięcia.

- Jestem pewien, że spodobasz się Peterowi - powiedział Sean. - Piętnaście minut. Wchodzimy, wychodzimy i to wszystko.

W głębi duszy wiedział, że ma rację. Peter Thiel - twórca niezwykłego

sukcesu firmy PayPal, szef wielomiliardowego funduszu inwestycyjnego Clarium Capital, dawny mistrz szachowy i jeden z najbogatszych ludzi w Stanach Zjednoczonych - był onieśmielającym, elokwentnym geniuszem. Oni potrzebowali inwestora, który wykazałby się odwagą i dalekowzrocznością, dzięki której rozumiałby potencjalne znaczenie i przełomowy charakter thefacebooka. Thiel, podobnie jak Sean Parker i Mark Zuckerberg, nie był zwykłym biznesmenem: uważał się za rewolucjonistę.

Kiedyś pracował jako prawnik w Stanford i słynął ze swoich libertariańskich poglądów. Podczas studiów na wydziale prawa założył czasopismo „Stanford Review” i mocno wierzył w znaczenie wolnej wymiany informacji, która stawała się możliwa dzięki sieciom społecznym powstającym w thefacebooku. Choć Thiel był człowiekiem skrytym i niezwykle ambitnym, zawsze szukał nowych, obiecujących projektów. Sean wiedział, że podobnie jak on interesował się portalami społecznościowymi.

Sean nigdy wcześniej bezpośrednio nie współpracował z Thielem, ale należał do grona osób, które przekonały go do nabycia mniejszościowych udziałów we Friendsterze. Zapamiętał sobie wtedy, że do byłego dyrektora generalnego PayPala warto będzie zwrócić się z kolejnym projektem.

Kolejny projekt się pojawił, a jego twórca zmierzał właśnie piętro po piętrze w stronę szklanochromowego biura Thiela, gdzie on - oraz Reid Hoffman, jego kolega z PayPala oraz dyrektor generalny i współzałożyciel LinkedIn, a także Matt Kohler, genialny inżynier i wschodząca gwiazda w Dolinie Krzemowej - czekali, aby wysłuchać prezentacji ekscentrycznego chłopaka, który od niedawna rozpoczął podbój Internetu.

A jeżeli Thielowi spodoba się to, co usłyszy... No cóż, Sean potrafił to określić tylko w jeden sposób: rewolucja, jaką był thefacebook, naprawdę się rozpocznie - tym razem na poważnie.

Pięćset tysięcy dolarów.

Trzy godziny później liczba ta wciąż rozbrzmiewała w głowie Seana. Stał w milczeniu obok Marka w opadającej błyskawicznie windzie. Tym razem numery pięter wyświetlały się w porządku malejącym w miarę, jak zbliżali się do holu na parterze wielkiego, granitowego budynku przy California Street numer 555.

Pięćset tysięcy dolarów.

Obiektywnie rzecz biorąc, nie była to rzecz jasna wielka kwota. Takie pieniądze nie wywracały świata do góry nogami, nie pozwalały na zbudowanie imperium ani przyjęcie postawy „możecie mi wszyscy naskoczyć” - były nawet mniejsze od propozycji Microsoftu, którą Mark odrzucił w szkole średniej po tym, jak stworzył dodatek do odtwarzaczy plików mp3. Pieniądze zupełnie go nie interesowały, nieważne, czy chodziło o tysiąc dolarów pożyczonych od przyjaciela na założenie firmy, czy o milion zaoferowany mu przez wielki koncern. Na ile Sean mógł się zorientować, pieniądze nadal nie interesowały Marka, nie mógł jednak zignorować wszystkich korzyści, jakie mogło przynieść pięćset tysięcy dolarów: nadziei na przyszłość dla firmy, którą założył w swoim pokoju w akademiku. Peter Thiel był dokładnie takim człowiekiem, jakim Sean opisał go Markowi. Przerazający jak cholera, błyskotliwy jak diabli - oraz chętny do nawiązania współpracy. Co więcej, piętnastominutową prezentację zamienił w lunch i popołudnie poświęcone na omówienie szczegółów umowy, która miała raz na zawsze zapewnić przetrwanie thefacebookowi. W pewnym momencie Sean i Mark zostali nawet poproszeni o opuszczenie spotkania i udanie się na mały spacer po mieście, podczas gdy Thiel, Hoff man i Kohler omawiali ich propozycję. Pod koniec popołudnia Thiel miał im do zakomunikowania wspólną wiadomość: thefacebook mógł spać spokojnie.

A dokładnie mówiąc, po prostu „Facebook”, bo tak miała się odtąd nazywać firma. Był to pomysł Seana, ponieważ „the” w nazwie od dawna go potwornie irytowało. W końcu zdołał namówić Marka, aby usunąć je przy okazji reorganizacji, którą musieli przeprowadzić, aby firma mogła pozyskać pięćset tysięcy dolarów na rozwój, a tym samym uratować własną skórę.

Otrzymali, jak wyraził się Thiel, kapitał na rozpoczęcie działalności, który miał im umożliwić przetrwanie kilku kolejnych miesięcy. Towarzyszyła mu obietnica zwiększenia inwestycji, gdyby okazało się to konieczne. Thiel otrzymał w zamian około 7% udziałów w nowo powstałej firmie i miejsce w pięcioosobowym zarządzie, który miał kierować dalszym rozwojem. Mark miał kontrolować większość miejsc, a tym samym całą firmę, a także zachować lwią część udziałów. Różnica polegała na tym, że oprócz Seana i Marka w kierowaniu firmą miał uczestniczyć również Thiel. Trudno było wyobrazić sobie lepszy układ.

Stojąc w windzie i słuchając ponownie głupiej muzyki z puszek - jakiejś potwornej deformacji Rolling Stonesów, przez którą zbierało mu się na wymioty - Sean miał poczucie wagi tej chwili. Wiedział oczywiście, że czeka ich mnóstwo pracy, a przekształcenia w nieunikniony sposób zrodzą napięcia.

On i Thiel zgodnie uznali, że firma powinna uzyskać nową osobowość prawną. Facebook musi przekształcić się w nowy byt, zostawiając za sobą skromne początki i uzyskując „nowotestamentowy” status. Operacja będzie wymagała ponownej emisji udziałów odpowiadającej nowemu układowi właścicielskiemu, w którym pojawili się Thiel, Sean - który i tak pomagał Markowi, odkąd wprowadził się do jego domu - oraz Dustin i Chris.

Pozostawał oczywiście Eduardo. Początkowo Mark postanowił (a Sean się zgodził), że Eduardo zatrzyma swoje 30%. Plan polegał na tym, aby włączyć go w działalność firmy w takim stopniu, w jakim będzie chciał. Niemniej jednak przekształcone przedsiębiorstwo miało funkcjonować w oparciu o nowe reguły - wręcz m u s i a ł o funkcjonować w oparciu o nowe reguły. Nie do pomyślenia

była na przykład sytuacja, w której firma byłaby pozbawiona możliwości emitowania nowych udziałów zgodnie ze zmieniającą się sytuacją. W przyszłości pracownicy mieli otrzymywać udziały w ilości zależnej od pracy, jaką wykonywali dla firmy. Facebook przestał być projektem zarządzanym z pokoju w akademiku, ale stał się prawdziwym przedsiębiorstwem posiadającym prawdziwego inwestora. Ludzie musieli być wynagradzani w taki sam sposób, jak w innych przedsiębiorstwach, ponieważ w przeciwnym razie niemożliwe byłoby sporządzanie realistycznej wyceny poszczególnych udziałów w miarę rozwoju Facebooka.

Oznaczało to, że jeśli Mark, Dustin i Sean sami wykonają całą pracę, jaka będzie niezbędna do zapewnienia firmie powodzenia, mieli otrzymać odpowiednio większą część udziałów. Jeżeli Eduardo przebywał w Nowym Jorku, szukając nowych reklamodawców, będzie otrzymywał udziały zgodnie z osiąganymi przez siebie wynikami. Jeśli będzie mu szło słabo, jego udziały w firmie stopnieją; ten sam mechanizm będzie obowiązywał wszystkich innych. A gdyby w przyszłości musieli pozyskać więcej funduszy od inwestorów, stopnieją udziały wszystkich współwłaścicieli.

W ocenie Seana Eduardo dopuścił się rzeczy strasznej: groził własnej firmie w najbardziej newralgicznym okresie jej istnienia. Mark nie wydawał się z tego powodu żywić do Eduarda nienawiści, ale ostatecznie Mark nie potrafił żywić do nikogo nienawiści, nie miał też w tym żadnego interesu. Niemniej jednak zdaniem Seana zachowanie Eduarda było wiele mówiące. Dla Marka, Dustina i Seana Facebook był wszystkim. Był ich życiem.

Podczas spotkania Mark powiedział Thielowi, że po wakacjach prawdopodobnie nie wróci na Harvard. Zamierzał zostać w Kalifornii i dalej realizować swój projekt. Nie chciał wybiegać myślą dalej niż miesiąc naprzód, niemniej jeśli Facebook miał się nadal rozwijać, on nie wyobrażał sobie, aby w najbliższym czasie mógł powrócić na Harvard. Jak powiedział kiedyś Bill Gates: „Gdyby Microsoft nie wypalił, zawsze mogłem wrócić na Harvard”.

Gdyby Facebook nie wypalił, Mark mógł oczywiście wrócić na uczelnię, choć Sean wątpił w to, że kiedykolwiek do tego dojdzie. Mark będzie nadal przeżywał swoje niekończące się wakacje; w Kalifornii miał prawdopodobnie zostać na stałe również Dustin.

A Eduardo? Z informacji posiadanych przez Seana wynikało, że chłopak z całą pewnością nie rzuci szkoły. Dowiedział już zresztą poprzednimi działaniami, że nie jest gotów poświęcić wszystkiego Facebookowi. Po prostu nie był tego rodzaju człowiekiem. Miał inne zainteresowania, na przykład w Harvardzie należał do bractwa Phoenix. W Nowym Jorku miał staż, nawet jeśli zrezygnował z niego w pierwszym tygodniu.

Eduardo wróci na studia. Tymczasem Mark Zuckerberg już znalazł odpowiednie miejsce dla siebie.

Sean obserwował malejące liczby wyświetlacza w windzie. Radosne podniecenie zaczynało stopniowo przygasać. Uspokoił tętno, które stało się na powrót równie regularne jak przepływ bitów i bajtów w procesorze komputera.

Miał świadomość, że muszą pokonać wiele przeszkód. Wykonać ogrom pracy.

Mark będzie musiał zapewne rozpocząć od uzyskania zgody Eduarda na wszystkie zmiany, aby zostały potwierdzone z formalnoprawnego punktu widzenia. Choć brzmiało to może brutalnie, Eduardo powinien rozumieć ich decyzje. Nie chodziło w nich o jakiegokolwiek osobiste animozje, ale o czysty biznes. A Eduardo uważał się przede wszystkim za biznesmena.

Sean i Peter byli przedsiębiorcami, którzy mieli już na koncie sukcesy. Wspólnie wyjaśnili Markowi, na czym to wszystko polega. W życiu młodych przedsiębiorstw, w rodzaju Facebooka, istnieją tak naprawdę dwa punkty startowe. Pierwszy: kilku chłopaków w akademiku pisze jakiś program na komputerze. Drugi miał miejsce tu, w wieżowcu w centrum San Francisco.

W pokoju w akademiku można przeżyć ekscytującą i wspaniałą przygodę. Człowiek staje się częścią jakiegoś odjazdowego przedsięwzięcia, w jego

umyśle rodzi się iskra geniuszu, bucha płomień kreatywności, błyskawica oświecenia rozświetla wyobraźnię.

Kiedy człowiek trafia do wieżowca w San Francisco, bierze udział w całkowicie innej grze. Tu rozpoczyna się historia Firmy przez duże F. Tu robi się prawdziwe interesy, tworzy korporację. To właśnie była owa druga błyskawica, która wynosiła człowieka prosto w niebiosa. Eduardo powinien wreszcie to zrozumieć. Facebook przestał być przedsięwzięciem dwóch kumpli z akademika.

A co, jeśli tego nie zrozumie? Jeśli nie będzie chciał zrozumieć?

W takim wypadku, zdaniem Seana, pokaże, że pod wieloma względami nie zależy mu na Facebooku w takim samym stopniu, jak pozostałym. Nie będzie się niczym różnił od braci Winklevoss, którzy próbowali złapać Marka za kostki, aby zaciągnął ich do nieba.

Tak czy inaczej Mark musiał wiedzieć, że podejmuje właściwą decyzję z perspektywy firmy. Sean i Thiel postawili sprawę jasno: żaden inwestor nie da im pieniędzy, jeśli w Nowym Jorku będzie hasał jakiś dzieciak, twierdząc, że kieruje biznesową stroną firmy, i wymachując „30% udziałów” niczym szabelką, którą chętnie poucinałby im głowy.

Zamrażając konto bankowe.

Grożąc im.

Grożąc Facebookowi.

To właśnie on był teraz najważniejszy - Facebook. Firma. Rewolucja. Sean widział, że w tej chwili na niczym innym Markowi nie zależy. Mark Zuckerberg wiedział, że stoi u progu czegoś wielkiego. Jego dzieło miało zmienić świat. Podobnie jak Napster (tyle że na większą skalę) Facebook opierał się na idei swobody wymiany informacji. Powstania w pełni cyfrowej sieci społecznej. Przeniesienia realnego świata do Internetu.

Eduardo będzie musiał to zrozumieć. A jeśli nie zrozumie?

Patrząc z najszerszej perspektywy, Eduardo nie miał znaczenia. Eduardo

nie istniał.

Jeszcze w windzie Sean przypomniał sobie, co Peter Thiel powiedział Markowi tuż po zawarciu umowy: że kiedy Facebook osiągnie trzy miliony użytkowników, Mark będzie mógł się przejechać jego Ferrari 360 Spyder. Tuż po wypełnieniu dokumentów umożliwiających Markowi wypłacenie pięciuset tysięcy dolarów i rozbudowanie z ich pomocą Facebooka zgodnie z własnymi pragnieniami, przekształcenie go w giganta, o jakim wcześniej mógł tylko śnić.

Thiel nachylił się nad biurkiem i spojrzał Markowi prosto w oczy.

- Tylko tego nie spieprz.

Sean się uśmiechnął. Nad drzwiami windy cały czas zmieniały się numery pięter.

Thiel nie musiał się niczego obawiać. Sean dobrze znał swojego nowego przyjaciela. Mark Zuckerberg nie pozwoli, aby ktokolwiek spieprzył Facebooka. Stanie na czele wprowadzanej przez siebie rewolucji - niezależnie od kosztów, jakie będzie musiał ponieść.

ROZDZIAŁ 26 PAŹDZIERNIK 2004 ROKU

Gdyby Eduardo mocno zmrużył oczy i może dodatkowo delikatnie je potarł, mógłby pomyśleć, że znajduje się z powrotem w zabałaganionym pokoju Marka w akademiku Kirkland i za chwilę zobaczy swojego przyjaciela pracującego wytrwale na swoim laptopie. Każdy element - łącznie z umeblowaniem - przestronnego biura w nowym wynajętym „casa Facebook” w Los Angeles wyglądał, jakby został przeniesiony wprost z Harvardu: porysowane drewniane krzesła, futony, podniszczone biurka i kanapy, które łączyły w sobie elegancję IKEI z estetyką Armii Zbawienia. Weranda była upstrzona kolorowymi pociskami od paintballa oraz zawalona kartonami; ktoś mógłby pomyśleć, że dom nie jest siedzibą młodej, prężnej firmy, ale że zagnieździła się w nim kolonia dzikich lokatorów. Wnętrze wypełniały oczywiście niezliczone komputery: stały na biurkach, na podłodze, na blatach obok pudełek z płatkami śniadaniowymi i torebek chipsów. A jednak mimo obecności wszystkich tych urządzeń w domu panował klimat akademika i o to dokładnie chodziło Markowi i pozostałym chłopakom. Chociaż pracowali teraz dwadzieścia cztery godziny na dobę - akurat w tej chwili Mark i Dustin ślęczeli przed monitorami, podczas gdy dwóch młodych mężczyzn w garniturach (Eduardo wiedział, że są prawnikami z kancelarii, która została wynajęta między innymi do przygotowania zmian w statusie prawnym firmy) zesłano w okolice drzwi prowadzących do kuchni - nie chcieli stracić poczucia, że jak za studenckich czasów są paczką kumpli. Chcieli, aby w swej istocie firma pozostała studenckim projektem, który po prostu zyskał niesamowitą popularność.

Pomimo tego do pewnego stopnia zaaranżowanego chaosu dom ten, posiadający pięć sypialni, lepiej nadawał się dla potrzeb Marka i jego paczki niż

poprzednie lokum w podmiejskim Palo Alto. Do przeprowadzki nie doszło wyłącznie z inicjatywy Marka. Po kilku listach ze skargami i odwiedzinach właściciela domu przy La Jennifer Way zostali stamtąd praktycznie wyrzuceni, między innymi za wdrapywanie się na dach, zbyt głośną muzykę, wrzucanie mebli z tarasu do basenu i zniszczenie komina tyrolką. Eduardo podejrzewał, że nieprędko dostaną z powrotem kaucję.

Nie stanowiło to obecnie większego problemu, ponieważ finanse Facebooka zostały uregulowane. Fundusze na rozruch działalności przekazane przez Petera Thiela pozwoliły im na wynajęcie tego domu, nabycie wyposażenia komputerowego, wykupienie dostępu do większej liczby serwerów niż Eduardo przypuszczał, że kiedykolwiek będzie potrzebna, oraz wynajęcie prawników, którzy z uśmiechem na ustach powitali Eduarda, kiedy tylko wszedł do domu. Przyleciał prosto z Cambridge, a z lotniska dotarł na miejsce taksówką.

Eduardo przespał większą część podróży. Minęło ledwie osiem tygodni nowego roku akademickiego - jego ostatniego na Harvardzie - a on już padał z nóg. Mimo że zapisał się na nieco mniejszą liczbę kursów, aby mieć czas na pracę przy Facebooku, jak każdy student Harvardu miał mnóstwo roboty: od pisania pracy magisterskiej, przez Stowarzyszenie Inwestycyjne, do którego wciąż należał, do rzecz jasna Phoenixa, który pochłaniał mu weekendy (zwłaszcza od czasu, gdy zerwał z Kelly i nie miał dziewczyny). Na dodatek zaczynał się właśnie okres rekrutacji do bractwa i tym razem to on musiał pomóc w znalezieniu nowych kandydatów na królów życia towarzyskiego kampusu.

Najważniejszy był wszakże Facebook.

Eduardo rozsiadł się na krześle przy okrągłym stole zajmującym większą część głównego biura i obserwował Marka pracującego na laptopie. Blask bijący z ekranu oświetlał jego blade policzki, a drobne fragmenty kodu odbijały się w niebieskawych gałkach jego oczu. Kiedy Eduardo wszedł do domu, Mark zdawkowo się z nim przywitał - skinął tylko głową i wypowiedział jedno czy

dwa słowa - ale ponieważ Eduardo spotkał się już u niego z takim zachowaniem w przeszłości, nie mógł z tego wyciągać żadnych wniosków. W rzeczywistości przez ostatnich osiem tygodni, czyli odkąd wrócił na studia, stosunki między nimi układały się zupełnie nieźle.

Kilkutygodniowy wakacyjny kryzys odszedł już praktycznie w niepamięć. Zamrożenie konta bankowego mocno wkurzyło Marka, który zaraz po tym zaczął umawiać się na spotkania z inwestorami i ostatecznie - wbrew woli Eduarda - zawarł umowę z Thielem. Przeprowadzili na ten temat kilka szczerych rozmów przez telefon - spierając się jak przyjaciele uczestniczący w przedsięwzięciu, które przerosło ich wszelkie oczekiwania - i ostatecznie doszło do swego rodzaju zawieszenia broni. Uznali, że najważniejsza jest przyszłość firmy i jej płynny rozwój. Eduardo zapewne przesadził, zamrażając konto bankowe, a Mark postępował zbyt samolubnie, trzymając Eduarda z dala od bieżących spraw. Eduardo chciał zachować się rozsądnie i dla dobra firmy skoncentrować się na przyszłości. Sprawa dotyczyła interesów, a oni byli przyjaciółmi i na pewno mogli znaleźć właściwe rozwiązanie całej sytuacji.

Właśnie z tego powodu Mark poprosił Eduarda, aby ten nieco ograniczył swoje zaangażowanie w firmę. Miało to trochę uciszyć jego własne niepokoje, a zarazem umożliwić Eduardowi skoncentrowanie się na ukończeniu studiów. Mark przekonał Eduarda, że firma stała się zbyt duża, aby jedna osoba mogła kierować jej finansami, a żądania wysuwane przez Eduarda stały się po prostu nierealistyczne. Facebook cały czas się rozwijał - zbliżali się do siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy użytkowników i zmierzali prosto ku okrągłemu milionowi! - dlatego Mark i Dustin zawiesili studia; na razie na jeden semestr, zapewne nie dłużej. Zamierzali też zatrudnić nową osobę na stanowisko kierownika handlowego, która przejęłaby część kontaktów, nad którymi Eduardo pracował jeszcze w Nowym Jorku. Błyskawicznie wzbogacali również stronę o nowe funkcje, niektóre naprawdę niezwykle. Stworzyli na przykład tak zwaną „tablicę”, na której ludzie mogli komunikować się ze sobą w bardziej

otwartej formie niż ta proponowana wcześniej przez inne serwisy społecznościowe. Użytkownicy mogli także tworzyć nowe grupy lub się do nich przyłączać - ten pomysł Eduardo omawiał z Markiem jeszcze na samym początku istnienia strony. Tempo zmian było wprost niesamowite i niemal odpowiadało wykładniczemu wzrostowi liczby użytkowników.

Kiedy Eduardo w końcu ochłonął po lipcowym wybuchu złości, doszedł do wniosku, że jakkolwiek postąpi, Mark i tak zrobi wszystko po swoim. Lato się skończyło, Eduardo wrócił na uczelnię, tymczasem Mark radził sobie lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Co najważniejsze, firma wspaniale się rozwijała. Dysponując funduszami Thiela, Eduardo nie musiał już ryzykować własnych pieniędzy. Thiel był zresztą finansową studnią bez dna, nie istniało zatem niebezpieczeństwo, że firma nie poradzi sobie z jakąś nową sytuacją.

Sam Eduardo był, ogólnie rzecz biorąc, zadowolony z powrotu na uczelnię. Jeden z najbardziej ekscytujących momentów ostatniego roku studiów nastąpił już w pierwszym tygodniu roku akademickiego. Znajomi z Phoenixa donieśli mu, że rektor Summers obwieścił wszystkim pierwszorocznikom, że obejrzał ich profile na Facebooku. To się wprost nie mieściło w głowie - rektor Harvardu korzystał z ich strony, aby poznać nowych studentów. Zaledwie dziesięć miesięcy wcześniej Mark i Eduardo byli parą nieznanym nikomu dziwaków, a teraz rektor Harvardu wypowiadał na głos nazwę stworzonej przez nich strony internetowej.

Czy w świetle tych faktów sprzeczka między nim a Markiem miała jeszcze jakiegokolwiek znaczenie? Kiedy Mark zadzwonił i poprosił, aby Eduardo przyjechał do Kalifornii podpisać jakieś dokumenty - związane zasadniczo z przekształceniem statusu prawnego spółki i z nową strukturą własności, jaka powstała w wyniku wejścia do firmy Thiela - Eduardo tylko wzruszył ramionami. To pewnie najlepsze rozwiązanie, pomyślał.

Kiedy jeden z prawników przeszedł przez pokój i wręczył mu stos dokumentów, Eduardo wziął głęboki oddech, zerknął ponownie na Marka i

zaczął przebijać się przez prawniczy żargon.

Od pierwszej chwili widział, że nie będzie łatwo. Miał się zapoznać z czterema wielostronicowymi dokumentami. Pierwsze dwa odnosiły się do porozumienia dotyczącego akcji zwykłych i zasadniczo umożliwiły mu „nabycie” akcji w nowo powstałym, zreorganizowanym Facebooku w miejsce obecnie już bezwartościowych „akcji” w starym thefacebooku. Poza tym otrzymał do podpisu porozumienie o wymianie, dotyczące zastąpienia starych udziałów w thefacebooku udziałami w nowej firmie. Na koniec zapoznał się z umową określającą podział głosów udziałowców. Eduardo nie rozumiał do końca tego dokumentu, ale doszedł do wniosku, że jest to zwykła formalność prawna, bez której firma nie mogłaby funkcjonować.

Prawnicy zaczęli usłużnie wyjaśniać wszystkie jego wątpliwości. Po wymianie starych akcji i nabyciu nowych Eduardo miał dysponować 1 328 334 akcjami. Zdaniem prawników - oraz Marka, który kilka razy podniósł wzrok znad komputera, aby pomóc im w wyjaśnianiu nowej struktury firmy - Eduardo miał w ten sposób zostać właścicielem około 34,4% udziałów w Facebooku. Otrzymywał więcej niż jego początkowe 30%, jako że w przyszłości mogła zajść konieczność proporcjonalnego zmniejszenia udziałów w miarę przyjmowania nowych pracowników i zdobywania nowych inwestorów. Udziały Marka spadły do około 51%. Dustin otrzymał 6,81% akcji, Sean Parker 6,47% - zasługiwał na mniej, ocenił Eduardo - a udziały Thiela wyniosły ostatecznie około 7%.

W dokumentach znajdowała się klauzula mówiąca, że Eduardo nie może w najbliższym czasie sprzedać swoich udziałów. Stawał się w ten sposób właścicielem wyłącznie na papierze, ale założył, że podobne ograniczenia dotyczą Marka, Dustina i Seana. Jeden z dokumentów zawierał oświadczenie, że Eduardo zrzeka się wszystkich roszczeń wobec Marka i firmy. Jego podpisanie oznaczało zasadniczo, że pozycja Eduarda w Facebooku była określana wyłącznie przez nowe dokumenty, a wszystko, co zdarzyło się wcześniej, było

już historią.

Siedząc w przypominającym akademik domu i słuchając stukotu palców Dustina i Marka na klawiaturach, Eduardo po raz kolejny przystąpił do lektury dokumentów. Zdawał sobie sprawę z wagi kartek papieru, które trzymał w rękach - podpisanie dokumentów miało umożliwić firmie uczynienie dużego kroku naprzód - czuł się jednak bezpiecznie ze względu na obecność prawników Facebooka, którzy w jego mniemaniu byli również j e g o prawnikami. Niepokój oddalała jednak przede wszystkim obecność jego przyjaciela, Marka, który zapewniał go, że dokumenty są prawidłowe i niezbędne. Parker znajdował się w innej części domu - a teraz miał już na dobre wejść w skład zespołu - niemniej to o n załatwił inwestora, poza tym był jednym z najinteligentniejszych ludzi w Dolinie Krzemowej.

Najważniejsze, że Eduardo wciąż będzie posiadał spory procent udziałów w firmie. Owszem, w przyszłości miało dojść do zmniejszenia udziałów poszczególnych osób, ale przecież obejmie ono wszystkich współników, prawda? Czy przejmował się tym, że z chwilą podpisania dokumentów zakończy się historia starego thefacebooka? W nowym Facebooku ma przecież zajmować tę samą pozycję.

Wrócił myślami do kilku rozmów, jakie przeprowadził w ostatnim czasie z Markiem - o uczelni, o życiu, o możliwościach działania Eduarda w trakcie pobytu w Cambridge. Eduardo oceniał, że nie w pełni rozumieli się we wszystkich sprawach. Czasami Mark zdawał się sugerować, że w trakcie roku akademickiego Eduardo nie musi przesadnie ciężko pracować na rzecz firmy, że zamierzają zatrudnić sprzedawców, że może lekko odpuścić. Z kolei Eduardo utrzymywał, że znajdzie czas, aby wykonywać pracę na rzecz Facebooka.

Z dokumentów wynika, ocenił Eduardo, że w nowej firmie będzie odgrywał równie dużą rolę, jak w starej. W przyszłości, kiedy pozyskają kolejnych inwestorów i zatrudnią większą liczbę pracowników, sytuacja może ulec niewielkim zmianom, jednak na tę chwilę dokumenty wydawały się

krokiem umożliwiającym rozpoczęcie niezbędnego procesu restrukturyzacji firmy.

Miał rację, prawda?

Mark poinformował go również, że chcą zorganizować imprezę, coś naprawdę odłotowego, kiedy liczba użytkowników strony przekroczy milion. Peter Thiel urządzi dla nich przyjęcie w swojej restauracji w San Francisco. Mark zapewnił, że Eduardo nie pożałuje kolejnej podróży samolotem.

Na myśl o imprezie Eduardo nie potrafił się powstrzymać od uśmiechu. To tylko niezbędne przekształcenia, dokumenty prawne, które trzeba podpisać. Wszystko będzie dobrze. Milion użytkowników. Trudno to sobie było wyobrazić.

Z całą pewnością przylecę z tej okazji do Kalifornii, pomyślał. Wziął pióro podane mu przez jednego z prawników i zaczął podpisywać dokumenty. Ostatecznie posiadał teraz 34% udziałów w Facebooku, a to dobry powód do świętowania.

Miał rację, prawda?

ROZDZIAŁ 27 3 GRUDNIA 2004 ROKU

Eduarda szczypały oczy i dzwoniło mu w uszach. Przedzierał się przez tłum modnie ubranych, atrakcyjnych ludzi. W głowie kręciło mu się od muzyki - pulsującej mieszanki techno, muzyki alternatywnej i rocka - oraz jasnych, wielokolorowych świateł wirujących wysoko nad nim pod kopulastym sufitem: fioletowe, żółte i pomarańczowe koliste wzory, poskręcane niczym eksplodujące supernowe, zalewały całą restaurację psychodelicznym blaskiem.

Lokal nosił nazwę Frisson i był w tym czasie najpopularniejszą restauracją w centrum San Francisco. Jej wystrój był jednocześnie niezwykle nowoczesny i nieznośnie retro - w rezultacie powstało coś pomiędzy mostkiem statku kosmicznego Enterprise z serialu *Star Trek* a psychodelicznym odlotem narkotykowym z lat sześćdziesiątych. Kiedy Eduardo dotarł na środek tłumu, kręciło mu się już w głowie naprawdę mocno. Częściowo wynikało to z ogromnej ilości alkoholu, jaką wcześniej wypił, ale głównie z gigantycznego szoku kulturowego, jaki przeżył, przyleciawszy właśnie ze statecznego i zasypanego śniegiem Harvardu.

Zatrzymał się kilka metrów od kabiny DJa, ustawionej na końcu okrągłej części jadalnej, i rozejrzał się po wypełnionym tłumem gości wnętrzu eleganckiej restauracji. Musiał przyznać, że było to dobre miejsce na „Przyjęcie z okazji milionowego użytkownika Facebooka”, wielką imprezę, na którą zaprosił go Mark. Milionowe konto na Facebooku zostało założone zaledwie kilka dni wcześniej, niecałe dziesięć miesięcy od uruchomienia strony w pokoju Marka w akademiku Kirkland. Restauracja Frisson była nowoczesna, modna i dostępna tylko dla wybranych - zupełnie jak Facebook. Tak się również składało, że stanowiła własność Petera Thiela, który płacił za całe przyjęcie z własnej kieszeni.

Eduardo obserwował tłum młodych mieszkańców Północnej Kalifornii poruszający się rytmicznie w takt muzyki. Tworzyli niemal jednolitą mieszankę dżinsów i koszul oraz lśniąco czarnych strojów rodem z Europy. Impreza miała zasadniczo styl typowy dla Doliny Krzemowej i rozmiłowanego w modzie San Francisco, jednak widać było również elementy typowe dla Facebooka. Większość gości miała około dwudziestu lat, wielu studiowało na Stanfordzie lub niedawno go ukończyło. Wszyscy pili kolorowe koktajle i dobrze się bawili. Eduardo zauważył po drugiej stronie kabiny DJa grupkę ślicznych dziewczyn. Miał wrażenie, że jedna z nich się do niego uśmiechnęła. Zarumienił się i szybko odwrócił wzrok. Tak, tak, mimo wszystkich zmian, jakie zaszły w jego życiu, wciąż był dość nieśmiały.

Przyjęcie układało się dla niego zupełnie nieźle. Odkąd wszedł do środka, opowiadał wszystkim zainteresowanym, że założył Facebooka razem z Markiem i Dustinem. Niektóre dziewczyny reagowały uśmiechem, a inne patrzyły na niego jak na wariata. Było to dziwne uczucie - na Harvardzie wszyscy lepiej lub gorzej go znali i wiedzieli, czego dokonał. Tu wszyscy patrzyli na Marka - wyłącznie na Marka.

Ale w sumie mu to nie przeszkadzało. Eduardo nie miał nic przeciwko temu, aby tu, w Kalifornii pozostawać w cieniu. Nie zaangażował się w ten projekt ze względu na sławę. Tak naprawdę nie obchodziło go, czy ludzie wiedzieli, że towarzyszył Markowi w jego pokoju w akademiku w chwili powstania Facebooka, że był właścicielem ponad 30% przedsiębiorstwa i że - pomijając Marka - nikt nie ponosił większej niż on odpowiedzialności za ów milion użytkowników. Interesowało go wyłącznie to, że ci ludzie uwielbiają ich stronę i że szybko staje się ona jednym z największych przedsięwzięć biznesowych w historii Internetu.

Uśmiechnął się smętnie na myśl o tym, następnie przeniósł wzrok z parkietu do tańca na stoliki znajdujące się na drugim końcu restauracji. W tylnej części pomieszczenia dostrzegł w końcu Marka, Seana i Petera; siedzieli przy

okrągłym stole pogrążeni w rozmowie. Wiedział, że tego samego dnia wypadały urodziny Seana. Ile ten dzieciak miał lat? Dwadzieścia pięć? Zastanawiał się, czy do nich nie podejść, ale na razie czuł się dobrze w tłumie - anonimowy, samotny. Ponownie poczuł skutki szoku kulturowego. To miejsce było tak odległe od harwardzkiego dziedzińca, że równie dobrze mogłoby znajdować się na statku Enterprise.

Zamrugnął i stał przez chwilę nieruchomo, pozwalając się obmyć wirowi światła.

Miał dość nowych wrażeń. Czuł się w tym miejscu zupełnie obco. Wszystko... działo się tak szybko. Uświadomił sobie to już w chwili, gdy wysiadł z taksówki i zobaczył wejście do restauracji. Nieopodal przy krawężniku stało zaparkowane Ferrari Spyder Petera Thiela. Gdzieś dalej znajdowało się infiniti Marka - to, które dostał w prezencie, gdy nie dojechał na spotkanie biznesowe swoim używanym samochodem. Niedaleko mogło stać bmw Parkera.

Eduardo nadal mieszkał w akademiku. Na zajęcia chodził na piechotę przez zaśnieżony dziedziniec skryty w chłodnym cieniu Biblioteki Widenera.

No dobrze, nie miał racji. Wszystko radykalnie się tu zmieniło od początku lata. Ale co w tym złego? Eduardo podjął taką, a nie inną decyzję, i nie mógł obwiniać nikogo poza sobą. Mógł się wtedy przeprowadzić do Kalifornii. Mógł zawiesić studia. Teraz był na ostatnim roku. Za pięć miesięcy skończy studia i jak pozostali będzie się mógł całkowicie oddać Facebookowi. Odzyska pozycję, jaką miał, gdy razem z Markiem zaczęli całą przygodę.

Teraz, dziś wieczorem, będzie się po prostu dobrze bawił. Wypije kolejnego drinka. Pójdzie porozmawiać z tą ślicznotką po drugiej stronie kabiny DJa. Jutro poleci z powrotem do Cambridge i wróci do nauki. Mark panował nad Facebookiem.

Eduardo był w zasadzie pewien, że wszystko dobrze się ułoży.

Sean Parker siedział przy okrągłym stole za parkietem do tańca. Rozparł się wygodnie w nowoczesnym krześle w stylu art déco i przysłuchiwał się rozmowie, jaką Mark i Thiel prowadzili na temat nowych rozwiązań, o które chcieli wzbogacić Facebooka. Lepsze sposoby wyszukiwania innych studentów w sieci. Usprawnienia popularnej tablicy, na której użytkownicy mogli się wymieniać informacjami. A w przyszłości - pewnie gdzieś za pół roku - aplikacja do wymiany zdjęć, która dorównywałaby wszystkiemu, co mogłyby zaproponować inne portale społecznościowe. Innowacja goniła innowację.

Sean uśmiechnął się pod nosem. Wszystko działo się dokładnie tak, jak sobie zaplanował. Zgodnie z jego przewidywaniami Thiel i Mark znakomicie się dogadywali. Wziął głęboki oddech i przeniósł spojrzenie na znajdujący się za nimi tłum. Niemal natychmiast obok kabiny DJa dostrzegł Eduardo Saverina rozmawiającego z jakąś uroczą Azjatką. Patykowaty Eduardo wyglądał jak zwykle dziwnie. Przystawiał się do dziewczyny, przybrawszy zgarbioną pozę. Ona chyba się uśmiechała, co było pozytywnym sygnałem. Eduardo był szczęśliwy, dziewczyna była szczęśliwa, wszyscy wydawali się szczęśliwi.

Wszystko przebiegło bez problemów. Eduardo podpisał niezbędne dokumenty i wykonał wszystkie czynności towarzyszące restrukturyzacji firmy. Thiel dał im pieniądze, których potrzebowali na dalszy płynny rozwój. Facebook miał ponad milion użytkowników, a co tydzień zyskiwał następnych kilkadziesiąt tysięcy. W niedługim czasie mieli udostępnić go na kolejnych uczelniach i kampusach. Potem być może w szkołach średnich. A później - kto wie? Być może pewnego dnia Facebook będzie dostępny dla każdego. Ograniczenie użytkowników do grona studentów spełniło już swoje zadanie.

Ludzie u fal i Facebookowi. Ludzie uwielbiali Facebooka.

Ludzie będą gotowi zapłacić miliardy za Facebooka.

ROZDZIAŁ 28 3 KWIETNIA 2005 ROKU

- A jednak! Stało się. Wiosna oficjalnie zawitała do Nowej Anglii.

Eduardo wyszczerzył zęby w uśmiechu, kiedy jego przyjaciel AJ wskazał na dziewczynę z precyzyjnie kształtymi nogami przechodzącą u podnóża kamiennych schodów biblioteki z nosem wetkniętym w podręcznik do ekonomii i lokami blond włosów opadającymi wokół kablek jasnokremowego iPod'a.

- Zgadza się - pokiwał głową Eduardo. - Pierwsza krótka spódniczka w sezonie. Teraz może być już tylko lepiej.

Eduardo podejrzewał, że nigdy nie przyzwyczai się do długich harwardzkich zim. Zaledwie tydzień wcześniej główny dziedziniec był biały od śniegu, schody pod biblioteką pokrywała cieniutka warstewka lodu, a powietrze było tak przenikliwie mroźne, że każdy oddech sprawiał ból. Ktoś mógłby pomyśleć, że w harwardzkim kalendarzu nie przewidziano miejsca dla marca - był tylko luty, luty i po raz kolejny cholerny luty.

W końcu jednak śnieg ustąpił. Powietrze pachniało rodzącym się życiem, niebo było jasne, błękitne i niemal bezchmurne, a dziewczyny zaczęły zmieniać garderobę, chowając do szaf grube, paskudne swetry, a wyciągając spódniczki, urocze topy i buty odkrywające palce. No, może topy nie były aż tak urocze - w końcu był to Harvard - ale odkrywały kawałki ciała, a to z pewnością był plus.

Oczywiście sytuacja mogła ulec zmianie w mgnieniu oka. Wystarczy, że kolejnego dnia nad Harvard ponownie nadciągną szare chmury, a dziedziniec z powrotem zacznie przypominać niegościny księżycowy krajobraz. Tym jednak Eduardo się nie przejmował, ponieważ następnego dnia miał wyjechać z Nowej Anglii i ponownie polecieć do Kalifornii wezwany przez najwyższe kierownictwo firmy.

AJ pomachał mu na pożegnanie, po czym zszedł na dół schodami,

zmierzając na seminarium odbywające się po drugiej stronie dziedzińca. Eduardo miał pójść w jego ślady kilka minut później, ale nie zamierzał się nadmiernie śpieszyć. Byli studentami ostatniego roku i od ukończenia uniwersytetu dzieliły ich zaledwie dwa miesiące. Wolno im było spóźniać się na zajęcia. Mogli na nie w ogóle nie chodzić - nikt się tym nie przejmował. Wystarczyło zdać kilka ostatnich egzaminów i będą mogli opuścić Harvard ze słynnymi złotymi dyplomami, które podobno były wysoko cenione w realnym świecie.

„W realnym świecie”. Eduardo nie był już pewien, co dokładnie oznaczało to sformułowanie. Na pewno nie była nim Kalifornia, gdzie nadal przebywał Mark. Mieszkał w kolejnym wynajętym domu w kolejnej bogatej w zieleń podmiejskiej dzielnicy i z zapamiętaniem budował Facebooka. Nie były nim też nowe biura w Palo Alto, które właśnie kończyli urządzać, przygotowując się do kolejnego naboru pracowników. Miał to być kolejny etap rozwoju firmy, o którym rozmawiali już jesienią przy okazji podpisywania dokumentów dotyczących restrukturyzacji przedsiębiorstwa.

Realny świat nie mógł się w żaden sposób wiązać z Facebookiem, ponieważ realny świat po prostu nie podlegał tak szybkim zmianom.

Milion użytkowników szybko przerodził się w dwa miliony i zmierzał właśnie w kierunku trzech. Skromna strona internetowa przeznaczona kiedyś wyłącznie dla studentów Harvardu była teraz obecna praktycznie wszędzie - na pięciuset kampusach, na łamach każdej gazety, jaką Eduardo widział w kiosku, w każdym programie informacyjnym w telewizji, jaki udało mu się obejrzeć. Wszyscy, których znał, mieli konto na Facebooku. Uwielbiał go nawet jego ojciec, który założył sobie na nim konto. Facebook nie był realnym światem - był czymś większym. Stał się nowym kosmosem, a Eduardo nie potrafił opanować uczucia dumy z tego, czego z Markiem dokonali.

Niemniej w ciągu ostatnich dwóch miesięcy nie miał praktycznie żadnego kontaktu z chłopakami z Kalifornii, nie licząc przypadkowej rozmowy

telefonicznej, przypadkowej prośby o namiary na kogoś z Nowego Jorku lub o nazwisko ze sporządzonej przez niego listy potencjalnych reklamodawców. Eduardo miał w tym czasie tak sporadyczny kontakt z Markiem, że znalazł czas na uruchomienie własnej strony internetowej. Nazywała się Joboozle i miała być czymś w rodzaju Facebooka zawodowego, gdzie młodzi ludzie mogliby znaleźć potencjalnych pracodawców, wymieniać się CV i nawiązywać kontakty. Eduardo nie przypuszczał, aby Joboozle mogła osiągnąć popularność zbliżoną do Facebooka, ale przynajmniej miał jakieś zajęcie. Czekał, aż Mark się do niego odezwie.

Aż w końcu Mark się odezwał. Kilka dni wcześniej przysłał email, prosząc go o ponowny przyjazd do Kalifornii. Chodziło o jakieś ważne spotkanie biznesowe i nowego pracownika, którego Eduardo miał pomóc wyszkolić.

W emailu Mark napisał również coś, co wzbudziło lekkie zaniepokojenie Eduarda. W ostatnim czasie wokół ich firmy kręciło się kilka znanych funduszy inwestycyjnych - Sequoia Capital, największy fundusz w Dolinie Krzemowej kierowany przez Michaela Moritza, starego wroga Seana Parkera, oraz Accel Partners, niezwykle prestiżowy fundusz z Palo Alto, który aktywnie działał na tamtym obszarze od przeszło dekady. Mark dał do zrozumienia, że rozważają dopuszczenie jednego z tych funduszy do inwestycji w Facebooka. Mark wspomniał również, że ich firmą zainteresował się Don Graham, dyrektor generalny Washington Post Company.

Ponadto, pisał Mark, gdyby udało się podpisać tego rodzaju umowę, on, Sean Parker i Dustin rozważali sprzedaż niewielkiej części swoich udziałów. W emailu wymienił kwotę dwóch milionów dolarów na osobę.

Eduardo był tymi rewelacjami mocno zaskoczony. Po pierwsze, jak pamiętał, podpisane przez niego dokumenty zabraniały mu sprzedaży udziałów przez bardzo, bardzo długi czas. Dlaczego Mark, Sean i Dustin mieli możliwość sprzedania udziałów o wartości dwóch milionów dolarów? Czy podczas

restrukturyzacji nie podpisali takich samych dokumentów jak on?

Po drugie, dlaczego Mark w ogóle myślał o sprzedaży udziałów? Odkąd to Marka interesowały pieniądze? Dlaczego Sean Parker miał zarobić dwa miliony dolarów, jeśli oficjalnie był związany z firmą zaledwie od dziesięciu tygodni? Eduardo działał w niej od samego początku.

Coś tu bez wątpienia było nie w porządku.

Ale może Eduardo po prostu źle zrozumiał email. Być może Mark wyjaśni mu wszystko w Kalifornii. Eduardo postanowił, że niezależnie od sytuacji nie da się tym razem ponieść emocjom. Pamiętał, że gniew niespecjalnie przysłużył mu się podczas konfliktu w lecie. Będzie spokojny, racjonalny i wykaże się zrozumieniem. Nadeszła wiosna, dziewczyny zakładały spółdzielnie, a rok akademicki dobiegał końca.

Następnego dnia odbędzie sześciogodzinną podróż, obejrzy remontowane biura, weźmie udział w spotkaniu biznesowym i wyszkoli nowego pracownika. Przy odrobinie szczęścia będzie to początek powrotu do normalności w relacjach między nim a Markiem. Dzięki temu, gdy tylko skończy studia, wróci do dawnej roli współnika odpowiedzialnego za finanse. Była to bardzo przyjemna perspektywa, ponieważ w pewnym sensie zyskałby możliwość przedłużenia życia studenckiego. Facebook oczywiście przekształcił się w wielką firmę, ale Eduardo był pewien, że jemu zawsze będzie przypominał czasy studenckie. Pracując w Facebooku, mógłby, podobnie jak Mark, odłożyć na później wejście do realnego świata; być może na zawsze.

Pokrzepiony tą myślą Eduardo ruszył w dół po schodach przed biblioteką. Jutro spotka się z Markiem, który wszystko mu wyjaśni.

ROZDZIAŁ 29 4 KWIETNIA 2005 ROKU

Eduardo miał zapamiętać tę chwilę do końca życia.

Zaczął się trząść, stojąc w niemal całkowicie pustym biurze i wpatrując się w dokumenty, które prawnik wręczył mu zaraz po przekroczeniu progu. Prawniki były inne niż poprzednio i drzwi były inne. Nowe mieszkanie nie miało klimatu akademika, a zamiast na pełnym zieleni przedmieściu mieściło się na University Avenue w centrum Palo Alto. Biuro miało przeszklone ściany, biurka z klonowymi okleinami, nowe monitory, wykładzinę, a nawet schody pokryte graffiti wykonanym przez miejscowego artystę, który został specjalnie wynajęty do tego zadania. Prawdziwe biuro i prawdziwy prawnik odgradzający Eduarda od Marka, który siedział gdzieś w oddali, tradycyjnie przy jednym z komputerów, schowany w poświacie cholernej monitora.

W pierwszej chwili Eduardo uznał, że prawnik żartuje, wręczając mu kolejne dokumenty do podpisania, zanim jeszcze zdążył obejrzeć biuro i porozmawiać z Markiem o nowym pracowniku, sprzedaży udziałów za dwa miliony dolarów i emailu. Kiedy jednak wczytał się w dokumenty, zdał sobie sprawę, że wcale nie wezwano go do Kalifornii na spotkanie biznesowe.

Został zwabiony w pułapkę.

Kiedy po kilku minutach zrozumiał treść dokumentu, który trzymał w rękach, krew odpłynęła mu z policzków i poczuł ukłucie rozlewającego się po całym ciele chłodu. Miał poczucie, jakby ktoś postrzelił go w klatkę piersiową, jakby coś w nim eksplodowało, nieodwracalnie niszcząc część jego osobowości. Żadne słowo, żaden przymiotnik, żadna hiperbola nie pozwalała opisać jego odczuć w tamtej chwili. A przecież powinien był to przewidzieć, powinien był się, do jasnej cholery, domyślić, że ta chwila pewnego dnia nadejdzie, powinien był dostrzec oznaki - a jednak niczego nie zauważył.

Pozostał ślepy na wszystko. Okazał się naiwny jak jakieś cholerne dziecko.

Po prostu nie spodziewał się tego po swoim przyjacielu Marku, po chłopaku, którego poznał, kiedy byli parą dziwaków z żydowskiego bractwa studenckiego próbujących odnaleźć się na Harvardzie. Różnie między nimi bywało, Mark bywał chłodny i nieprzystępny, ale żeby posunął się do czegoś takiego?

Eduardo odebrał to jako najzwyczajszą na świecie zdradę. Mark go zdradził, zniszczył, pozbawiał wszystkiego. Wszystko to zostało zapisane w tych dokumentach równie wyraźnie, jak czarne litery były widoczne na jasnokremowym papierze.

Po pierwsze, trzymał w ręku datowaną na czternastego stycznia 2005 roku pisemną zgodę udziałowców TheFacebooka na zwiększenie liczby akcji, które firma ma prawo wyemitować, do dziewiętnastu milionów. Drugi dokument z dwudziestego ósmego marca mówił o emisji nawet 20 890 000 akcji. Trzeci zezwalał na emisję dodatkowych 3,3 miliona akcji Markowi Zuckerbergowi, 2 milionów Dustinowi Moskovitzowi i ponad 2 milionów Seanowi Parkerowi.

Eduardo wpatrywał się w liczby, przeprowadzając w myślach błyskawiczne rachunki. Po emisji nowych akcji jego udziały w Facebooku nie będą z pewnością bliskie 34%. Po emisji nowych akcji dla Marka, Seana i Dustina jego udziały spadną poniżej 10%, a gdyby wyemitowano wszystkie pozostałe akcje, pozostałyby niemal z niczym.

Jego udziały stopniałyby prawie do zera.

Kiedy Eduardo przeglądał dokumenty, prawnik zaczął coś mówić. Eduardo był ciekaw, czego spodziewał się po nim Mark. Być może sądził, że nie zareaguje w żaden sposób. Być może Mark uważał, że Eduardo odszedł z firmy już jesienią, kiedy podpisał dokumenty, które umożliwiły wszystkie kolejne posunięcia. A może nawet wcześniej - jeszcze w lecie, kiedy zamroził konto bankowe firmy. Każdy z nich nadawał na innych falach, każdy patrzył na sprawę ze swojego punktu widzenia.

Prawnik nadal coś głądził, wyjaśniając, że emisja nowych akcji jest konieczna, ponieważ Facebookiem zainteresowało się kilku inwestorów, że podpis Eduarda jest formalnością, że zgoda na emisję nowych akcji i tak już została wydana, że wszystkie działania mają na celu dobro firmy i są konieczne dla jej rozwoju, że decyzja w tej sprawie i tak już zapadła...

- Nie.

Eduardo usłyszał swój głos rozbrzmiewający w głowie, a następnie odbijający się od szyb, ozdobionych graffiti schodów i ścian niemal pustego biura.

- Nie!

Nie zgadzał się na pozbawienie go udziałów w Facebooku. Nie zgadzał się na przekreślenie jego dorobku. Pracował dla firmy od samego początku. To on stał na samym początku u boku Marka w jego pokoju w akademiku. Był jednym z założycieli Facebooka i zasługiwał na swoje 30%. Taka była umowa między nim a Markiem.

Prawnik zareagował natychmiast.

Eduardo nie należał już do zespołu Facebooka. Stracił pozycję dyrektora, nie był pracownikiem firmy - przestał być z nią związany w jakikolwiek sposób. Zostanie wymazany z historii przedsiębiorstwa.

Z punktu widzenia Marka Zuckerberga i Facebooka Eduardo Saverin przestał istnieć.

Eduardo miał wrażenie, że świat wali mu się na głowę.

Musiał natychmiast wydostać się z tego miejsca.

Wrócić na Harvard. Wrócić na kampus. Do domu.

Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Nie mógł uwierzyć, że został w ten sposób zdradzony. Poinformowano go, że nic nie może zrobić. Decyzja została podjęta, usłyszał. Podjęta przez Marka Zuckerberga, założyciela i dyrektora generalnego, oraz przez nowego prezesa Facebooka.

Kolejna myśl zrodziła się w głowie Eduarda: kto, do jasnej cholery, został

nowym prezesem Facebooka?

Po chwili namysłu uświadomił sobie, że zna odpowiedź.

ROZDZIAŁ 30 KTO POD KIM DOŁKI KOPIE...

Sean Parker wysiadał ze swojego bmw z niepohamowanym, szaleńczym animuszem. Jego mózg pracował z częstotliwością tysiąca obrotów na minutę, czyli jeszcze szybciej niż normalnie. Wszystko dlatego, że - metaforycznie rzecz ujmując - zmierzał po najśłodszy deser w swoim życiu.

Zatrzasnął za sobą drzwi, następnie oparł się o samochód i skrzyżował ręce na piersi. Podniósł głowę i spojrzał na szklanochromowy budynek, w którym mieściły się główne biura Sequoia Capital. Mój Boże, jak ja nienawidzę tego miejsca, pomyślał. Nie bez poczucia pewnej ironii losu przypomniał sobie, że kiedyś z całkowicie odmiennymi uczuciami wkraczał do tego budynku, szukając pomocy finansowej, partnerów biznesowych, zainteresowania, czegokolwiek. Najpierw udało mu się wzbudzić owo zainteresowanie, później jednak został stamtąd wykopany na zbity pysk; wyrzucony z firmy, którą sam założył, której sukces okupił potem i łzami.

A teraz wszystko się odwróciło. To Sequoia błagała, aby rozważyć jej propozycję. Nieustannie nękała biura Facebooka telefonami, próbując umówić się na spotkanie. Tak naprawdę to dzwonili do nich już teraz wszyscy święci. Greylock, Merritech, Bessemer, Strong - wszyscy. Zresztą nie tylko fundusze inwestycyjne. Krążyły pogłoski, że przyglądały im się Microsoft i Yahoo. Friendster złożył już nieformalną propozycję - gówniane dziesięć milionów - którą Sean i Mark bez wahania odrzucili. MySpace również wyrażało zainteresowanie współpracą. Wszyscy czegoś od nich chcieli. A Sequoia, największy chłopak na podwórku, z pewnością nie zamierzała zostać na lodzie.

Sean zwodził ich przez jakiś czas, wyobrażając sobie, jak Moritz zwija się z niecierpliwości w swojej samotni, powrzaskując na swoich giermków z tym dziwnym, nikczemnym walijskim akcentem. Sean przypuszczał, że Moritz

zdążył się już domyślić, że to on stoi za zwłoką w odpowiedzi. Podejrzewał jednak, że jako wielki megaloman jest święcie przekonany, że Sean prędzej czy później musi dać za wygraną. A kiedy Sequoia zaczęła pienieć się z wściekłości, Sean zaaranżował spotkanie, na pozór całkowicie zgodnie z oczekiwaniami Moritza. Teraz stał pod ich siedzibą, uśmiechając się jak głupi do sera. Ubrał się cały na czarno - taki kolor miał jego samochód - od spodni marki DKNY do paska z krokodylej skóry. Wiedziony poczuciem sprawiedliwości Batman wyrusza na ulice San Francisco, aby przywrócić porządek.

Usłyszał trzaśnięcie drzwi po stronie kierowcy, a kiedy się odwrócił, zobaczył Marka okrążającego maskę samochodu.

- Słodki Jezu - wymruczał pod nosem Sean. Rozjaśniający jego twarz uśmiech przerodził się w niepohamowany atak śmiechu.

Mark miał na sobie pidżamę w jaskrawych kolorach. Pod pachą trzymał laptopa. Włosy miał w kompletnym nieładzie, ale na jego twarzy malowało się skupienie.

- Jesteś tego pewien?

Sean zaśmiał się jeszcze głośniejsze. O tak, niczego w życiu nie był bardziej pewien niż właśnie tego.

- Wyglądasz idealnie.

Sean zerknął na zegarek. Pod tym względem też wszystko szło idealnie.

Mark miał nie tylko przyjść z dziesięciominutowym spóźnieniem na spotkanie z najpotężniejszym inwestorem w Dolinie Krzemowej, ale również wyglądać jak najbardziej porąbany idiota w mieście. Sean nie wybierał się na spotkanie - byłoby to zbyt trudne, nawet dla niego - ale był pewien, że Mark poradzi sobie znakomicie. Miał przeprosić za spóźnienie, wyjaśnić, że zaspał i nie miał czasu, żeby się przebrać, następnie przejść do prezentacji. Tuż przed zakończeniem otworzył w PowerPointcie plik, który stworzyli razem specjalnie dla chłopaków z Sequoi. Zawartość pliku miała podziałać niczym sól nasypana na ranę. Następnie Mark miał opuścić budynek.

Sequoia Capital nigdy - p r zen i gdy - nie otrzyma szansy na zainwestowanie w Facebooka. Sean zamierzał tego dopilnować. Mark wiedział dokładnie, że Moritz i jego kumple z Sequoi wykopali Seana z Plaxo, wbijając mu nóż w plecy. Thiel w pełni ich popierał, ponieważ Sequoia zachowała się wobec niego nie w porządku w czasach PayPala. W ten oto sposób Sequoia miała na własnej skórze poznać zasadę obowiązującą w tym miasteczku: kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada.

Mark i Sean nic na tym nie tracą, ponieważ dosłownie wszyscy chcieli uszczknąć dla siebie kawałek Facebooka. Jasne, odrzucili już ofertę Friendstera, ale w zanadrzu mieli już inną propozycję, którą zamierzali przyjąć. Accel Partners, jeden z najbardziej prestiżowych funduszy inwestycyjnych, dobijał się do nich od kilku tygodni. Kiedy tylko dzwonił Jim Breyer, starszy wspólnik Accela i jeden z najbardziej błyskotliwych inwestorów w branży, Sean łapał za słuchawkę i wykrzykiwał do niej kosmiczne liczby. Albo wycenią Facebooka na sto milionów dolarów, albo nici z umowy. Dwieście milionów dolarów albo spadówka. Breyer w końcu zrozumiał, jak wygląda sytuacja.

Mark prowadził równocześnie intensywne rozmowy z Donem Grahamem, szefem Washington Post Company, który w rezultacie został swego rodzaju przyjacielem i mentorem Marka. Tworzyli ciekawą parę, natomiast współpraca magnata medialnego z geniuszem odpowiedzialnym za rewolucję społeczną opartą na idei wymiany informacji byłaby interesującym pomysłem. Mark rozważał możliwość podpisania umowy z Grahamem i „Washington Post”, co skłoniło Accela do złożenia jeszcze poważniejszych propozycji. Sytuacja zaczynała się powoli klarować.

Już niedługo Accel kupi niewielki udział w firmie za niemal trzynaście milionów dolarów. Dzięki tej inwestycji wartość Facebooka wzrośnie niemal do stu milionów dolarów. Po zaledwie czternastu miesiącach istnienia. S t o m i l i o n ó w d o l a r ó w. A i to miał być dopiero początek. Sean był pewien, że w ciągu sześciu miesięcy wartość firmy ulegnie potrojeniu. Ile wyniesie pod

koniec 2005 roku? Kto wie, na jakim etapie będą się wtedy znajdowali? Jeżeli ludzie będą dalej zakładali konta w takim tempie, jak do tej pory, do końca roku strona będzie miała piętnaście milionów użytkowników.

Sean był przekonany, że jego miliardowe dziecko już wkrótce się narodzi.

Uśmiechnął się, kiedy Mark przeszedł obok niego i ruszył w kierunku biurowca Sequoi. Do pewnego stopnia żałował, że nie może wziąć udziału w spotkaniu, ale wystarczało mu, że wyobrazi sobie jego przebieg. Pomachał, dodając Markowi otuchy.

- Dasz sobie radę.

Sean po raz ostatni spojrział na postać w pidżamie i wybuchnął głośnym śmiechem.

To będzie doprawdy zajebiste.

ROZDZIAŁ 31 CZERWIEC 2005 ROKU

„Dziesięć tysięcy Harwardczyków...”

Kolana Eduarda zapłonęły z bólu, kiedy wygiął swoje chude ciało okryte ciężkimi fałdami czarnej poliestrowej togi, próbując znaleźć wygodną pozycję na składanym krzeselku z drewna. Ze wszystkich stron otaczały go rzędy ludzi siedzących na podobnych krzeselkach. W todzie było mu potwornie gorąco, co gorsza, idiotycznie wyglądający kwadratowy kapelusz okazał się co najmniej o dwa numery za mały; uwierał go teraz w spocone czoło, a przy każdej próbie poruszenia wyrywał mu z głowy włosy z cebulkami.

Eduardo poczuł, że się uśmiecha. Mimo tego wszystkiego, co mu się przydarzyło, uśmiechał się. Spojrzał w prawo na długi rząd kolegów i koleżanek w identycznych czarnych togach i głupich kapeluszach. Odwrócił głowę do tyłu - kolejne rzędy podobnie ubranych studentów czwartego roku ciągnęły się do połowy głównego dziedzińca Harvardu. Za nimi rozciągało się wielobarwne morze dumnych rodzin ubranych w sportowe marynarki i spodnie khaki, z aparatami fotograficznymi i cyfrowymi kamerami.

„Dziesięć tysięcy Harwardczyków...”.

Eduardo zwrócił wzrok z powrotem w stronę podium, od którego dzieliło go dobrych dziesięć metrów. Rektor Summers stał już za mównicą otoczony dziekanami. Na prawo od niego znajdował się wielki kosz z dyplomami. W każdej chwili rektor mógł wyczytać do mikrofonu pierwsze nazwisko, które następnie rozejdzie się echem po całym dziedzińcu, odbijając się od starych, porośniętych bluszczem budynków z cegły, kamiennych schodów prowadzących do Biblioteki Widenera, aby po serii rykoszetów między jej wspaniałymi greckimi kolumnami wzlecieć prosto w niebieskawozielone niebo.

Poranek rozpoczął się dużo wcześniej, ale Eduarda nadal przepełniała

energia. Pozostali absolwenci sprawiali wrażenie równie ożywionych i wiercili się nerwowo na drewnianych krzeselkach.

Dzień zaczął się wcześniej rano powolnym przemarszem długiej kolumny studentów czwartego roku, ubranych w czarne togi, z akademików nad rzeką przez Harvard Square na główny dziedziniec uczelni. Mimo gorąca Eduardo miał pod togą marynarkę i krawat. Po zakończeniu uroczystości zamierzał spędzić resztę popołudnia z rodziną. Nie udało mu się ich nigdzie dostrzec, ale wiedział, że stoją gdzieś w tłumie widzów zgromadzonym za absolwentami.

Tak naprawdę cały dziedziniec był szczelnie wypełniony ludźmi. Eduardo nie widział nigdy takiego tłumu, jeśli nie liczyć koncertu rockowego, na który poszedł w szkole średniej. Ludzie zgromadzeni na dziedzińcu mieli na nim pozostać przez cały dzień. Po południu przemówienie miał wygłosić aktor John Lithgow, absolwent Harvardu. Wcześniej wszyscy kończący szkołę studenci mieli ustawić się do zbiorowego zdjęcia na schodach pod biblioteką. Następnie czekał ich piknik z rodziną, a później pożegnanie z kolegami i uczelnią. Niektórzy pewnie podrzucą kwadratowe kapelusze w powietrze, ponieważ widzieli ten gest niezliczoną ilość razy w telewizji i kinie. Ale kapelusze i tak były głupie, więc co im szkodzi.

Eduardo skoncentrował się na wydarzeniach rozgrywających się na scenie. Duże wrażenie robiła na nim od samego początku jej kolorystyka, żywo kontrastująca z otaczającym ją morzem czerni. Uniwersyteccy notable, etatowi profesorowie, szacowni absolwenci - wszyscy stali już w kilku rzędach za rektorem ubrani w jaskrawe, niemal psychodeliczne togi. Wzrok Eduarda ześlizgnął się na kosz z dyplomami. Wiedział, że gdzieś w tej stercie zwiniętych w rolki kawałków papieru leży dyplom opatrzony jego nazwiskiem; zwinięta w rulon, ozdobiona łacińskimi inskrypcjami kartka papieru, która kosztowała jego rodziców ponad sto dwadzieścia tysięcy dolarów.

Pod pewnymi względami zdobycie tego dyplomu kosztowało samego Eduarda znacznie, znacznie więcej.

„Dziesięć tysięcy Harwardczyków...”.

Melodia dobiegała gdzieś z lewej strony. Nie mógł uwierzyć, że ludzie pamiętali słowa tej starej uniwersyteckiej piosenki śpiewanej w dawnych czasach podczas bójek. Dokładniej mówiąc, znał ją jakiś mężczyzna - kimkolwiek był, zanucił już ponad połowę melodii. Tak się składało, że Eduardo znał słowa. Zapamiętał je na pierwszym roku, kiedy orkiestra dęta zagrała tę piosenkę podczas rozgrywek Harvard-Yale. Był wtedy jeszcze dość bojowo nastawionym „Karmazynowym”, dumnym z faktu, iż jako student Harvardu współtworzy jego historię. Był dumny, ponieważ to samo odczuwał jego ojciec, ponieważ ciężka praca w szkole średniej przyniosła efekty. Aby znaleźć się w tym miejscu, na tym pięknym dziedzińcu otoczonym zabytkowymi budynkami, musiał pokonać wiele przeszkód: nauczyć się nowego języka, przystosować się do nowej kultury. Zapamiętał słowa piosenki, ponieważ to był jego czas - w równym stopniu jego, co innych, którzy go teraz otaczali. Zapracował na każdą sekundę tej ceremonii.

Dziesięć tysięcy Harwardczyków domaga się dziś zwycięstwa, *Wiedzą bowiem, że nad starym Elim** Piękny Harvard ma przewagę męstwa. Chłopców ze starego Eliego pokonamy zatem, By gdy gra się zakończy, odśpiewać kantatę: Dziesięć tysięcy Harwardczyków posmakowało dziś zwycięstwa!

Eduardo ponownie przeniósł wzrok na podium. Summers był gotowy do rozpoczęcia ceremonii. Nachylił się do przodu i jego szeroka, nalana twarz znalazła się kilka centymetrów od mikrofonu. Eduardo wiedział, że zanim dojdą do jego nazwiska, minie trochę czasu, a podejrzewał również, że kiedy już się to stanie, rektor źle je wymówi. Pominie „o” z imienia i położy akcent na drugą sylabę nazwiska. Zdążył się do tego przyzwyczaić, przestało mu to już nawet

przeszkadzać. Podejdzie na podium i odbierze dyplom, ponieważ na niego zasłużył. Tak właśnie powinien funkcjonować świat. Sprawiedliwości stanie się zadość.

Kiedy tylko rektor wyczytał pierwsze nazwisko, Eduardo usłyszał za plecami trzask lampy błyskowej; ktoś uwiecznił na zdjęciu pierwszego absolwenta zmierzającego na podium.

Eduardo odruchowo pomyślał, że zdjęcie to może pewnego dnia trafić na czyjś profil na Facebooku. Był pewien, że prędzej czy później tak się właśnie stanie.

Po raz pierwszy tego dnia uśmiech niemal zniknął z jego twarzy.

Druga w nocy.

Osiemnaście godzin później.

Eduardo trzymał ręce wciśnięte głęboko w kieszenie marynarki, w głowie kręciło mu się po całym dniu spędzonym z rodziną, od smażenia się na słońcu w czarnej todze oraz od ćwiartki drogiej szkockiej whisky. Zwalił się ciężko na skórzaną kanapę na trzecim piętrze Phoenixa, wpatrzony w grupę nieznanymi blondynek tańczących wokół stolika zastawionego taką ilością butelek alkoholu, że tworzyły małą szklaną metropolię lśniąca w świetle księżyca.

Pod nimi trwała w najlepsze impreza. Cały trzypiętrowy budynek pulsował od muzyki dobiegającej z sali tanecznej na parterze, mieszanki hiphopu i spokojniejszych przebojów. Oczami wyobraźni Eduardo widział powiększający się tłum młodzieży zdeptującej wyłożoną parkietem podłogę, wdychającej dym z ogniska rozpalonego na dworze i kpiący sobie z dwóch

stuleci historii, wierzgając i wirując zgodnie z rytmem muzyki. Potrafił sobie wyobrazić ładne dziewczyny, w większości przybyłe niedawno Ruchobusem, oraz napalonych chłopaków z Phoenixa liczących na znalezienie odpowiedniej partnerki - na tę wyjątkową noc, której wspomnienie przechowają do końca życia.

Jednak na trzecim piętrze panował większy spokój. Jeśli nie liczyć tańczących blondynek, w pomieszczeniu panowała atmosfera wytwornej sali dla VIPów. Akurat w takim stylu było zresztą urządzone: pluszowe dywany w karmazynowym kolorze, ściany i sufit utrzymane w kolorach ciemnego drewna, skórzane kanapy, stoły zastawione butelkami z markowymi alkoholami. Salon na trzecim piętrze był dostępny tylko dla wybranych, tylko na specjalne zaproszenie, tylko za przepustką.

Od powrotu z Kalifornii - od chwili, którą zazwyczaj określał mianem zdrady Marka - Eduardo spędził wiele godzin na kanapie w tym pokoju. Rozmyślając. Kontemplując. Snując plany na przyszłość.

Studia miał już za sobą i musiał opuścić bezpieczne okolice harwardzkiego dziedzińca. Nie był pewien, gdzie się uda. Może do Bostonu, może do Nowego Jorku. Zdawał sobie wszakże sprawę, że przestał być dzieckiem. Nie czuł się już jak dziecko.

Przede wszystkim wszczął kroki prawne mające na celu odzyskanie tego, co jego zdaniem mu się należało. Wynajął prawników, wysłał listy i poinformował o swoich zamiarach Marka i resztę zespołu Facebooka - zamierzał ich pozwać. Nienawidził myśli o sali sądowej, o walce z „przyjacielem” przed sędzią lub ławą przysięgłych. Wiedział jednak, że innego sposobu nie ma. Przestało już chodzić wyłącznie o Marka i niego.

Siedząc na skórzanej kanapie, zastanawiał się, czy Mark choćby w najmniejszym stopniu żałuje tego, w jaki sposób potoczyły się sprawy.

Zapewne nie, stwierdził z niesmakiem. Mark prawdopodobnie nie widzi niczego niestosownego w swoim postępowaniu. Uważa pewnie, że podjął

decyzje konieczne z punktu widzenia dobra firmy.

Facebook był zresztą od samego początku pomysłem Marka. To on poświęcił wiele godzin pracy na jego stworzenie. To on budował firmę od skromnych początków w akademiku do jej obecnej postaci. To on napisał kod, uruchomił stronę, pojechał do Kalifornii, zawiesił studia, znalazł inwestorów. Z punktu widzenia Marka Zuckerberga firma była jego dziełem, a wszyscy inni jedynie próbowali się do niego przyłączyć. Bracia Winklevoss. Eduardo. Może nawet Sean Parker.

W rzeczywistości z punktu widzenia Marka prawdopodobnie to Eduardo zachował się niewłaściwie, to Eduardo zdradził ich przyjaźń. Z punktu widzenia Marka to Eduardo próbował zaszkodzić firmie, zamrażając jej konto bankowe. Z punktu widzenia Marka to Eduardo utrudniał pozyskanie funduszy od inwestorów, domagając się dla siebie wyłączności w zarządzaniu finansami spółki. Z punktu widzenia Marka to Eduardo był również odpowiedzialny za inne działania, które mogły zaszkodzić Facebookowi, jak stworzenie własnej strony internetowej Joboosle i zwrócenie się do tej samej grupy potencjalnych reklamodawców. Mark mógł uznać, że Eduardo wykorzystał do tego celu tajemnice handlowe Facebooka. Mark miał równie wiele powodów, co Eduardo, by to sobie uważać za skrzywdzoną stronę.

Eduardo nie podzielał tego stanowiska. Był absolutnie przekonany, że uczestniczył we wszystkim od samego początku i odegrał kluczową rolę w sukcesie Facebooka. To on sfinansował uruchomienie strony. Poświęcił jej czas. Zasługiwał na udziały, które miał posiadać zgodnie z wcześniejszymi umowami. I tyle.

Zgadzał się z Markiem co do jednego - w całej sprawie nie chodziło już o przyjaźń między nimi, ale o interesy. Wyłącznie o interesy.

Eduardo zamierzał upomnieć się o to, co jego zdaniem mu się należało. Poda Marka do sądu. Zmusi go, żeby wyjaśnił swoje postępowanie. Zmusi go do postąpienia w sposób sprawiedliwy.

Obserwując podrygujące w rytm muzyki dziewczyny, których blond włosy wznosiły się nad ich głowami na podobieństwo złotych wirów, zaczął się zastanawiać, czy Mark w ogóle pamiętał początek tej historii. Że byli parą odmieńców próbujących zrobić coś wyjątkowego i przyciągnąć uwagę innych - a tak naprawdę zdobyć popularność wśród dziewczyn. Eduardo był ciekaw, czy Mark miał świadomość, jak wiele się od tego czasu zmieniło.

Chyba że Mark wcale nie musiał się zmieniać. Być może Eduardo od samego początku źle interpretował jego intencje. Podobnie jak bracia Winklevoss Eduardo wyczytywał z pozbawionej wyrazu twarzy Marka to, co chciał wyczytać.

Być może nigdy tak naprawdę nie rozumiał Marka Zuckerberga.

Zastanawiało go, czy Mark Zuckerberg rozumiał samego siebie.

A Sean Parker? On zapewne również sądził, że zna Marka Zuckerberga. Eduardo był niemal pewien, że również ta znajomość długo nie przetrwa.

Z punktu widzenia Eduarda Sean Parker przypominał małą kometę przedzierającą się w konwulsjach przez atmosferę planety. Wcześniej zdążył się już spalić dwukrotnie. Teraz pytanie nie brzmiało, czy się spali, przelatując przez Facebooka, ale kiedy to nastąpi.

ROZDZIAŁ 32 TRZY MIESIĄCE PÓŹNIEJ

Co najdziwniejsze, nikt nie usłyszał syren.

Początkowo wszystko układało się wspaniale. Impreza się rozkręciła, a położony na przedmieściach dom wypełniali atrakcyjni, zadowoleni ludzie. Studenci, nałogowi imprezowicze, elegancko ubrani dwudziestoparolatkowie i dzieciaki z plecakami i bejsbolówkami - wszyscy bawili się z nieco starszymi ludźmi ubranymi w dzinsy i koszule. Wszystko to przypominało trochę imprezę rodem z klubu nocnego zorganizowaną w nieco bardziej studenckich warunkach. Coś w stylu imprezy w siedzibie bractwa studenckiego dla niezbyt zorientowanej towarzysko młodzieży. Alkohol lał się strumieniami, muzyka niosła się po drewnianych podłogach i odbijała od nagich otynkowanych ścian.

I wtedy b u m, w jednej chwili wszystko się zawaliło.

Ktoś krzyknął, a drzwi frontowe odskoczyły z hukiem. Latarki rozświetliły pograżony w ciemnościach, zatłoczony parkiet. Snopy światła krążyły po ścianach niczym UFO przeczesujące jałową równinę. Było ich coraz więcej, zupełnie jakby na salę wpadł oddział pieprzonych gestapowców dzierżących latarki niczym miecze świetlne i rozpędzających tłum krzykiem i powrzaskiwaniem.

Granatowe mundury. Pałki policyjne i odznaki w dłoniach, niekiedy nawet kajdanki. Żaden nie miał na wierzchu broni palnej, ale wielkie kawałki metalu wystawały wymownie z czarnych gumowych kabur.

Nie chodziło już nawet o syreny - przyjęcie się skończyło.

Jak łatwo sobie wyobrazić, Sean Parker uznał w pierwszej chwili, że zaszła jakaś pomyłka. Do cholery, była to przecież zwykła impreza zorganizowana w pobliżu kampusu jakiejś uczelni. Zwykła niewinna impreza. Poszedł na nią z jedną z licznych zatrudnionych w Facebooku studentek; ładną

dziewczyną, z którą się zaprzyjaźnił. Chcieli po prostu miło spędzić czas. Sean był wcześniej na tysiącach podobnych imprez. Całkowicie niewinnych i normalnych.

No dobrze, może podano alkohol. Może muzyka była trochę zbyt głośna. Zgoda, pewnie niektóre dzieciaki brały kokę i paliły trawkę. Sean nie był tego pewien - nie zaglądał zbyt często do łazienki, bowiem od przyjscia niemal cały czas szalał na parkiecie. Poza inhalatorem w kieszeni spodni i autostrzykawką z adrenaliną w kieszeni koszuli był czysty jak łąza. Do noszenia ich stale przy sobie zmuszały go chroniczna astma i jakieś popieprzone alergie.

Zresztą jakie to miało znaczenie? Byli na imprezie. Czy studia nie mają polegać na eksperymentowaniu?

Rewolucji?

Wolności?

Czy w takim miejscu policja nie powinna okazywać nieco większej wyrozumiałości?

Tymczasem wyraz twarzy policjantów był daleki od wyrozumiałości. Najwyraźniej Batman miał tej nocy przerąbane.

Przyszło mu do głowy, że albo mieli po prostu pecha - trafili na niewłaściwą imprezę - albo to Sean Parker ponownie znalazł się w niewłaściwym miejscu i czasie. Być może policji nie wezwano z powodu zbyt głośnej muzyki. Być może po raz kolejny to on był celem.

Facebook przestał być skromną firmą z siedzibą w akademiku, za co zresztą Sean był częściowo odpowiedzialny. Facebook przekształcił się w wielką korporację, której wartość zbliżała się do miliarda dolarów. Ani on, ani Mark nie byli już dzieciakami bawiącymi się w programowanie, ale dyrektorami prowadzącymi firmę. Żaden z nich nie chciał się jej pozbyć, bowiem obaj wierzyli, że pewnego dnia będzie warta ponad miliard dolarów.

W ciągu kilku poprzednich miesięcy Facebook rozwijał się w zawrotnym tempie. Sean był przekonany, że mieli do czynienia z prawdziwie przełomowym

wydarzeniem. Kilka genialnych pomysłów trafiło w gusta stale powiększającej się sieci użytkowników.

Pierwszą i najnowszą z przełomowych zmian była funkcja wymiany zdjęć, dzięki której Facebook pozwalał na przesyłanie i oglądanie zdjęć. Doszło do cyfryzacji realnego świata: ludzie przestali chodzić po prostu na imprezy, ale zaczęli zabierać ze sobą aparaty cyfrowe, dzięki czemu mogli następnego dnia, albo jeszcze tego samego dnia o drugiej w nocy, przeżyć ponownie imprezę na Facebooku wraz ze swoimi przyjaciółmi. Do każdej osoby uwiecznionej na zdjęciu można było dodać tag, ułatwiający użytkownikom wyszukiwanie samych siebie oraz innych osób na profilach swoich znajomych. Dzięki temu można było dosłownie zobaczyć swoją sieć w postaci cyfrowej. Wprost genialny pomysł. W nieunikniony sposób doprowadziło to do lawinowego przyrostu użytkowników, których liczba sięgnęła ośmiu, może dziesięciu milionów; Bóg raczy wiedzieć, ilu dokładnie ich było, tak to się szybko zmieniało.

Ale to jeszcze nie koniec: kolejnym równie przełomowym krokiem był tzw. *newsfeed*; Sean i Mark pracowali nad tym pomysłem niezależnie. *Newsfeed* miał być funkcją ciągłego uaktualniania informacji wśród osób należących do określonej sieci na Facebooku, która powiązałaby ich ze sobą jeszcze silniej niż profile; informacja o wszelkich zmianach na profilu danej osoby byłaby rozsyłana do jej znajomych. Napisanie tej funkcji okazało się dla Dustina i Marka ogromnym wyzwaniem - na koniec miało powstać coś w rodzaju niezwykle skomplikowanego, uaktualnianego na bieżąco kanału informacyjnego skierowanego do ograniczonej grupy przyjaciół. Sean wpadł na ten pomysł, kiedy po wielu godzinach obserwacji stwierdził, że po zalogowaniu się na stronie ludzie w pierwszej kolejności wchodzi na profile swoich znajomych, sprawdzając, czy zostały tam dodane jakieś nowe informacje lub zdjęcia. Pomysł na *newsfeed* należał do kategorii nagłych olśnień. Sean zdał sobie sprawę, że gdyby wszystko to mogło się dziać automatycznie, wzbogaciłoby to

Facebooka w ten sam sposób, jak zdjęcia i tagi.

Zmiany te nie tylko oznaczały uzupełnienie strony o nowe funkcje, ale były kolejnymi kamieniami milowymi w historii firmy, przenosząc ją z poziomu prostej idei stworzonej w akademiku na poziom rewolucjonizującego świat Internetu przedsiębiorstwa wartego miliard dolarów. Stworzenie największego, najpopularniejszego narzędzia wymiany zdjęć w Internecie jako dodatku do najpopularniejszego portalu społecznościowego? Uzupełnienie tego o innowację, jaką miał być *newsfeed*?

Sean nie miał wątpliwości, że Facebook przerośnie wszystko, co do tej pory powstało w Internecie. Wkrótce mieli go udostępnić wszystkim mieszkańcom Stanów Zjednoczonych - kolejny kamień milowy - a następnie otworzyć się na cały świat. Kiedy to już nastąpi, Facebook stanie się naprawdę niedościgniony. Sean nie myślał już w skali Friendstera czy nawet MySpace, ale Google'a i Microsoftu.

Facebook osiągnie ten rząd wielkości.

A Sean Parker wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, że kiedy firma osiąga takie rozmiary, ludzie często zaczynają się inaczej zachowywać. Przyjaźnie się rozpadają. Narastają problemy - niekiedy bez wyraźnej przyczyny.

W miarę rozwoju Facebooka do przedsiębiorstwa o tak niebotycznych rozmiarach, generującego góry pieniędzy, o którym inwestorzy zaczynają myśleć w kategoriach miliardów dolarów, musieli pojawić się ludzie, którzy uznają, że Sean Parker przestał być potrzebny.

Zdarzyło mu się to już w przeszłości - dwukrotnie. Czy rzeczywiście może do tego dojść po raz kolejny?

A może tylko popada w paranoję? Może niepotrzebnie doszukiwał się ukrytych motywów w całym zajściu? Policja zrobiła nalot na imprezę - a on akurat się tam znajdował.

Pech.

Niefortunny wybór.

W chwili aresztowania Seanowi przyszła do głowy jedna myśl: muszę do niego zadzwonić. Spekulacje mogły przysporzyć mu znacznie więcej kłopotów niż pałka policyjna lub kajdanki. Niezależnie od tego, czy rzeczywiście był winny, niespecjalnie dobrze to wygląda, kiedy prezes innowacyjnej, rewolucyjnej firmy wartej miliard dolarów zostaje wraz z pracownicą zgarnięty przez policję z prywatnej imprezy. Przypuszczał, że nie trafido aresztu, ale jednego był pewien.

Niezależnie od tego, czy był winny, czy został wrobiony, czy po prostu miał pecha, Mark Zuckerberg będzie mocno wkurzony.

ROZDZIAŁ 33 DYREKTOR GENERALNY

Zapewne jeszcze tamtej nocy, a może dopiero następnego dnia, Mark Zuckerberg odebrał telefon. Dzwonił któryś z prawników zatrudnionych w Facebooku, a może sam Parker. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że Mark przebywał wtedy w biurze - Mark niemal zawsze przebywał w biurze. Możemy sobie wyobrazić, jak siedzi tam samotnie, z twarzą podświetloną przez zielonkawoniebieski blask ekranu komputera. Jest środek nocy, a może wczesny ranek. Mark nigdy nie przywiązywał większej wagi do czasu, który dla niego sprowadzał się do drgnięć wskazówki zegarka pozbawionych większego związku z rzeczywistością, realnej podstawy czy przyrodzonej wartości. W jego życiu znacznie większą rolę odgrywała informacja, a ta, którą właśnie otrzymał, bez wątpienia wymagała podjęcia natychmiastowych - i skutecznych - działań.

Sean Parker był geniuszem i miał ogromne zasługi w doprowadzeniu Facebooka do jego obecnej pozycji. Sean Parker był jednym z bohaterów Marka i wydawało się, że na zawsze pozostanie jego mentorem, doradcą, może nawet przyjacielem.

Możemy sobie wszakże wyobrazić, co pomyślał Mark, kiedy usłyszał opis nalotu policji na imprezę. Sean Parker musi odejść.

Mimo że Sean nie miał stanąć przed sądem ani zostać oskarżony o cokolwiek, w oczach niektórych jego obecne problemy mogły zaszkodzić Facebookowi. Krytycy Seana zawsze uważali go za człowieka nieprzewidywalnego i szalonego. Nie zawsze go rozumiano, a niektórych przerażały jego niespożyte pokłady energii. Ta sytuacja była jednak inna. Jednoznaczna. Niezależnie od tego, co się naprawdę stało - czy Sean miał pecha, czy może chodziło o coś innego - skutek był równie jednoznaczny jak wynik operacji komputerowej.

Sean Parker musiał odejść.

Podobnie jak Eduardo i bracia Winklevoss. Ze wszystkimi, którzy stawali się zagrożeniem - niezależnie od kierujących nimi motywacji - należało coś zrobić, ponieważ w ostatecznym rozrachunku liczył się jedynie Facebook. Był dzieckiem Marka Zuckerberga; w jego życiu nie istniało nic ważniejszego. Na samym początku mógł być zabawą, interesującym pomysłem. Odmianą gry, zabawki, jak wersja gry Ryzyko, którą napisał w szkole średniej, lub Facemash, za który niemal wyleciał z Harvardu.

Jak się jednak domyślamy, Facebook był teraz przedłużeniem jedynej prawdziwej miłości Marka - komputera, ekranu oświetlającego blaskiem jego twarz. Podobnie jak komputer osobisty, który podarował ludzkości Bill Gates, tworząc przełomowe oprogramowanie, Facebook był prawdziwą rewolucją - przełomem, platformą swobodnej wymiany informacji między sieciami społecznymi, przeniesieniem świata realnego do cyfrowego w sposób, jaki nie był nigdy wcześniej możliwy.

Mark nie zamierzał dopuścić, by cokolwiek - lub ktokolwiek - mogło stanąć na drodze Facebookowi.

Nowe stanowisko Marka Zuckerberga najlepiej streszcza prosta i elegancka wizytówka zawierająca jedno wydrukowane na środku zdanie, którą zaprojektował najprawdopodobniej na swoim komputerze. Wizytówka, którą sam wydrukował i zamierzał zawsze nosić przy sobie.

W pewnym sensie wyrażała ona jedynie typowe dla Marka Zuckerberga poczucie humoru, w istocie była czymś więcej niż tylko żartem - mówiła prawdę. Niezależnie od tego, co sądzili inni, niezależnie od tego, co próbowali robić, informacja na wizytówce zawsze będzie prawdziwa.

Nieuchronnie, trwale prawdziwa.

Możemy sobie wyobrazić Marka, który odczytuje na głos słowa wydrukowane na wizytówce. Na zazwyczaj beznamiętnej twarzy pojawia się delikatny uśmiezek.

«Jestem dyrektorem generalnym, skurwysyny».

ROZDZIAŁ 34 MAJ 2008

Cholera, zapowiadał się jeden z tych koszmarnych wieczorów.

Eduardo nie był pewien, jak dokładnie nazywa się klub, ani nawet, jak do niego trafił. Wiedział, że znajdował się w części Nowego Jorku, w której było wielu rzeźników i dużo masarni. Pamiętał, że dotarł na miejsce taksówką z przynajmniej dwoma kumplami ze studiów. Gdzieś w tej historii występowała również dziewczyna, ale na litość boską, trudno, żeby jakaś dziewczyna się nie pojawiła, prawda? Bardzo prawdopodobne, że była seksowna, zapewne Azjatka; możliwe nawet, że się z nim całowała.

Zniknęła gdzieś między taksówką a klubem. Eduardo leżał teraz rozwalony na skórzanej ławie pod ścianą, gapiąc się w szklankę ze szkocką, w której jego twarz odbijała się na zakrzywionych powierzchniach kostek lodu. Miał wrażenie, jakby przeglądał się w krzywym zwierciadle albo był bohaterem jednego z obrazów Salvadora Dalego, które omawiali na zajęciach z kanonu - chyba nazywały się „Plamki i kropki”, czyli sztuka współczesna dla dzieciaków, które miały ją generalnie w dupie.

Był sam, był pijany - choć nie kompletnie i nie załany. Świat rozmazywał mu się przed oczami z wielu powodów, a alkohol wcale nie był najważniejszym z nich. Przede wszystkim był niewyspany. Od jakichś trzech tygodni nie kładł się przed czwartą. Pracował nad nowymi projektami, w tym sieciami medycznymi i społecznymi oraz różnymi pośrednimi wariantami obu. Wiele dni musiał poświęcić na sprawę sądową, a do tego dochodziło jeszcze życie towarzyskie - które rozciągało się między Bostonem, Nowym Jorkiem, a niekiedy i Kalifornią - oraz koledzy z Phoenixa. Nikogo nie obchodziło, że był trochę starszy od pozostałych ludzi bawiących się w klubie, ponieważ byli braćmi - zawsze będą braćmi. Poza tym w Phoenixie wszyscy nadal pamiętali,

kim jest. Cz eg o do k ona ł. Nawet jeśli reszta świata nigdy o nim nie słyszała. Nawet jeśli reszta świata utożsamiała Facebooka tylko z jednym nazwiskiem, z jednym genialnym chłopakiem.

Tak, Eduardo był zmęczony. Od kilku tygodni nie miał okazji się wyspać. Oparł się wygodnie na ławie i wbił wzrok w szklanę z whisky. I wtedy niespodziewanie w jego umyśle pojawiło się wspomnienie.

Wspomnienie z podobnego wieczoru, kiedy niepotrzebnie powiedział kilka słów za dużo. Miało to miejsce tuż przed wakacjami, jakie w 2004 roku spędził w Nowym Jorku. Eduardo nie pamiętał, jaki to był dokładnie dzień i miesiąc, ale zdarzenie rozegrało się po tym, jak zamroził konto bankowe firmy i odbył kilka rozmów telefonicznych z Markiem. Z obecnej perspektywy był to początek końca; wtedy pojawiły się pierwsze rysy, które miały ostatecznie doprowadzić do głębokich pęknięć. Eduardo czuł się wtedy skrzywdzony i targał nim gniew. Podobnie jak dziś, wyszedł na miasto, żeby się napić, i trafił do podobnego klubu.

Tamtej nocy uganiał się po parkiecie za jakąś dziewczyną. W pewnym momencie zauważył, że ktoś przygląda mu się z drugiego końca sali.

Eduardo rozpoznał go natychmiast, ponieważ, nie ma co ukrywać, trudno było go nie rozpoznać. Wielki, muskularny sportowiec o twarzy gwiazdy filmowej i sylwetce olimpijczyka. Eduardo widywał go regularnie na kampusie wraz z jego bratem bliźniakiem, zresztą nie był do końca pewien, którego z nich ma w tej chwili przed sobą. Wiedział tylko, że któryś z nich stoi zaledwie trzy metry od niego.

Owej nocy Eduardo, będąc pod wpływem alkoholu, dał upust emocjom. Być może w głębi duszy przeczuwał, w jaki sposób zakończy się jego znajomość z Markiem. A może po prostu był pijany.

Tak czy inaczej podszedł do jednego z bliźniaków Winklevoss i wyciągnął przed siebie rękę.

Chłopak wpatrywał się w niego zaskoczony, tymczasem Eduardo wypalił:

- Przykro mi. Wyrolował mnie tak samo jak was.

Bez słowa odwrócił się i z powrotem wmieszał się w tłum tańczący na parkiecie.

EPILOG GDZIE SĄ TERAZ...?

Sean Parker: Po odejściu z Facebooka Sean Parker zachował swoją pozycję w społeczności Doliny Krzemowej. Niedawno został współnikiem zarządzającym Founders Fund, funduszu inwestycyjnego stworzonego przez Petera Thiela, który specjalizuje się w inwestowaniu w młode przedsiębiorstwa z branży technologicznej, szukając podobnych okazji, jak opiekująca na pięćset tysięcy dolarów inwestycja Thiela w rozwój Facebooka - inwestycja wyceniana w tej chwili na ponad miliard dolarów. Całkiem niedawno Sean założył firmę o tajemniczej nazwie Project Agape. Jest to sieć społeczna mająca wspierać prowadzony na szeroką skalę aktywizm polityczny w Internecie.

Tyler i Cameron Winklevoss: Od końca 2004 roku Tyler i Cameron Winklevoss toczyli zawzięcie batalię prawną z Markiem Zuckerbergiem i Facebookiem, która w 2008 roku zakończyła się ugodą. Choć zarządzeniem sędziego szczegóły ugody pozostały tajne, kilka miesięcy później z kancelarii prawnej reprezentującej braci Winklevoss i ConnectU wyciekła informacja, że otrzymali oni około sześćdziesięciu pięciu milionów dolarów. Choć wydaje się to znaczącą kwotą, istnieje szereg świadectw, iż Tyler i Cameron nie byli zadowoleni z warunków ugody, w związku z czym ich batalia z Markiem i Facebookiem prawdopodobnie jeszcze się nie zakończyła. Ze spraw przyjemniejszych: Tyler i Cameron dostali się do reprezentacji Stanów Zjednoczonych i wystartowali na igrzyskach olimpijskich w Pekinie w 2008 roku, zajmując szóste miejsce w dwójkach mężczyzn. Nadal trenują wioślarstwo i jeszcze nie podjęli decyzji, czy wystartują na igrzyskach w Londynie w 2012 roku.

Eduardo Saverin: Eduardo Saverin nadal dzieli swój czas między Bostonem a Nowym Jorkiem, bywa również częstym gościem na wyższych piętrach Phoenixa. Szczegóły jego pozwu przeciwko Markowi Zuckerbergowi i Facebookowi - oraz pozwu, jaki Mark skierował przeciwko Eduardowi - są owiane tajemnicą, niemniej w styczniu 2009 roku nazwisko Saverin oraz tytuł „współzałożyciel” niespodziewanie pojawiły się ponownie w manifeście Facebooka, tym samym korporacja przywróciła osobę Eduarda Saverina do swojej historii. Wynika z tego, że Eduardo odniósł przynajmniej częściowy sukces w walce o uznanie jego roli w powstaniu Facebooka. Pomijając kwestie prawne, nie wiadomo, czy Eduardowi i Markowi uda się kiedykolwiek odbudować przyjacielską relację, która ich kiedyś łączyła.

Facebook i Mark Zuckerberg: W październiku 2007 roku, po krótkiej i ostrej licytacji z Google’em, Microsoft kupił 1,6% udziałów w Facebooku za dwieście czterdzieści milionów dolarów. W wyniku tej transakcji Facebook zaczął być wyceniany na mniej więcej piętnaście miliardów dolarów lub ponad stukrotną wartość rocznych dochodów wynoszących sto pięćdziesiąt milionów dolarów. Od tego czasu Facebook, podobnie jak cała gospodarka, stracił nieco na wartości, niemniej jego dochody nieustannie rosną. Niezależnie od rzeczywistej wartości wskaźnika cena/zysk spółki Facebook nadal rozwija się w zdumiewającym tempie. Pod koniec 2009 roku liczba użytkowników Facebooka ma zdecydowanie przekroczyć dwieście milionów*; według najnowszych sprawozdań portal zyskuje około pięciu milionów użytkowników tygodniowo. Głośne przypadki, w których Facebook musiał ustępować w sprawach dotyczących własności treści umieszczanych przez użytkowników na stronie oraz w sprawie sprzeniewierzenia „informacji osobistych” do celów reklamowych, w żaden sposób nie zahamowały związanej z portalem rewolucji i wydaje się bardzo prawdopodobne, że w nadchodzących latach Facebook będzie

nadal wywierał duży wpływ na życie ogromnej liczby ludzi. Niewielki projekt, jaki Mark Zuckerberg stworzył w swoim pokoju w akademiku, przekształcił się w jedną z najbardziej wpływowych firm w Internecie. Choć nie wiadomo dokładnie, ile wynosi wartość majątku Marka Zuckerberga, jest on z pewnością jednym z najbogatszych dwudziestopięciolatków na ziemi. Określ a się go mianem najmłodszego miliardera w historii, który samodzielnie zdobył swój majątek.

PODZIĘKOWANIA

Książka ta wzięła swój początek - jak to się często zdarza - od całkowicie niespodziewanego emaila, którego dostałem o drugiej w nocy. Chciałbym wyrazić wdzięczność Willowi McMullenowi za uczynienie tego pierwszego kroku i zapoznanie mnie z tą historią w sposób, w jaki nikt inny by nie potrafił. Ogromnie dziękuję również Darykowi Pengelly'emu, Alasdairowi McLeanForemanowi i wszystkim pozostałym osobom z Harvardu oraz bractwa PhoenixS K, którzy pomogli mi w zbieraniu informacji o świecie skrywającym się za porośniętymi bluszczem murami.

Chciałbym ogromnie podziękować Billowi Thomasowi, fantastycznemu redaktorowi, oraz jego zespołowi z Doubleday/Random House. Jestem również zobowiązany genialnym agentom Ericowi Simonoffowi i Matthew Snyderowi. Podziękowania kieruję do moich braci w Hollywood, Dany Brunettiego, Kevina Spaceya i Mike'a DeLucy, Scotta Rudina i Aarona Sorkina, którzy na różne sposoby pomagali mi podczas pracy nad tą książką. Chciałbym również wyrazić wdzięczność Nielowi Robertsonowi i Oliverowi Roupowi za nieocenioną pomoc w poznaniu świata Doliny Krzemowej. Serdecznie dziękuję Barry'emu Rosenbergowi, który bez wątpienia jest najlepszy w tym, co robi.

Książka ta nigdy by nie powstała bez wspaniałomyślnej, choć niekiedy podszytej pewnymi oporami, pomocy licznych informatorów. Choć życzyli sobie pozostać anonimowi, starałem się ze wszystkich sił uhonorować ich współpracę, przedstawiając całą opowieść w sposób możliwie najbardziej szczerzy i przepełniony szacunkiem dla jej bohaterów. Uwielbiam wszystkich bohaterów tej książki - czuję podziw dla ich geniuszu i cieszę się, że miałem okazję poznać świat, jakiego nigdy wcześniej nie znałem.

Jak zawsze chciałbym wyrazić wdzięczność moim cudownym rodzicom, braciom i ich rodzinom. Oraz Tonyi i Bussy - bez was bym tego nie dokonał.

ŹRÓDŁA

- Baloun, Karel M., *Inside Facebook*, Trafford Publishing, Victoria 2007.
- Brickman, S.F., *Face Off*, „Harvard Crimson”, 6 listopada 2003.
- Dremann, Sue, *In Your Face*, „Palo Alto Weekly”, 7 kwietnia 2005.
- Feeney, Kevin J., *Business, Casual*, „Harvard Crimson”, 24 lutego 2005.
- FM Staff, *How They Got Here*, „Harvard Crimson”, 24 lutego 2005.
- Forbes.com, *Facing the Future*, 13 września 2006. Greenspan, Aaron, *Authoritas*, Think Press, Palo Alto 2008.
- Grynbaum, Michael M., *Mark E. Zuckerberg 06: The Whiz Behind thefacebook.com*, „Harvard Crimson”, 10 czerwca 2004.
- Grynbaum, Michael M., *Online Facebook Solicits New Ads*, „Harvard Crimson”, 7 maja 2004.
- Hoffman, Claire, *The Battle for Facebook*, „Rolling Stone”, 26 czerwca 2008.
- Kaplan, Katharine A., *Facemash Creator Survives Ad Board*, „Harvard Crimson”, 19 listopada 2003.
- Lacy, Sarah, *Once You're Lucky, Twice You're Good*, Gotham Books, New York 2008.
- McGinn, Timothy, *Online Facebooks Duel over Tangled Web of Authorship*, „Harvard Crimson”, 28 maja 2004.
- McGirt, Ellen, *Hacker. Dropout. CEO*, „Fast Company”, maj 2007.
- Milov, Sarah E.F., *Sociology of thefacebook.com*, „Harvard Crimson”, 18 marca 2004.
- Neyfakh, Leon, *Columbia Rebukes thefacebook.com*, „Harvard Crimson”, 9 marca 2004.
- O'Brian, Luke, *Poking Facebook*, „02138 Magazine”. Schatz, Amy, *BO*,

UR So GR8, „Wall Street Journal Online”, 26 maja 2007.

Schwartz, Barry M., *Hot or Not? Website Briefly Judges Looks*, „Harvard Crimson”, 4 listopada 2003.

Seward, Zachary, *Dropout Gates Drops in to Talk*, „Harvard Crimson”, 27 lutego 2004.

Skalkos, Anastasios G., *New Online Facebook Launched*, „Harvard Crimson”, 19 marca 2004.

Tabak, Alan J., *Harvard Bonds on Facebook Website*, „Harvard Crimson”, 18 lutego 2004.

Tabak, Alan J., *Hundreds Register for New Facebook Website*, „Harvard Crimson”, 9 lutego 2004.

Vara, Vauhini, *Facebook CEO Seeks Help as Site Grows Up*, „Wall Street Journal Online”, 5 marca 2008.

* *Fuck* (ang.) - pieprzyć się. W Stanach Zjednoczonych w zapisie numerów telefonicznych używa się niekiedy dla ułatwienia liter, które - podobnie jak w telefonach komórkowych - są zawsze przyporządkowane do tych samych cyfr (przyp. tłum.).

* *Pork* (ang.) - wieprzowina (przyp. tłum.).

* Elihu Yale (1649-1721) - brytyjski kupiec i filantrop, ufundował szkołę, która później została nazwana od jego nazwiska (przyp. tłum.).

* W lipcu 2010 roku liczba użytkowników wynosiła już pięćset milionów (przyp. tłum.).